



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

1(47) 2019

Rok XIII

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



Torre Pendente, Krzywa Wieża w Pizie
fot. Paweł Litwiński



Katedra Santa Maria Assunta w Sienie



Piazza della Repubblica, Cortona



Panorama Sieny



Piazza Grande w Arezzo



Okolice Pienzy, gdzie kręcono ostatnie sceny „Gladiatora”



Katedra Santa Maria del Fiore we Florencji



Campo dei Miracoli, Pole Cudów w Pizie

„Pod słońcem Toskanii”, „Listy do Julii”, „Ukryte pragnienia” i wiele, wiele innych lepszych lub gorszych filmów ma jednego głównego bohatera - włoski region Toskania. Ogromna popularność Toskanii to zresztą zjawisko obecne w kulturze masowej od lat, zwłaszcza w krajach anglosaskich: dochodzi wręcz do tego, że całe tokańskie miasteczka zamieniają się w wioski pełne turystów. Skąd ten fenomen?

Cóż, Toskania jest piękna, nie da się tego ukryć. Ma wszystko to, czego przeciętny Europejczyk spodziewa się zastać we Włoszech: słońce (ale nie tak gorące, jak na południu), piękne krajobrazy (od morza po góry), dobre jedzenie (ale nie odbiegające diametralnie od tego, co jemy na co dzień np. w Polsce), czystą i bardzo różnorodną naturę. Do tego Toskania ma coś jeszcze - to tutaj narodził się włoski renesans i to widać na każdym kroku: niewielkie miasteczko, liczące kilka tysięcy mieszkańców, potrafi mieć więcej renesansowych zabytków, niż znajdziemy w całej Polsce.

Ikona Toskanii jest bez wątpienia Florencja z jej katedrą stanowiącą symbol miasta. To tutaj nagromadzenie dzieł sztuki jest tak duże, że powstał nawet specjalny termin - syndrom Stendhala - opisujący zespół zaburzeń somatycznych wywołany nadmiarem piękna. A sztuka jest wszędzie, nawet pod gołym niebem na Piazza della Signoria można podziwiać renesansowe rzeźby, w tym autorstwa samego Michała Anioła.

Z Florencją rywalizowały jej sąsiadki - Piza i Siena. Rywalizacja odbywała się głównie na polu budowy katedr, czego owocami są romańska katedra w Pizie i gotycka (nieukończona) w Sienie. Ale kto by się tam przejmował katedrą, jak za rogiem czeka Krzywa Wieża! I jest naprawdę krzywa, choć ostatnio jej przechył udało się zatrzymać.

A że Toskania to region, gdzie piękno czeka na każdym kroku, to mniejsze tokańskie miasta także mają bardzo wiele do zaoferowania: średniowieczne uliczki i place w Arezzo, Cortona, gdzie życie toczy się w centrum średniowiecznego miasta, Lukka z urokliwymi romańskimi kościołami czy wreszcie niewielka Pienza, będąca perłą włoskiego renesansu. Piękna jest tokańska wieś, zwłaszcza region Val d'Orcia - gospodarstwo agroturystyczne to dobry pomysł na zwiedzanie regionu.

Do Toskanii warto przyjechać, ale koniecznie poza sezonem, żeby nie utonąć w morzu turystów. I koniecznie trzeba zboczyć z utartych szlaków, żeby zobaczyć to, co ten region ma nam autentycznego do zaoferowania.

dr Paweł Litwiński

Słowo redaktora



Inauguracja obchodów 625-lecia Miasta Krasnegostawu nasunęła szereg refleksji. Wielu mieszkańców z zaskoczeniem dowiedziało się, że dzień urodzin Miasta zbiega się z dniem patronki Krasnegostawu, św. Agaty, której kult od kilku lat na powrót zaczynamy uroczystie obchodzić. Wydarzeniem towarzyszy gala Honorowego Wyróżnienia „Złote Karpie”, podczas której dekorowani są krasnostawianie w dziedzinie szczególnych osiągnięć społecznych, artystycznych lub zawodowych. Bywało, że w poszczególnych latach wyróżnienie otrzymywało dwie, a nawet trzy osoby. Tego roku zespół redakcyjny „Nestora” zgłosił kandydaturę swojego kolegi Zbigniewa Atrasa, mając na uwadze jego szczególne zasługi w zakresie działań społecznych na rzecz miasta dokonane poza pracą zawodową. Do nagrody nominowana została także Małgorzata Antoniak, która w efekcie została tegorocznym laureatem. Obojgu w imieniu redakcji, serdecznie gratuluję, a Zbyszkowi życzę należącego szczęścia w przyszłym roku.

10 marca 2019 roku, podczas gdy część uczestników zatrzymał bankiet i wystawa kolekcji medali Zbigniewa Atrasa w Krasnostawskim Domu Kultury, inna grupa z doktorem Leszkiem Janeczkiem zamykała kapsułę czasu w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie, której zawartość można będzie poznać dopiero w 2094 roku, podczas obchodów 700-lecia Miasta Krasnegostawu.

Andrzej David Misiura

PS

Szanowni Czytelnicy, jeżeli uznacie, że warto wesprzeć nasze czasopismo, podajemy numer subkonta przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule wpłaty można wpisać: Nestor. Przypominamy jednocześnie, że w Powiatowej Bibliotece Publicznej można otrzymać archiwalne numery naszego czasopisma.

Spis treści	Spis treści
Zabytki Toskanii 1 <i>Paweł Litwiński</i>	Halina Rowicka czyta Franca 57 <i>Elżbieta Patek</i>
Słowo redaktora 1 <i>Andrzej David Misiura</i>	Kolekcja nakryć głowy 58 <i>Elżbieta Patek</i>
Twórcy wieku niepodległości. Rzeźbiarz Józef Ciechan - cz. I 3 <i>Andrzej David Misiura</i>	Słonecznikowe podsumowanie 59 <i>Wiesław Krajewski</i>
Poezja - Stanisław Bojarczuk 15	Protokół z posiedzenia jury XII Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty Pisz!” im. Mariusza Kargula 61
Testament i legat Kajetana hr. Kickiego. 2. Echa w ówczesnej prasie (1878-1897) Część 2. 16 <i>Kazimierz Stolecki</i>	Wypowiedź jurora 62 <i>Marcin Jurzysta</i>
Wojciech Kossak i gdańska wódka 33 <i>Lucjan Cimek</i>	Ocalić od zapomnienia 64 <i>Stanisław Ciechański</i>
Ruchome zabytki archeologiczne pochodzące z przypadkowych odkryć z terenów Borowicy (gm. Łopiennik Górny) 35 <i>Jacek Kiszczak</i>	Start 1944 66 <i>Henryk Sieńko</i>
Dzieje Udrycz (gm. Stary Zamość). Zarys tła historycznego i archeologicznego 39 <i>Jacek Kiszczak</i>	Poezja - Lucjan Cimek 69
Kultura muzyczna Krasnegostawu na przestrzeni ostatniego stulecia. Część IV. Historia powstania i działalność Państwowej Szkoły Muzycznej im. Witolda Lutosławskiego w Krasnymstawie 44 <i>Joachim Kawęcki</i>	Poezja - Stanisław Bojarczuk 70
Sukces ucznia z „Norwida” i cykliczne działania filmowe MDKF „Iluzjon” 49 <i>Ewa Magdziarz</i>	Mieszkańcy XIX-wiecznego Krasnegostawu 70 <i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>
Krasnostawskie Kłęczące Drzewo w tle historii miasta ... 53 <i>Irena Kulik</i>	Laureaci XII Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty Pisz!” im. Mariusza Kargula 2019 72
Kosmos dla dorosłych w bibliotece 55 <i>Elżbieta Patek</i>	Podróż przez okrychy losów 80 <i>Irena Iwańczyk</i>
	Gorycz życia dziecka 81 <i>Irena Iwańczyk</i>
	Poezja - Mirosław Iwańczyk 83
	Więzenie bez krat. Dzień z życia Sybiraka 85 <i>Mikołaj Kalisz</i>
	Proza - Grzegorz Pelczyński 87



NR 1 (47) 2019 NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnostaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Ofcyna Wydawnicza ELIPSA - Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura
Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Pilat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnostaw

Nakład sponsorowany przez:
Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnostaw)
Artur Borzęcki (Krasnostaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnostaw)
Lucjan Cimek (Krasnostaw)
Leszek Janeczek (Krasnostaw)
Ewa Magdziarz (Krasnostaw)
Henryk Radej (Chełm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Andrzej David Misiura

Twórcy wieku niepodległości. Rzeźbiarz Józef Ciechan - cz. I



Początek ubiegłego stulecia charakteryzował się aktywnością polskiego społeczeństwa na terenach objętych zaborami. Ożywieniu sprzyjało rozluźnienie ucisku spowodowane niepomysłną sytuacją polityczną okupujących nas mocarstw. Zdecydowaną szansę przyniosło odzyskanie długo oczekiwanej niepodległości w 1918 roku. Lokalne inicjatywy zaczęły uwalniać się początkowo w lepiej zorganizowanych lub bogatszych gminach, a w kolejnych latach - na pozostałych terenach. Siennica Różana miała szczęście należeć do tych pierwszych. To tutaj, jeszcze w ostatniej dekadzie XIX wieku powstało pierwsze w Królestwie Polskim Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe, tkalnia i chór chłopięco-męski, który dał początek zespołom artystycznym istniejącym do dziś. Po roku 1910 zawiązała się straż ogniowa, orkiestra kościelna, teatr i kolejne organizacje oraz zespoły. Ujawniło się wiele talentów, a wśród nich muzycy, śpiewacy, aktorzy i tancerze. Narodziło się również wielu twórców uzdolnionych plastycznie, którzy swój talent przejawiali, wykonując rękodzieło, wówczas jeszcze niedzielone na artystyczne i użytkowe. Niepowtarzalnym kunsztem lśniły gobeliny, bieżniki, kilimy, chodniki, haftowana pościel, stroje, bielizna, serwety i obrusy, wyroby plecionkarskie ze słomy oraz wikliny, przedmioty i ozdoby z metalu, drewna oraz papieru na wszelkie okazje. Tak naprawdę, można powiedzieć, że większość ludzi parała się najróżniejszą twórczością. Jednak do malowania dekoracji teatralnych, obrazów lub układania wierszy potrzebne były jeszcze inne talenty i na terenie gminy również ich nie brakowało. Trudno nie wspomnieć o chłopcach rzeźbiących kozikiem w zwyczajnej korze, drewnie lub białym kamieniu. Kto wie jak potoczyłyby się losy tych najbardziej uzdolnionych, gdyby ktoś mógł roztoczyć nad nimi artystyczną opiekę.

Samorodnym mistrzem sztuki rzeźbiarskiej okazał się Józef Ciechan. Urodził się 17 marca 1908 roku w Siennicy Różanej. Rodzice jego byli

rzemieślnikami - ojciec Wojciech cieśla, a matka Józefa ze Smerdelów - krawcową. Nie posiadali gospodarki. Mały Józio uwielbiał rysować i rzeźbić. Podczas gdy matka zajęta była szyciem, bawił się z młodszym o pięć lat bratem. Biednie było, ponieważ ojciec poszedł na wojnę i dostał się na cztery lata do niewoli. Z powodu inwalidztwa nigdy już nie mógł pracować zarobkowo. Utrzymanie domu spoczywało na matce. Po kilku latach rodzina Ciechanów przeżyła kolejną tragedię, gdy w 1922 roku po upadku z drabiny zmarł jedyny brat Józia.



Józef Ciechan z matką i młodszym bratem, 1917 rok.

Rok później, jako piętnastolatek, po ukończeniu Publicznej Szkoły Powszechnej w Siennicy Różanej zaczął terminować u miejscowego stolarza, gdzie przy okazji miał możliwość rzeźbić dłutami stolarskimi. W wolnych chwilach spod jego ręki wychodziły pracownice wykonane drobne figurki, którymi obdarowywał znajomych. Misterną płaskorzeźbę otrzymał również na swoje imieniny 19 marca 1926 r. ksiądz proboszcz Józef Terebus, który kilka miesięcy wcześniej (23.08.1925) objął siennicką parafię. Prezent wręczony został w imieniu chóru parafialnego i ludowego, które przygo-

towały okolicznościowe pieśni i recytacje. Warto zaznaczyć, że Józef Ciechan należał do obu zespołów. Rzeźba zawisała w proboszczowskiej sypialni, a sława o uzdolnionym parafianinie dotarła do powiatowego inspektora szkół podstawowych w Krasnymstawie niejakiego Sztajdenberga, który złożył wniosek o stypendium i - co najważniejsze - wystarał się o przyjęcie młodego rzeźbiarza do Państwowej Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem. Z początkiem września rozpoczęła się nauka, ale w domu Ciechanów nie było pieniędzy na opłacenie 300 zł rocznego czesnego oraz 90 zł miesięcznej opłaty za internat. Wezwanie na egzamin pozostało więc gdzieś na dnie szuflady.



Ks. Józef Terebus (1889-1955)

Pod koniec września ksiądz Józef Terebus, widząc, że Józio traci życiową szansę, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i odwiózł spóźnionego ucznia do zakopiańskiej szkoły. Jego obecność okazała się nieodzowna w sytuacji, gdy uczeń nie stawiał się na wstępny egzamin. Był dobrym kaznodzieją, a podczas spotkania z dyrektorem Karolem Stryjeńskim okazał się także świetnym dyplomatą. Na wstępie naświetlił trudną rodzinną sytuację kandydata, przedstawił go jako dobrego ucznia, harcerza i społecznika biorącego udział w życiu artystycznym gminy, a przy tym uzdolnionego autora licznych rzeźb, spośród których jedna znajduje się nawet w sekretariacie szkoły. Usprawiedliwił przy tym, że uczeń nie mógł się stawić na egzamin z powodu kłopotów finansowych, chociaż liczył na obiecane stypendium, ale nie zostało mu ono do tej pory wypłacone. Na zakończenie ksiądz Tere-

bus zadeklarował opłacić czesne za szkołę oraz internat za pół roku z góry, zaręczając, że Józio będzie pilnym uczniem.

Od początku przyjaźnie nastawiona sekretarka przyniosła akta Józia, wśród których była również prośba inspektora szkolnego. Dyrektor szkoły uważnie przyjrzał się dokumentom oraz próbnej pracy i stwierdził, że po raz pierwszy skorzysta z przysługującego mu przywileju przyjęcia ucznia bez egzaminu, na dodatek w miesiąc po rozpoczęciu roku szkolnego. Słyszając te słowa, wszyscy roześmiali się z ulgą oprócz Józia, który jeszcze - jak to określiła sekretarka - był bardzo „zestrachany”. Dyrektor zobowiązał go do przyrzeczenia, że do półroczna nadrobi zaległości, na co Józio z przejęcia odpowiedział „przysięgam” zamiast „przyszekam”.



Państwowa Szkoła Przemysłu Drzewnego w Zakopanem.

W sąsiadującym ze szkołą internacie przyjął ich kierownik i prefekt ks. Pietrzak, który z załopotaniem rozłożył ręce tłumacząc, że ma przepełnienie, ponieważ w pięciu salach nocuje, aż 96 uczniów, z czego czterech musi sypiać na podłodze. Ksiądz Terebus, który wobec duchownego kolegi czuł się bardziej ośmielony odważnie zadeklarował, że nowy uczeń dobrze zna biedę i może spać nawet na podłodze, byleby go nie odsyłać na stancję. Prefekt po namyśle wyraził zgodę, wożnemu polecił dostarczyć dodatkowy materac i ułożyć go pod oknem w sali nr 3, informując przy tym, aby każdego ranka legowisko było uprzątnięte, a słoma z siennika zmieciona.

Obiady w internacie mógł jeść dopiero od następnego dnia toteż ksiądz proboszcz zabrał go przed odjazdem na pożegnalny posiłek do góralskiej gospody. Później przemierzeli spacerkiem

Krupówki i zawrócili w kierunku dworca, ponieważ zbliżał się czas odjazdu pociągu do Krakowa. Ksiądz zatrzymał się przed znajomą już gospodą, aby kupić papierosy na powrotną podróż. Zaniepokojony dłuższą nieobecnością swojego opiekuna Józio postanowił go odszukać i szybko okazało się, że ksiądz wyszedł bocznymi drzwiami. Z dworca napisał jednak pocztówkę, w której przeproszał, że wyjechał bez pożegnania. Chciał w ten sposób uniknąć przykrego dla Józia rozstania.



Uczniowie i kadra szkoły na tle internatu. Siedzą: inż. Kopkowicz, prof. Turek, dyrektor Karol Stryjeński, prof. Brzega, sekretarka Wasilewska i ks. Pietrzak.

Niebawem, 5 października 1926 roku dyrektor zorganizował dla całej szkoły trzydniową wycieczkę w góry. Zadbął o wszystkie szczegóły, ponieważ był taternikiem i prezesem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Podczas forsownej eskapady Józio miał okazję nie tylko poznać urok gór, ale również podziwiać i korzystać ze schroniska w Dolinie Pięciu Stawów, które projektował dyrektor inż. Karol Stryjeński (1887-1932).



W 1926 roku Józef Ciechan wstępuje do harcerstwa.

Józef Ciechan trafił do pracowni profesora Wojciecha Brzegi. Przydzielono mu stół rzeźbiarski zwany strugnicą i komplet profesjonalnych dłut. O ten przedmiot nie musiał się martwić, natomiast trudności nastręczyły mu przedmioty teoretyczne. Zaległości nadrobił jednak po dwóch miesiącach dzięki notatkom i pomocy kolegów. Kolejne lata nauki i studiów utwierdziły go w przekonaniu, że łatwiej i więcej można się nauczyć właśnie od kolegów aniżeli profesorów.



Józef Ciechan siedzi przy stole rzeźbiarskim.

Dyrektor, zdając sobie sprawę z marnego wyżywienia w internackiej stołówce i widząc biednego, wątłego chłopca, już pierwszego dnia zapewnił, że poleci go pracowni stolarskiej jednego z absolwentów i dotrzymał słowa. Zakład produkował pamiątkowe szkatułki, do których nowy uczeń dopasowywał wieczka, montował zawiasy, zamki i politurował. Robota szła mu dobrze, bo przecież przez ostatnie trzy lata terminował u stolarza. Zarabiał przy tym wystarczająco, aby zafundować sobie lepsze posiłki, a wkrótce kupił nawet buty oraz spodnie „pumpy” zapinane na klamrę pod kolanami, ponieważ w górach takie się nosiło.

W początkach grudnia, na wieczornym apelu kierownik internatu ogłosił, że pewien anonimowy profesor ze Lwowa ufundował dwa jednorazowe stypendia po 600 zł dla najzdolniejszych uczniów. Zainteresowanych prosił o napisanie podania bezpośrednio do darczyńcy. Ciechan miał szczęście, bo stypendium wystarczyło mu na opłacenie drugiego półroczka. W tym samym czasie zwolniło się łóżko w internacie - nie musiał już codziennie sprzątać po sfatygowanym materacu.

We wszystkie dni wolne od nauki i pracy chodził w góry. Początkowo było mu ciężko od-



Z grupą przyjaciół.

dychać, ale z biegiem czasu czuł się coraz lepiej. Szkolny lekarz przy każdym badaniu niepokoił się jakimś szmerami w płucach, aż w 1928 roku wyznał: *Teraz jestem o ciebie spokojny, jesteś zdrow! Masz szczęście, że przyjechałeś do Zakopanego. To powietrze cię uleczyło nie ja, nie wiadomo, czy żyłbyś do tej pory, gdybyś nie mieszkał tu w górach.*



Józef Ciechan, 1928 r. i 1931 r.

Marzył więc, aby kiedyś sprowadzić rodziców do Zakopanego i zamieszkać z nimi tutaj na stałe. Liczył, że górski klimat i z nich wyciągnie choroby, a przynajmniej poprawi stan zdrowia, szczególnie ojca, spracowanej matki, a może jeszcze innej bliskiej sercu osoby. Ponadto w tym środowisku jest możliwość rozwoju artystycznego oraz szerokie perspektywy do uprawiania rzemiosła czy chociażby produkcji artykułów pamiątkarskich.

Jednym słowem wymarzone miejsce dla całej rodziny. Śmiały plan młodego chłopaka uzależniony był jednak od wielu rzeczy i w efekcie nigdy nie został zrealizowany.

ARTYSTYCZNA PRACOWNIA
SNYCERSKO-RZEŹBIARSKO-KAMIENIARSKA
JÓZEFA CIECHANA
W SIENNICY RÓŻANEJ POW. KRASNYSTAWSKIEGO

Józef Ciechan wrócił do rodzinnej Siennicy Różanej i założył Artystyczną Pracownię Snycko-Rzeźbiarsko-Kamieniarską. Nie narzekał na brak zamówień. Pierwszym zleceniem z poręczeniem ks. Terebusa była chrzcielnica dla kościoła św. Michała Archanioła w Żdżannem. Ufundowała ją hrabina Maria Smorczewska. Później posypały się następne zamówienia, lecz Ciechana w Siennicy Różanej interesowała nie tylko praca i rodzina, ale również sympatia - uroczą Marysiałę Drzasówną, nazywaną w tamtych czasach, jak wszystkie kobiety o tym imieniu, po prostu Maryśką. Maria Drzas zawładnęła sercem młodego rzeźbiarza. Kto wie czy nie myśleli o zaręczynach, bo zdjęcie młodych wykonane w 1931 r. w towarzystwie rodziców wygląda bardzo familijnie. Przechowywał je pieczołowicie do końca życia. O jego wartości emocjonalnej świadczy chociażby fakt, że po wielu latach życzył sobie, aby najmłodszy syn Stefan, historyk sztuki i znawca fotografii wykonał jego kopię w większych rozmiarach.



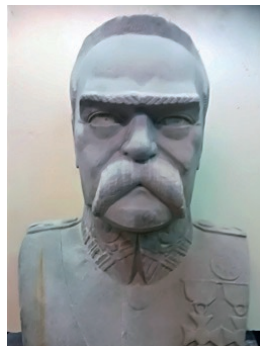
Tego samego roku zmarł ojciec Józefa - Wojciech Ciechan. Niezadługo po tym jak rodzinny dom opuściła żałoba, Józefa dopadł kolejny cios - okazało się, że jego wybranka, zawsze pogodna Marysia zapadła na nieuleczalną wówczas gruźlicę. Zmarła 5 lipca 1934 roku. Można się domyśleć co przeżywał, gdy musiał ją na zawsze pożegnać, a później jeszcze, wykonywał dla niej nagrobek z piaskowca. Ponad datami i nazwiskiem: „Maryśka Drzasówna” umieścił zdjęcie i wykuł piękną inskrypcję: *Zawsześ li trumna jest ostoją u kresu dróg. Niechajżeż nad biedną duszą twoją ma litość Bóg.* Pochowana została na siennickim cmentarzu, obok wcześniej zmarłego brata i ojca, ale nikt nie pamięta, czy nagrobek dla nich Józef Ciechan rzeźbił przed czy po jej śmierci. Wiadomo natomiast, że pomniki musiały się zdecydowanie wyróżniać wśród nielicznych zwyczajnych nagrobków i większości ziemnych grobów.



Chociaż Józef Ciechan zbytnio nie łączył wykonywania nagrobków z uprawianiem sztuki, to wiadać było w nich wyobraźnię artysty, a jednocześnie precyzję i staranność architekta. W zależności od zamówień rzeźbił również cmentarne pomniki, których wiele można spotkać na krasnostawskim cmentarzu, ale o nich napiszemy w innym wydaniu „Nestora”.

Jeden z dokumentów podpisany przez naczelnika gminy w Siennicy Różanej Ryszarda Stasiuka (1977) potwierdza, że rzeźba marszałka Józefa Piłsudskiego przechowywana w tutejszym urzędzie wykonana została w 1934 roku przez Józefa Ciechana. Bardzo podobna rzeźba tego samego autora pojawiła się w latach dwutysięcznych w pracowni historycznej Szkoły Podstawowej w Siennicy Różanej i eksponowana była tam do 2018 roku. Później, na zlecenie Centrum Kultury

w Siennicy Różanej poddana została renowacji. Sygnowana jest rokiem 1937. Być może jest to ta sama rzeźba, ale na pewno jedna z nich przed wojną zdobiła plac przed siennickim urzędem.

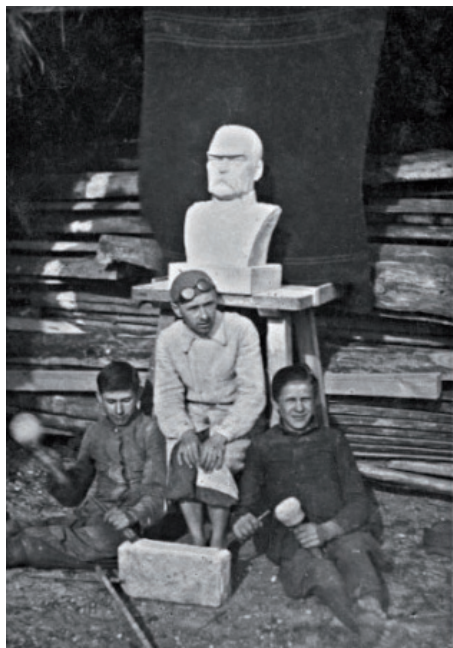


Popiersie Józefa Piłsudskiego, stan na 26.04.2018 r.,
po renowacji, listopad 2018 r.

Józef Ciechan miał w swojej pracowni wielu uczniów. Nie znamy nazwiska żadnego z nich, ale publikujemy jedno ze zdjęć ze wspomnianym wcześniej popiersiem J. Piłsudskiego. Jeżeli ktośkolwiek rozpozna któregoś z chłopców na fotografii, bardzo proszę o podzielenie się z nami tą informacją. Taka wiadomość uzupełniłaby interesującą historię działalności mało znanego artysty rzeźbiarza.

Wiosną 1939 roku przeniósł się do Krasnegostawu, gdzie kontynuował działalność. Z szydlowieckich kamieniołomów sprowadził wagon piaskowca, który władze miejskie w Krasnymstawie pozwoliły złożyć na placu targowym na terenie dzisiejszej Szkoły Podstawowej nr 1 przy ul. Mickiewicza. Pojawiało się coraz więcej zamówień dzięki, którym piaskowiec został splecony jeszcze przed wybuchem wojny.

1 października 1939 roku zawarł cichy ślub z Janiną Wiśniewską, natomiast w grudniu zwerbowany został przez Jana Zadręga „Znicza” (brata Stanisława, wójta gminy z Siennicy Różanej) do współpracy przy wydawaniu prasy konspiracyjnej. W lutym 1940 roku zaprzysiężony został pod pseudonimem „Cyprian” do wywiadu Związku Walki Zbrojnej Zakręcie. Pierwszym zadaniem było wykonanie drewnianych kaszt na czcionki drukarskie, które „Znicz” sprowadził z Warszawy. Każdy rodzaj czcionki musiał mieć własną przegrodę, aby można było bez sprawdzania układać wyrazy.



Pamiątkowe zdjęcie z uczniami na tle ukończonego dzieła, Siennica Różana 1937 r.

Drewno, które przeznaczone było na budowę domu mieszkalnego w Siennicy Różanej wykorzystał na zmontowanie pracowni mającej (dla bezpieczeństwa) jedyne wejście przez mieszkanie w domu teściów przy ul. Szkolnej. Dodatkowym zabezpieczeniem był drut kolczasty okalający posesję. W pracowni tej najczęściej nocami naprawiał lub wymieniał zniszczone kolby karabinów okolicznym partyzantom. Gdy w styczniu 1941 roku wszedł w skład redakcji tygodnika „Ziarno”, wykonywał również winyety oraz ilustracje. Radioodbiornik, sześciolampowy telefonken, który otrzymał na przechowanie od księdza Aleksandra Mischczuka ukrywał w specjalnej skrzyni z podwójnym dnem. W górnej części skrzyni znajdowała się kilkuncentymetrowa warstwa rzepaku, a po odkręceniu środków wkrętów na zewnętrznych bokach i podniesieniu górnej części z rzepakiem, na podłodze zostawała część dolna z odbiornikiem, na którym całą wojnę nasłuchiwał wiadomości.



waga, która w świecie i u nas wywołuje. Zasady Karły Aljancji, i podobnych traktatów, polsko-sockich maszą być szanowanymi. Faktów do rozumowania Polska nie uznawała i nie uzna nigdy. Wobec tego rząd polski zdecydował, pośrednictwo w sprawie tej, oddać rządom angielskiemu i amerykańskiemu, które otercie przyjął. Z wypowiedzi oficjalnych przedstawicieli tych rządów sądzić należy, że sprawę traktującą zupełnie serio z pełną świadomością, iż od dobrego rozwiązania tego problemu zależy bezpieczeństwo w Europie, co zwyciężają odłożą się na porządku w całym świecie.

Rząd sowiecki usiłuje przemawiać do narodu polskiego z pominięciem rządu naszego, lecz w swej propagandzie zagłupowuje się tak daleko, że sam się dyskredytuje. Aż do chłopów i robotników, by uchwycili ster w państwo w swe ręce i nie dali się oszukać burżojom i faszyzmem. A tymczasem wszystkim wiadomo, że u steru władzy polskiej jest właśnie CHŁOP i to nie zastraszony, bo otaczają go szczerze chłopci jak i sołdaci.

Tak to już jest, że grabo nieci władz z dylek.

Naród polski pragnie dobrych, przyjaznych stosunków z waszylum sąsiadami, lecz rosyjskie i lojalnejsi musi ochować nastawienia obu stron.

WÓDZ NACZELNY KAZIMIERZ SOSNOKOWSKI generał broni

W chwili decydujących zmagani, gdy wszelkie problemy rozwiązywane są mieczem jak ów „wąż gorydyski” — oży nawa kierują się w stronę tego, który ma obowiązki i prawo zjadać od nas oliwę drzew na rzekę Ockymy. Oboj — Sprzątaj Ma w ozy i saha, ty sarajem całym. Wódz, który posiada wzajemną ufność zwoi żołnierzy zdoła spowodować że Naród odkryje się chwytą odniesionego Zwycięstwa

Dziś mamy w dłoniach zimną stal.
Kamie, z ochotą pełnią straż.
Błagamy! — Wzrok kierując w dół.
Rozkaz nasz dał, o Wodzu nasz!



Z FRONTÓW WALKI

Front wch.: Front wchodni, który do niedawna tylko na południu krążył, obecnie na całej swej długości drgnął do nowego wysiłku. Ostatnie dni przyniosły wieść o rozpoczęciu ofensywy sowieckiej pod Leningradem. Długotrwałe oblężenie stolicy północnej Rosji, aż przyszedł czas i Rosjanie rozpoczęli skoncentrowanymi siłami powietrzno-lądowymi ataki. Mimo otwarcia nowego ogniska zapalnego wojska sowieckie innych frontów prowadzą silne walki ofensywne. Szczególnie zaciecie walki toczą się na południu. Wojska sowieckie kierują sobie drogę w kierunku na Bałkany. Równocześnie rozszerzają szeroki klin, wbiły w pozycje niemieckie na terytorium Kolskiej, gdzie podchodzą pod Rowne, kierując swe uderzenie na Pińsk i Kowel. O zaciętości walk świadczy chociażby taka statystyka strat niemieckich na kijowskim froncie: armie sowieckie, którymi dowodzi gen. Watulim, zabili w pierwszych 10 dniach stycznia 100 tys. Niemców, 7 tys. wzięły do niewoli i zniszczyły 2 tys. czołgów.

Front pld.: Ażkołwiek postępy alianckich wojsk we Włoszech są powolne, wciąż jednak wiele rezerw niemieckich, podobnie jak i ekipa partyzanów jugosłowiańskich. Tragedia rozbicia wewnętrzznego wśród Japończyków, zmniejsza wpływ ich niebezpieczeństwa dla Niemców, nie opłaniając całkowicie jest dla nich nie do osiągnięcia.

Front lotniczy: Wszelkie dotychczasowe działania Jędowa prowadzą do zdobycia pozycji wyjątkowych do ataku na europejską twierdzę Hitlera. Planami lotniczo od dawna krążyły te twierdzy od strony zach. Ataki lotnicze najbardziej wpływają na zmianę woli walk u narodu niemieckiego, który błądy nie raz w wojnie na własnym terenie. Teraz już poznaje w całej gwie. Efekty osłabienia bombardowań rajzy-wolnolajnych miejsc niemieckiej naciły wojennej nie zagłuszają najbardziej hałaśliwą propagandą. Społeczeństwo niemieckie w głuchej rezygnacji oczekuje końca zapowiedzianego przez Hitlera: „Albo wygramy, albo zginemy na 100 lat.”

A w wygranej już nawet nie śmiał wierzyć.

Dotychczasowe ataki to dopiero początek. Alianci dysponują nie tylko dostateczną ilością samolotów, ale też wszelkimi maszynami używanymi i mającymi, dopiero wód w użyciu staje p. wód, że gdy akcja zaczyna się na całym regularnie to — „rozpadnie się w proch i w pył krzyżakowski zawłrota”.



POWSTANIE STYCZNIOWE

W nocy 22/23 stycznia 1969 roku Polacy porwali za broń, by zerwać łańcuch niewoli. Choć im się to nie udało zadokumentowali przed światem, że Polska żyje i żyć będzie wiecznie. Dziś lepiej niż kiedykolwiek ocenilo potrafimy decyzyję walki nawet bez widoków na zwycięstwo, bo „Polsk nie sługu, nie zna co to pany. Nie da się mocą zakuwać w kajdany”. To umiłowienie sprawiedliwej wojnoej kazalo Polakom chwytac za broń w okresie powstani u siebie i z bronią maszerowac hen na krańca świata, by walczyć „za waszą i naszą wolność”. Ta sama idea sprawila, że obecna wojna rozpoczęła się na naszych granicach i mimo przegranej pierwszej bitwy, dźierzymy broń i czekamy na moment, aż nadejdzie czas słoczenia ostatniej — . Tak wygramy!

SPRAWY POLSKIE

Na arenę polityki międzynarodowej wypłynęły znowu sprawy bezpośrednio dotyczące Polski. Wzwiązku z przekroczeniem naszej granicy wschodniej przez wojska sowieckie w podjęciu za Niemcami, kwestia wschodniej granicy Rzplitej została zakwestionowana przez czynnik sowiecki. Próba ta spowodowała się z zdecydowanym odporem polskich czynników decydujących. Propozycje sowieckie, prowadzące do wszczęcia dyskusji na temat granicy polsko-rosyjskiej, zostały w wypowiedziach polskiego rządu polubliwie. Rząd polski pragnie nawiązania przyjaznych stosunków z rządem sowieckim, lecz Sowiety muszą swe postępowanie oprzeć na zasadach obo-

[illegible]

Sam mówił: „W okresie prz. i załamaniem się Francji stworzone zostały cztery jednostki wojskowe, które po bohaterskich walkach rozlały imię Polski—To był pierze „y słup graniczny naszej w.łki o Pol.ę—Ci, którzy się anta. d. Polski roz. wówczas pod-
nawozion”

[illegible]

Kraj nallapioj uczenia Jego działalność, ale i On wielką troską otoczył społeczeństwo w Kraju i do niego skierował swój ostatni apel:

[illegible]

Generał SIKORSKI dobrze zasłużył się państwu, a zwłoki Jego spoczną po wojnie na Wawelu. (UCHWAŁA RZĄDU RP)

PIERWSZA BOLESNA ROCZNICE ZGONU Ś. P. GEN. SIKORSKIEGO
ŚWIĘTMY W SKUPIENIU, PRZEPŁNIENI ZAŁEM, ŻE NIEMA GO WŚRÓD
NAS ŻYJĄCYCH.



Ś.p, gen. Wł. Sikorski.

jest zasługa ani moja, ani kolegi redaktora, ani nawet żadnego pana komendanta.

Gdy o tym pamiętać będziemy wówczas odpadnie pod-
łoże do anarchii. Zrozumiemy bowiem, że miejscem dyspo-
zycji całego życia Narodu jest Rząd Rzeczypospolitej. Armia jest
jednym, ze zjawisk życia Narodu. Najważniejszym — ale nie
jedynym. Wówczas też wzajemnie się cenić będziemy.

Gdyby już nam nie było — tylko niewola — lub śmierć — wówczas wszystko powinniśmy rzucić — i na rozkaz Wodza Armii zginąć wraz z żonami i dziećmi — mszcząc się naszej krzywdy przed śmiercią. Lecz nas czeka życie! Dlatego musi być utrzymana cała szeroka skala tego życia.

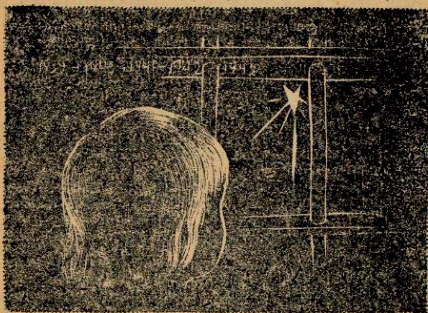
ZE ŚWIATA

Okres przysięgłeczny wykryśliżował ostatecznie obraz obcej wrony. Zasadnicze kontury tego obrazu za przedstawione całej szerokiej opinii świata, aczkolwiek subtelności tego dzieła dostępne są wyłącznie dla wybitnych znawców czyli autorówłów decydujących. Szereg niezmienne ważnych ustatkowań zasadniczo decydujących, które zapadły na kilku najdłuższych konferencjach, pomiędzy głównymi partacjonalistycznymi, tej gigantycznej grze, Zjednoczonymi definitywnie, jak i kiedykolwiek, na świecie, nie przysięgłeczny. Szeroki ogół już wie, że zmobilizowano wszystkie siły, by pokonać grę. Stanowisko neutralnych dotychczas państw zostało wyłączone. Foczekiwno by przez tylko biew państw z radością uczestnicząc w pewności zwycięstwa. Ale kto zbiera owoce odniesionego współmimośmiernie zwycięstwa? Kto „alje” zasiepa nieco nasze oblicza. Bo nie znamy dokładnie obrazu świata powojennego. My Polary mamy wiele powodów, by usprawiedliwić nasz niepokój. Jazne i szlachetne to obraz, przedstawionego w „Kardio Atlantyczny”, przemyślanej powu i przemyślanej, nie przemyślanej. Zawarcie paktu przysięgłecznej i wspaniałej pomocy między państwami, które przysięgłeczne, młodo zasadniczo politycznego stanowiska Rządu przysięgłecznej, paktu, jest corazmniej próba sterpowienia federacji środkowo-południowej Eurory, zaproskowej i przeprowadzanej przez Rząd Polski. I szczęściem byłoby dla nas, gdybyśmy nie byli zmuszani kiedyś zawołać: „Panie chroń nas od „przysięgłecznej”, bo z nieprzysięgłecznej sobie „tem”.



Szczere, pełne głębokiej serdeczności, życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia, Czytelnikom „ZIARNA” i „ZEWY” przesyła —

РЕДАКЦІА



Żata te były żalobą i próbą.
Próbą budowy zburzonego gniazda;
Wśród wałk jednostkom niezatartą żgubą —
Drogą dla wszystkich, gdzie Wolności Gwiazda.

Podobne rozwiązanie miało wejście do podziemnej drukarni, zlokalizowanej w ogrodzie Panasowej, córki Józefa Zadraga w Kolonii Zakręcie. Wchodziło się z domowej piwnicy przez zamaskowany tunel o długości około 20 metrów. Budowa była żmudna, długo kopano nocami, ziemię wynoszono w workach i składano na wóz stojący przy domu, a świtem wywożono daleko w pole. Należało zachowywać szczególną ostrożność, ponieważ pomieszczenie znajdowało się zaledwie 6-8 metrów od wiejskiej drogi, którą często chodzili mieszkańcy i przejeżdżały niemieckie samochody. Nad ziemianką leżała sterta słomy, a przez nią prowadził drewniany kanał doprowadzający powietrze. Wymyślił go najmłodszy syn Józefa Zadraga zastrzelony przez SS-manów Engelsa i Klemma w lutym 1941 roku w Izbicy, podobnie jak syn Stanisław, wójt Siennicy, który zginął 20 września 1939 roku na własnym podwórku z rąk żołnierzy Wehrmachtu razem ze swoim szesnastoletnim szwagrem Józefem Gułasiem.

Józef Ciechan wspomina, że ze Stanisławem Zadragiem, podobnie jak z jego rodziną łączyła go wielka przyjaźń. Latem 1940 roku, na wspólnej mogile zastrzelonych postawił nagrobek z piaskowca. Wykonał na nim bardzo wymowną, alegoryczną płaskorzeźbę przedstawiającą Matkę Boską rozpościerającą swój płaszcz nad poległym polskim żołnierzem. Chciał w ten sposób porównać tę ofiarę życia ze śmiercią na linii frontu. Pod rzeźbą znajdowała się inskrypcja: *Królowo Korony Polskiej - módl się za nami*. Ksiądz Terebus potwierdził, że taki napis można zamieścić, ponieważ jest to fragment Litanii do Matki Boskiej, a okupanci przecież nie zabronili się modlić.

Trzeci syn - Jan Zadrag, naczelny redaktor podziemnej prasy, przeżył okupację. Po wojnie przyjeżdżał ze Szczecina leczyć oczy u profesora Tadeusza Krwawicza w lubelskiej Klinice Okulistycznej. Któregoś razu, bodajże w latach 60. XX w. próbowali razem z Józefem Ciechanem odnaleźć drukarnię, ale po bezowocnym przekopaniu pięciometrowego odcinka w celu odnalezienia śladów po tunelu, zaniechali poszukiwań. W drukarni spodziewali się znaleźć bezcenne pamiątki: czcionki, prasę, winiety i rzeźbione matryce do powielania ilustracji w „Ziarnie” oraz wydawanym od września 1942 roku czasopiśmie „Zew”. Wyko-

nywanie drewnianych matryc było czasochłonne, toteż od 1943 roku Ciechan zwerbował do pomocy swojego kolegę ze szkoły w Zakopanem - Stefana Momota, który później wyprowadził się do Warszawy. Drukarnia była dobrze zorganizowana pod każdym względem i bez problemu działała do końca wojny.

Tymczasem w połowie czerwca 1942 roku ks. proboszcz Józef Terebus dał znać przez swojego brata Piotrusia, aby Ciechan naprawił złoczone ornamenty, które odpadły z głównego ołtarza w siennickim kościele. Piotruś drobnej postury był studentem weterynarii, ale wojna nie pozwoliła mu kontynuować nauki. Tego dnia jechał do chorej matki do wsi Wilków (do 1952 r. Wołkowyje) w powiecie hrubieszowskim i nie krył, że w tej okolicy bandy Ukraińców napadają i mordują Polaków.



Ciechan udał się następnego dnia na rowerze do Siennicy Różanej, wiedząc jak wiele zawdzięcza księdzu Terebusowi, który troszczył się o niego, zapewniając nowe zlecenia w okolicznych parafiach. Pomimo, że pracę rozpoczął tuż po zakończeniu porannej mszy świętej, nie zdołał jej jednak zakończyć przed wieczorem. Powrót rowerem do domu w Krasnymstawie, a rankiem ponowny przyjazd stanowczo odradzał mu ksiądz proboszcz, twierdząc, że zanim dojedzie zapadnie zmrok, a nocą bez latarki może być niebezpieczne. Zaproponował mu więc nocleg na łóżku nieobecnego Piotrusia. Ciechanem targnęło wówczas niejasne przeczucie, aby nie zostawać na noc i wrócić jednak rowerem, ale mimo tego uległ namowom.

Późnym wieczorem jedli kolację, gdy około 21.30 na plebanię wkroczyli żandarmi z miejscowego posterunku: komendant Otto Sass i zastęp-

ca Sosna (lub Sosner), którzy siali powszechny postrach. Dwóm dużym wilczurom nakazali ułożyć się przy piecu, a na stole postawili z rozmachem po butelce wódki. Zachowywali się bardzo swobodnie jakby nieraz bywali na plebanii. Był zszokowany, bo po raz pierwszy widział tych oprawców z bliska. Ksiądz, chcąc zachować fason i udawaną swobodę powiedział, aby się nie obawiać, bo z wizytą przyszli przyjaciele. Niemcom przedstawił go jako rzeźbiarza i swojego wychowanka, autora wiszącego na ścianie krucyfiksu, który wykonał z okazji jego imienin na drugim roku zakopiańskiej szkoły. Sosna jako Polak z pochodzenia był tłumaczem i na te słowa wymienił z komendantem porozumiewawcze spojrzenie. Jego znaczenie Ciechan poznał dopiero za kilka tygodni.



Krucyfiks z dedykacją: KS. J. TEREBUSOWI NA IMIENINY
19.III.1928 ROKU PIERWSZĄ SVOJĄ SAMODZIELNĄ PRACĘ
OFIAROWUJE WDZIĘCZNY JÓZEF CIECHAN UCZ. II.R. RZEZBY
PSPD W ZAKOPANEM.

Gospodyni podała przekąskę, a żandarmi rozgościli się na dobre, często polewając wódkę. Ciechanowi udało się wymówić od picia chorobą i przyjmowaniem leków, czym się Niemcy specjalnie nie zmartwili, ponieważ zależało im aby upić księdza. Ciechan senny i zmęczony po całodzien-

nej pracy kilka razy wychodził do kuchni. Nowa gospodyni, młoda kobieta pochodząca gdzieś spod Poznania mówiła, że Niemcy dość często przychodzą na plebanię pić wódkę. Czternasto-, a może piętnastoletnia dziewczyna - pomoc kuchenna drzemała na ławce obok swojego żelaznego łóżka, ponieważ nie wypadało spać przy gościach.

Okolo 23 Ciechan wrócił do stołowego pokoju, gdzie Sosna wypytywał księdza o jakieś nazwiska. Proboszcz udawał pijanego i w końcu, popchnięty łokciem upadł z krzesła. Żandarm sprawdził trącając butem czy faktycznie jest taki pijany i wychylił przy tym ostatni kieliszek wódki, który nalany był dla rzeźbiarza. Następnie wymierzył w Ciechana parabellum i rozkazał wejść do kuchni. W tym czasie komendant przepuścił przed nim oba psy, a Sosna uderzył go pistoletem w głowę przez prawe ucho i Ciechan upadł rękami wprost na gorące jeszcze kuchenne blachy. Był przekonany, że zaraz wyprowadzą go do ogrodu i zastrzelą. W tym czasie komendant zaczął go bić z jednej strony pejcem z kulkami, a z tyłu okładał po głowie Sosna. W końcu silny cios w szczękę pozbawił go przytomności. Po jakimś czasie usłyszał krzyk gwałconej dziewczyny: *Nie, nie!* W odpowiedzi dobiegły uderzenia w policzki i dziewczęta umilkły. W kuchni był sam, ale pilnowały go psy. Pamiętał z konspiracyjnych pogadarek jak się zachować w takiej sytuacji, więc patrząc im prosto w ślepia i nie odwracając się plecami, bardzo powoli i spokojnie przesunął się w stronę drzwi prowadzących do ogrodu. Po czym błyskawicznie zamknął je przed tresowanymi zabójcami i zaryglował od zewnątrz. Wybiegł na drogę i pognał ile sił w nogach w kierunku wsi. Opodał budynku szkoły, a późniejszej gminy (obecnie sklep) wskoczył na przejeżdżającą furmankę. Gdy woźnica usłyszał co się dzieje, zaciął konie i po chwili byli już daleko. Niebawem dotarł do domu kuzynów i dopiero tam zaczął odczuwać ból po pobiciu. Miał poparzone ręce, poprzecinane dziąsła, wargi, ucho, płut krwią, a w skroniach pulsował nieznośny ból.

Rankiem kuzyn Konstanty Tryksza odebrał z plebanii rower oraz teczkę z narzędziami. Pobity i opuchnięty Ciechan mógł więc niezwłocznie umknąć do Krasnegostawu przez Wolę Siennicką, za starym cmentarzem omijając posterunek żandarmerii.

Chociaż dalszy ciąg tej historii pozornie nie łączy się z osobistymi losami Józefa Ciechana, to jednak warto go streścić przynajmniej w kilku zdaniach, ponieważ dotyczy jego przyjaciół oraz późniejszych wydarzeń.

Nie minęło kilka tygodni jak Piotruś wrócił z Wilkowa od chorej matki, która teraz wyglądała starszego syna. Proboszcz Terebus umówił więc na zastępstwo ks. Stanisława Galewskiego z Krasnegostawu. Nikt wówczas nie przypuszczał, że wyjazd do matki uratuje mu życie, ale nikt też nie sądził, że 13 lipca 1942 roku za sprawą niemieckich żandarmów męczeńską śmiercią zginie zagryziony przez psy jego rodzony brat Piotr Terebus oraz zastrzelony zostanie podczas modlitwy, wyświęcony zaledwie przed rokiem ks. Stanisław Galewski.



Piotr Terebus



ks. Stanisław Galewski

Przed popełnieniem bestialskiego mordu pijani żandarmi balowali na weselu Ukraińca niejakiego Świąćckiego, urzędnika gminy o czym opowiedział ze szczegółami inny urzędnik Wacław Domański, po wojnie zamieszkały w Krasnymstawie. Wszystko rozegrało się na plebanii kościoła Wniebowzięcia NMP w Siennicy Różanej, a całą historię po latach zawarł w swoich wspomnieniach przyjaciel poległych - rzeźbiarz artysta Józef Ciechan.

Ksiądz Józef Terebus nie powrócił już do swojej parafii. Ostrzeżony przez państwa Barańskich z Krasnegostawu postanowił się ukrywać. Za to jeszcze w tym samym miesiącu na inspekcję do Siennicy Różanej zajechali motocyklem oficerowie SS Engels i Klemm, którzy w latach 1940-43 nadzorowali getto w Izbicy. Powodem przyjazdu musiał być donos dotyczący wspomnianego wcześniej nagrobka Stanisława Zadraga, który przed



dwoma laty wykonał Józef Ciechan. Postanowili go natychmiast zniszczyć, podkładając granat, ale eksplozja nie zrobiła zbytnej szkody. Zwołali więc mieszkańców Siennicy, aby rzeźbę skruszyć młotami i kilofami. Klemm, prawa ręka Engelsa, który był Polakiem ze Śląska, a przed wojną odbywał w Zamościu zasadniczą służbę wojskową, pokrzykiwał teraz na cmentarzu: *Jak proboszcz mógł tolerować napis na nagrobku „Królowo Korony Polskiej - módl się za nami”!? Przecież Polski nie ma i już nigdy nie będzie!* Nikt mu wówczas nie próbował tłumaczyć, że jest to tylko fragment Litanii do Matki Boskiej - modlitwy niezabronionej przez okupantów, której jednak - jak się okazało - bardzo się obawiali.

Ostatnie zajścia połączyły się w spójną całość. Potwierdziło się, że ciągłe wizyty żandarmów na plebanii były wynikiem donosów zawsze wrogo nastawionych Ukraińców. Niemcy długo jednak nie mogli udowodnić proboszczowi wspierania zbiegłych jeńców i współpracy z ruchem oporu, aż ktoś skutecznie ich naprowadził na patriotyczny motyw umieszczony (przecież przed dwoma laty!) na nagrobku autorstwa Józefa Ciechana, którego żandarmi niedawno poznali na plebanii... Wówczas musiał zarysować się im obraz kolejnej układanki, którą zainspirowały informacje uzyskane na patriotycznym weselu.

Andrzej David Misiura
cdn.

Stanisław Bojarczuk



Do pokrzewki

I

Każdej zimy tęskniłem za tobą ptaszyno,
wracająca co wiosny do naszego sadku.
Po Franciszku z Asyżu zdam się mieć cię w spadku.
Przylatasz, by mię cieszyć znów pień okruszyną...

Najpiękniejszej z pór roku rozgłoszenia świadku,
gdy kwitną sady, lasy pachną czeremszą.
Zwijże jeszcze raz gniazdko dziatwie pod faszyną,
by nad nim piał swe trele i mej troski gniazdku.

Śpiew twój drobnym gardziółkiem, którego nie zadość ci
wywiercać spod serduszka w ziele drzew ozdobie,
przypomina mi chwile dziecięcej radości,

kiedy to w Wielkim Dole, oddanym chudobie,
drżący leskot słowiczy roznamiętniał serce,
mnie, kwitnących ech łowcy i Zochnie pasterce.

II

Twój leskot pień doniosły poprzez tchyl ozonie,
które Matki Przyrody roztkliwiają łono,
że aż kwieci karminem jej policzki płoną,
złudza mi orchideę w misternym wazonie.

I niby cień Barbary, wyobraźnią płonna,
w mirażu po królewsku oglądam mą Zonię,
i jej cześć, choć część wrażeń w sonetach wydzwonię,
aby nie zaginęły za czasu zasłoną...

Ptaszko! witam raz jeszcze cię w życia rubieży,
póki w pędach uniesień płomienieją różę,
a wśród nich mej twórczości tulą się afisze.

Strumień mego żywota kaskadami bieży,
gra refleksu lśnień na jego zwierciadła lazurze,
póki mi schyłku wieczór klepsydra nie spisie.

Tu i tam

I

„Na tym kawałku roli Bóg położył dłonie”.
- Tymi słowy poetka nasza wielka śpiewa.
- Spójrzcie z punktu, gdzie rzeka Żółkiewka się zlewa
z rzeką Wieprzem, k południo-zachodniej stronie.

Półwysep. Dwie go rzeki z stron trojga oblewa,
lasami zakończony, hen, ku nieboskłonie,
z których eter przeczysty i aromat wionie,
a seledyn igliwia szumem się rozchwiewa.

Z wzniosłości ćwierć sta metrów nad poziomem rzeczny,
obszaru rozległego kwadratową milę,
na wschód, północ, południe, przeszło trzykroć tyle,

roztacza się widnokrąg otwartym pół-kolem.
A w nim przedmiot mych marzeń w nimbie
przysłonecznym,
ma kolebka rodzinna ze swym Wielkim Dołem.

II

W wiośnie życia, w świtanie mojego zarania,
tam uśmiechy słoneczne, kwieciste kobierce,
tam znicz się rozetlewa po malej iskieierce,
pierwsza życia tajników kurtyna rozslania...

Tam ducha szamotania się z sobą w rozterce.
„Marzyłem boską różę, bliski jej zerwania”.
Aż w burzliwym chaosie, losu urągania,
chwieje się ster, rwie żagiel, w nierównej szermierce.

Tu falą rzuconego w zaraniu stulecia
zastaje mię zbudzenie się Śpiącej Królowny...
Tu moje przebudzenie... Tu moja Ta trzecia

staje się moją kotwicą. Tu śmieję się żądać
spocząć wiecznie i z wyżyn tych wieki spoglądać.
- Śmieje się rozelkany płaczem sonet rzewny...

Rońsko, 1 XI 1923

wybór dr Irena Kulik

Kazimierz Stolecki

Testament i legat Kajetana
hr. Kickiego. 2. Echa w ówczesnej
prasie (1878-1897) Część 2.
(zapis oryginalny)



„Gazeta Warszawska”, 1888, nr 20, 23 I.

Zapis ś.p. Kajetana Kickiego. Z ostatniego rocznika Towarzystwa Osad Rolnych za rok 1880 wyjmujemy niektóre ciekawsze dane dotyczące losów zapisu ś.p. Kajetana Kickiego, który, jak wiadomo, cały swój znaczny majątek przekazał Towarzystwu Osad Rolnych, obciążając część tych majątków dożywociem dla żony i nakładając na Towarzystwo Osad Rolnych warunki urzędzeń w dobrach tych, mające na widoku szersze publiczne cele. Tém skwapliwiej chcemy podać szczegóły dotyczące dzisiejszego stanu tego zapisu, że właśnie w roku sprawozdawczym Towarzystwo Osad Rolnych rozpoczęło rozwijać ową publiczną działalność, która głównie występuje w testamencie ś.p. Kickiego i która mu nawet nadaje do pewnego stopnia charakter idealny, z celami nie tak łatwo dającymi się spełnić. Ten właśnie charakter testamentu był powodem, dla którego Towarzystwo wahało się w przyjęciu tego zapisu, a niektórzy członkowie publicznie w pismach peryodycznych oświadczały się przeciw jego przyjęciu i twierdzili, iż zapis stanowi jedynie ciężar dla Towarzystwa. Ze względów obywatelskich zdecydowali się jednak na przyjęcie, a dziś okazuje się z rezultatów dotychczasowej administracji zapisu, iż ś.p. Kicki powierzył wykonanie swój woli w dobre ręce. W roku 1885, po śmierci wdowy po ś.p. Kajetanie Kickim, wyszła z pod dożywocia reszta majątku zmarłego filantropa, która dotychczas nie była w rozporządzeniu Towarzystwa. W chwili obecnej więc majątek fundacyjny składa się: z dóbr Orłowa, Sobieszyna i Blizocina w Królestwie Polskiem, z dóbr Rzyczki w Galicyi, z kolonii Szamocina i Józefina pod Warszawą, z domu w Warszawie pod Nr. 1066 S, przy ulicy Królewskiej, possessyi na Pradze Nr. 180/1, oraz z kapitałów, które z końcem roku sprawozdawczego wynosiły oprócz remanentu w gotówźnie summe 91.000 rub., deponowaną w kassie dy-

rekcyi głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w listach zastawnych tegoż Towarzystwa i summe 16.300 rub. w listach zastawnych, miasta Warszawy, deponowaną w Banku Handlowym w Warszawie. Z pomiędzy własności nieruchomości: dobra Orłów, Sobieszyn, Blizocin, oraz dom w Warszawie pozostają pod bezpośrednim zarządem Towarzystwa, dobra zaś Rzyczki w Galicyi, folwark Dworzyska należący do Orłowa, folwark Lando należący do Sobieszyna, kolonie Szamocin i Józefin, oraz dom na Pradze są wydzierżawione. Z pomiędzy majątków fundacyjnych w roku 1885 z pod dożywocia hr. Kickiej wyszły: dobra Sobieszyn i Blizocin, kolonia Szamocin i Józefin, dom w Warszawie i summa deponowana poprzednio w Banku Państwa, a obecnie w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim w listach zastawnych tegoż Towarzystwa, wynosząca 91.000 rubli. Majątki objęte w nieruchomościach tak niedawno w stanie opuszczenia będące, wymagały znacznych nakładów i jak sprawozdanie zaznacza, pozostają do dziś jeszcze w niezbyt kwitnącym stanie. Przeciwnie sprawozdanie wykazuje znaczny postęp tak w dochodach, jak ogólnym stanie dóbr Orłowa, które już od lat sześciu są pod zarządem Towarzystwa. Dobra Rzyczki w Galicyi wprawdzie dotychczas nie przynoszą dochodu, z powodu ciężarów, jakie na nich leżą przez spłatę ratami bardzo znacznego stempla kollatorialnego, z powodu nakładów na stawianie nowych budynków, a wreszcie z powodu, że dzierżawca pomimo niskiej tenuty, znalazłszy się w bardzo trudnym położeniu przez nieurodzaje w Rzyczkach i upadek cen zboża, wyjednał sobie na dwa lata знижение tenuty. Rachunek przychodów i rozchodów majątków fundacyjnych tak się przedstawia; W kassie dóbr Orłowa przychód roczny wynosił 22.309 rub 10 kop., rozchód 20.558 rub. 17 kop., remanent kassowy wynosił zatem z końcem roku gospodarczego 1885/6, to jest w dzień ostatni czerwca 1886 roku 1.750 rub. 93, kop. W dobrach Sobieszynie i w Blizocinie przychody wynosiły 13.203 rub. 24 kop., rozchody 13.022 rub. 50 kop., remanent kassowy w tymże peryodzie był 180 rub. 74 kop. Wszelkie inne przychody wynosiły w 1886 roku 24.224 rub. 90 kop., rozchody zaś 21.156 rub. 1 kop. Zatem, z końcem roku pozostał remanent w summie 3.008 rubli.

„Gazeta Warszawska”, 1890, nr 168, 29 VI. W nr 157 Gazety Warszawskiej z d. 18-go czerwca r.b. wydrukowany został artykuł, przez p. Karola Müllera, dzierżawcę folwarczku Lendo Wielkie, w sąsiedztwie dóbr Sobieszyn leżącego, napisany, w którym autor wystąpił z różnemi zarzutami przeciwko administracji Towarzystwa Osad Rolnych w Sobieszynie, dającemi się w długim wywodzie autora sprowadzić, treściwie do tego, że Towarzystwo Osad Rolnych wcale nie spełnia założeń testamentu ś.p. hr. Kickiego, albowiem:

- 1) Nie wprowadziło żadnych melioracji i poprawy gospodarstwa rolnego w dobrach Sobieszyn, - nie zaprowadziło ras bydła i koni poprawnych, - nie wybudowało ozdobnych budynków i zmieniło w krótkim czasie dwóch rządców w Sobieszynie.
- 2) Nieumiejętnie prowadzi lasy, gdyż wycięty porąb leśny koło 20 morgów, zadrzewiono sadzonkami sztucznie, a nie siewem naturalnym; rąbanie zaś drzewa odbywać się ma jakoby w każdej porze, zimą i latem.
- 3) Nic dotąd w Sobieszynie dla pożytku społecznego nie urządziło, ani szkół rolniczych, ani zjazdów sąsiedzkich, w celu okazywania urządzeń gospodarczych postępowych.
- 4) Nie przyszło z pomocą w dostarczeniu zboża na siew pewnemu pogorzelcowi w okolicy.
- 5) Skrzywdziło jakoby nielitościwie 30-letniego rządcę dawnego w dobrach Sobieszyn, doprowadzając go do ruiny i żebraczego kija.

Jakkolwiek w Rocznikach Towarzystwa Osad Rolnych, drukowanych co rok, wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły, tyżące się administracji dóbr z zapisu hr. Kickiego pochodzących, wszystkie rachunki, wszystkie czynności są zamieszczane, w nich więc znaleźćby można odpowiedź na powyżej postawione zarzuty; z uwagi jednak, iż prawdopodobnie niewszyscy czytelnicy Gazety Warszawskiej mają roczniki Towarzystwa Osad Rolnych, a każdego z nich może w błąd wprowadzić artykuł p. Müllera, rada zawiadująca, wybrana przez komitet Towarzystwa Osad Rolnych do kierowania interesami zapisu hr. Kickiego i czuwania nad ich prowadzeniem, widzi się zmuszoną, wspólnie z prezesem i wice-prezesem Towarzystwa, podać do wiadomości ogółu następujące wyjaśnienia:

1) Co do melioracji i uporządkowania gospodarstwa. Z artykułu p. Müllera wydawałoby się, że Towarzystwo Osad Rolnych ma już w swoim posiadaniu Sobieszyn lat kilkanaście, a przynajmniej 12, t.j. od śmierci hr. Kickiego w r. 1878. Tymczasem Towarzystwo ma go dopiero lat cztery.

Przez cały bowiem czas od śmierci hr. Kickiego, Sobieszyn był w wyłącznym posiadaniu i używaniu dożywotniczki wdowy po hr. Kickim, i Towarzystwo nie miało prawa się mieszać do jej gospodarstwa. Dopiero po jej śmierci, t.j. z końcem 1885 r., Towarzystwo objęło ten majątek w swoje posiadanie i zarząd.

Znalazło go zaniedbanym, nieuporządkowanym, nieprzynoszącym dochodu czystego i wymagającym dużych nakładów, aby z czasem dochód mógł czynić.

Każdy praktyczny gospodarz wie dobrze, że przez 4 lata nie doprowadza się majątku zaniedbanego i systematycznie w poprzednim czasie niezagospodarowanego, od razu do kultury, że na to potrzeba pracy, czasu i nakładu.

Rasy koni i bydła także w parę lat się nie odchowa i nie zmieni, chyba z nadzwyczajnym, a nader ryzykownym jednorazowym kosztem.

Przy takim stanie rzeczy, administracja Towarzystwa jeszcze mniej uważałaby właściwem rzucać się przedewszystkiem w budowanie ozdobnych budynków, wydawać na to kapitały, lecz znajdowała roztropnem prowadzić ulepszenia stopniowo, zaczynając je najprzód od poprawy roli i w miarę postępu dopiero iść dalej.

Tak też postępowano, z oględnością i rozważaniem najpilniejszych potrzeb.

Oto co zrobiono w kierunku uporządkowania Sobieszyna w ciągu lat czterech:

Wykonano pomiary nowe i mapy całego majątku. Ułożono się o zniesienie reszty serwitutu leśnego, jaki osada Łysobyki miała na części lasów Sobieszyna. Zakupiono nowe narzędzia rolnicze ulepszone, jako to: pługi, wialnie, grabie Tiger, młockarnie, siewniki i t.d. Zaprowadzono ścisłą rachunkowość i kontrolę gospodarską. Wszystkie drogi w majątku wysadzono drzewami. Wykarczowano i osuszono częściowo około 100 morgów mokrych zarośli i zamieniono je na łąki. Ułożono się zgodnie z sąsiednim właścicielem dóbr Podlódów o spór graniczny z Sobieszynem, który się

ciągnął między poprzednimi właścicielami przez 400 lat, i zawarto ostateczną umowę, ustanawiającą na przyszłość stałe granice między temi majątkami. Zakupiono dwa razy buhaje czystej krwi hollenderskiej dla poprawy rasy bydła.

2) *Co do budynków gospodarskich.* Wzniesiono nowe trzy budynki dla założonej stacji doświadczalnej agronomicznej; czworak murowany piętrowy i piekarnię osobną dla tejże służby; dwie wozownie i wielką szopę na narzędzia rolnicze i wozy; dwa młyny wodne z całem wewnętrznem urządzeniem; dwa domy mieszkalne dla młynarzów; stodołę, oborę i chlewy dla młynarzów; kariat przy stodole kryty. Całe podwórze gospodarskie otoczono wysokim na łokcia parkanem i zamknięto bramami. Przebudowano zupełnie: stajnię fernalską i cugową; całe pomieszczenie parterowe w pałacu dla amelioratora dóbr zapisu i na laboratorium chemiczne. Oprócz tego we wszystkich budynkach wykonano mnóstwo przeróbek, napraw i t.d.

3) *Co do gospodarstwa leśnego.* Wykonano nowy pomiar lasów i ich mappy. Zaprowadzono systematyczne gospodarstwo leśne według projektu fachowego specjalisty, z podziałem na odpowiednią różnym drzewostanom kolej. Nieużytki, pola piaszczyste, w ogólnej ilości przeszło 200 morgów, zadrzewiono sztucznie, w części sadzonkami, a w największej części, jak na Blizocinie około 16 o morgów, siewom. O tyle więc powiększono przestrzenie leśne w dobrach Sobieszyn, nie zaś zmniejszono je, jak twierdzi pan Müller. Odpowiednio do położenia i natury gruntu używano sadzonek albo siewu, wedle tego, co się gdzie okazywało właściwem. Gołoborzów nigdzie nie ma w Sobieszynie. Są tu i owdzie do zrobienia jedynie poprawki, a nawet stosunkowo po takim roku suchym jak przeszły, niewielkie.

Nieprawdziwą również jest wiadomość, iż w lasach Sobieszyńskich rąbanie drzewa zimą i latem się odbywa.

Nadto nadmienić wypada, że od pary lat wcale się porębów nie sprzedawało, a wybierało jedynie drzewo na budulec i opał, na potrzeby własne majątku. Jako uzupełnienie wyliczenia tego, co przez cztery lata w kierunku gospodarczym i leśnym zrobiono, dosyć nadmienić, że koszt melioracji i budowy nowych po dzień 1-y lipca 1889 r. w Sobieszynie wynosił cyfrę 8.882 rub., nie licząc

wartości drzewa i cegły i nie dodając jeszcze wcale cyfry wydatków na ten cel z roku bieżącego gospodarskiego 1889/90, jako niezakończonych.

4) *Co do zarzutu,* że Towarzystwo Osad Rolnych nic dotąd w Sobieszynie dla pożytku społecznego nie zrobiło. Na to jest do nadmienienia, że w trzy kwartały po objęciu Sobieszyna przez administrację Towarzystwa Osad Rolnych, otwartą już została stacja doświadczalna agronomiczna, z polami próbnymi, stacją meteorologiczną i laboratorium chemicznem połączona; że kierownikiem tej stacji jest b. professor Instytutu agronomicznego w Nowej Aleksandryi, p. Teofil Cichocki, że za swoje produkcje stacja otrzymała już na wystawie w Warszawie medal i dyplom uznania, że sprawozdania specjalne z jej obserwacji i doświadczeń drukują się corocznie w Gazecie Rolniczej.

Na założenie, zabudowanie, urządzenie i zaprowadzenie tej pożytecznej dla krajowego rolnictwa stacji w Sobieszynie, wydano po 1-y stycznia r.b. poważną sumę 15.466 rub., a roczny jej etat utrzymania wynosi 3.300 rubli.

Oprócz nakładu na stację, uszanowała administracja zapisu hr. Kickiego wolę testatora i w innym względzie, skoro tylko objęła Sobieszyn po śmierci dożywotniczki wdowy. Zastała mianowicie zbudowany, staraniem i kosztem przeważnie dożywotniczki, piękny nowy kościół parafialny, lecz zastała go nieskończonym wewnątrz, z powodu wyczerpanych funduszy.

Widząc ten stan rzeczy, komitet Towarzystwa Osad Rolnych wyasygnował fundusz osobny do wysokości 7.000 rub. i bezzwłocznie kościół wykończono, sprawiając staraniem i zabiegami administracji Towarzystwa posadzkę, ławki, konfesyonały, schody cementowe, drzwi, organy, chór i t.d., słowem, uzupełniając wszystko, czego brakowało. Parafianie Sobieszyna z księdzem proboszczem na czele przesłali komitetowi Towarzystwa podziękowanie wdzięczne za ten dar i staranie.

Nakoniec, jeszcze w roku zeszłym, pamiętając o swoich obowiązkach względem użyteczności publicznej, przygotował komitet Towarzystwa Osad Rolnych projekt ustawy szkoły rolniczej niższej, według wzoru normalnej ustawy w Cesarstwie, i przedstawił go do zatwierdzenia władzy rządowej, a skoro to nastąpi, szkoła będzie założona.

Oczywistemi z powyższego całego wyłożenia są tedy dowody, że przez 4 lata pracowano w Sobieszynie usilnie w kierunku podniesienia i uporządkowania tego majątku, nie zapominając i o celach użyteczności ogólnej, że nie szczędzono na to funduszy, jakimi z innych źródeł zapisu rozporządzano, gdy sam Sobieszyn jeszcze czystego dochodu dawać nie może.

Powyżej wykazane cyfry objaśniły, że na melioracje, na stacyę doświadczalną i na kościół parafialny wyłożono w Sobieszynie przez 4 lata gotowizną 31.348 rub.

5) Pomijając mniejszej uwagi zarzut p. Müllera, jakoby jednemu z pogorzalców w okolicy odmówiono pomocy, objaśnić jeszcze wypada ową ciężką insynuacyę niehumanitarną i niesprawiedliwą obojętnością się z rządcą, który 30 lat w Sobieszynie służył, którego Towarzystwo jakoby pokrzywdziło i zrujnowało niemilosierdzie. Odpowiedź na ten zarzut jest już wydrukowana w rocznikach Towarzystwa za rok 1886 str. 169 i za rok 1887 w części III na str. 8.

W powołanych sprawozdaniach wzmiankowano, że wchodząc w biedne położenie dzierżawcy folwarczku do dóbr Sobieszyńskich należącego, dawnego niegdyś officyalisty hr. Kickich, Sikorskiego, który stał się niewypłacalnym i który się zgłosił sam z prośbą, aby od niego dzierżawę odebrano i z kontraktu go zwolniono, - rada zawiadująca zapisem hr. Kickiego postanowiła przyjąć z wszelką możliwą pomocą p. Sikorskiemu. Tego ostatniego, przy objęciu Sobieszyna, po śmierci pani Kickiej, zastało Towarzystwo Osad Rolnych niejako rządcę lub officyalistę, ale jako dzierżawcę małego folwarku, a to na mocy regentalnego kontraktu przez zmarłą wdowę dożywotniczkę na lat 3 zawartego, którego termin miał ekspirować 1-go lipca 1888 roku.

P. Sikorski nie płacił ani czynszu, ani podatków, do czego był kontraktem obowiązany, mimo to jednak pozostawiono go do końca terminu kontraktu, t.j. przeszło dwa lata. Z wdzięcznością i uznaniem przyjmował te względy p. Sikorski, do których nie miał prawa, albowiem ani w testamencie hr. Kajetana Kickiego nie było żadnych co do niego szczególnych zaleceń, prócz wypłacenia mu legatu 3.000 rub. (które mu zaraz wypłacone zostały), ani w kontrakcie dzierżawnym z wdową

hr. Kickiego zawartym, ani wreszcie znajdował się w służbie administracyi Towarzystwa.

Gdy 1-go lipca 1888 r. kontrakt się skończył, pozwolono p. Sikorskiemu za darmo siedzieć na owym folwarczku dalej, siać i sprzątać pola, aby mu pozostawić możność i czas urządzenia się inaczej lub znalezienia odpowiedniego obowiązku. Takim sposobem przez cztery lata prawie, nie prześladowania i krzywd doznawał p. Sikorski, ale dobrodziejstwa od organów Towarzystwa.

Postanowienia zaś takie rady zawiadującej wynikały właśnie z czysto ludzkich względów, aby biednemu człowiekowi, który, jak twierdził, był niegdyś w usługach hr. Kickich, przez uszanowanie ich pamięci, przyjść z pomocą.

Nakoniec, gdy p. Sikorski się zgłosił znowu niedawno z prośbą, że jest w tak już ciężkiem położeniu, że nie ma się z czego utrzymywać, że mu za długi sprzedano inwentarze, a łączkę, jaką posiadał, sprzedał p. Müllerowi, - że prosi o jaką bądź posadę płatną, - wtedy i téj jeszcze prośbie postanowiono zadość uczynić i ofiarowano mu zajęcie objazdowego pomocnika przy nadleśnym w Orłowie, z płacą 100 rub., ordynaryą, mieszkaniem, opałem, ogrodem i t.d., chociaż nawet taki officyalista w Orłowie nie był koniecznie potrzebny. Ze łzami w oczach dziękował za tę łaskę p. Sikorski i miał się przenieść do Orłowa już teraz na 1-go czerwca.

Tymczasem niespodziewanie w maju r.b., w czasie zjazdu rady zawiadującej na zwykłą rewizyę do Sobieszyna, przedstawia się p. Sikorski z podaniem, w którym żąda, aby Towarzystwo wypłaciło mu wynagrodzenie w ilości 1.500 rub. za różne pretensye, jakie sobie z dawnych czasów do hhr. Kickich rości, przyczém oświadczył, że w razie nieuczynienia zadość jego żądaniu, z folwarku się nie wyprowadzi, gdyż uważa, że dom tam zbudowany jest jego własnością.

Twierdzenie to, nie tylko, że nie zostało udowodnione ani wykazem hipotecznym, ani spisem inwentarza, lecz nawet przeciwnie, w starym kontrakcie dzierżawnym z przed 22 lat, który raz dzie okazywał p. Sikorski, wyraźnie było powiedziano, że mu jako wynagrodzenie za postawienie domu mieszkalnego w Lendzie, z drzewa i materiału przez dwór dostarczonego, oddaną została dzierżawa folwareczku za cenę zniżoną na lat 12.

Zresztą kontrakt ów już od lat 10-u ekspirował i na jego miejsce były później inne zawierane, w których żadnej wzmianki nie było o jakich bądź prawach własności p. Sikorskiego do domu w Lendzie.

Wobec takiego stanowiska, zajętego nie spodziewanie przez p. Sikorskiego, tak wdzięcznego dotąd za świadczone mu ulgi i dobrodziejstwa, rada zawiadująca uznała, że równie nieusprawiedliwionego żądania uwzględnić nie ma prawa, a do zrobienia darowizny p. Sikorskiemu nie ma upoważnienia.

Po takim faktycznym wyjaśnieniu błędnych wiadomości, jakie artykuł pomieniony w numerze 157 Gazety Warszawskiej zawiera, rada zawiadująca czuje się jeszcze w obowiązku złożyć w tym miejscu wyraz najgorętszego uznania dla profesora Antoniego Białeckiego, którego niezmordowanej, gorliwej i umiejętnej pracy w ciągu lat 18-u Towarzystwo Osad Rolnych, niegdyś w Studzieńcu, a obecnie jako opiekunowi administratorowi w zarządzie zapisu ś.p. hr. Kickiego, ma tak wiele do zawdzięczenia, a o którym w pomienionym artykule podobało się p. Müllerowi nieprzychylny sąd wydać.

Warszawa, d. 23 czerwca 1890 r. Podpisali: Prezes Towarzystwa Ludwik Górski. Wice-prezes Edward Stummer. Przewodniczący w radzie zawiadującej zapisem Michał Rogoziński. Członkowie rady: dr. Tadeusz Kowalski. Stanisław Okęcki, Walenty Garczyński.

„Kurjer Warszawski”, 1897, nr 69, 10 III. Fundacja ś.p. hr. Kickiego.

I. Testament. W testamencie własnoręcznym, otwartym i ogłoszonym przez prezesa sądu okręgowego warszawskiego w d. 19-ym lipca 1878 oraz w dodatku do tegoż testamentu, ogłoszonym 28 czerwca tegoż roku ś.p. Kajetan hr. Kicki zapisał Towarzystwu osad rolnych i przytułków rzemieślniczych cały swój majątek, przeznaczając go na fundację specjalną i w ręce komitetu Towarzystwa osad rolnych składając tytuł własności i zarząd sprawami fundacji.

Majątek ś.p. hr. Kickiego składał się: 1) z dóbr ziemskich Orłów Murowany i Orłów Drewniany w gubernji lubskiej, powiecie krasnostawskim położonych, 2) z dóbr Ryczki w Galicji pod Rawą Ruską, 3) z dóbr Sobieszyn i Blizocin, położonych pierwszy w powiecie garwolińskim, drugi

zaś w pow. łukowskim gub. siedleckiej, 4) z kolonij wieczysto czynszowych Szamocin i Józefin w powiecie warszawskim, 5) z domu w Warszawie no 1066S przy ulicy Królewskiej, nr 33 i z domu na Pradze nr 180/61, 6) z kapitałów w papierach procentowych krajowych i galicyjskich.

Z powyższego majątku dobra Sobieszyn i Blizocin, kolonie w Szamocinie i Józefowie, dom w Warszawie i procenty od kapitałów, wraz z wszelkimi ruchomościami domowymi, spadkodawca oddał na dożywocie żonie swej Marji hr. Kickiej. Po załatwieniu wszelkich formalności i wyjednanie za twierdzenia zapisu przez rząd, władze Tow. osad rolnych w lipcu 1881 r. objęły w posiadanie część majątku, wolną od dożywocia (Orłów i Ryczki), reszta zaś spadku przeszła w posiadanie Towarzystwa dopiero po śmierci dożywotniczki, Marji hr. Kickiej, zmarłej w r. 1885.

Wola ostatnia ś.p. hr. Kickiego w szczególności jasno i wyraźnie sformułowana, brzmi w głównych zarysach, jak następuje: Zapisując cały swój majątek Tow. osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, z przeznaczeniem na fundację osobną, testator zlecił temuż Towarzystwu opiekę nad wykonaniem wszelkich swoich rozporządzeń i zastrzegł, że z czasem dopiero nadwyżka dochodów z majątków użytą być może na założenie jednej z osad tegoż Towarzystwa. Jednym z najważniejszych czynów Tow. osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, miało być, niezwłocznie po objęciu legatu, mianowanie jednego z członków swoich, lub „w braku stosownej indywidualności, innej osoby na bezpośredniego opiekuna majątków ziemskich”. Tego to opiekuna pierwszym czynem powinno być, wedle woli testatora, naprowadzenie ładu i zupełnego porządku w zarządzie majątkami ziemskimi, porządku, opartego na ścisłej rachunkowości, i zmierzającego odrazu do stopniowych ulepszeń. Gwoli temu testator zalecił przedewszystkiem dokończenie i doprowadzenie do należytego stanu pałacu w Orłowie Murowanym, a dalej założenie zakładu agronomicznego (szkoły rolniczej), wzniesienie osobnego domu, przeznaczonego na zebrania wieśniaków, tudzież na czytelnię dla nich i salę odczytów, i założenie w Orłowie szkoły dwuklasowej.

Żąda dalej testament, ażeby w odbudowanym pałacu urządzić i utrzymywać cieplarnię,

ażeby pałac ów wytwornie umeblować i gromadzić w nim stopniowo dzieła malarstwa i rzeźby, nadto ażeby upiększyć całe otoczenie „o ile wzrok sięgnie”, powiększając ustawicznie „zakres plantacji” i tym sposobem „oddziaływać na najważniejszą z powodów swych wpływów klasę zamożniejszych właścicieli ziemskich, uprzyjemniając im odwiedzinę Orłowa i pouczając wzorowym gospodarstwem, utrzymywanem w ciągłym postępie i wypróbowanych innowacjach”.

Ostatnie z pomienionych życzeń zapisodawcy stoi w związku z przytoczonym już przez nas na wstępie rozporządzeniem testamentu, które, jako jeden z celów fundacji, wskazało stopniowo dążenia do wzorowości w gospodarstwie; gwoli też temu zastrzegł testator utworzenie w dobrach osobnej posady „ameljoratora”.

Dalej zaleca testament wzniesienie w Orłowie kościoła rzymskokatolickiego i plebanji, a, jako środek podniesienia kultury włościan miejscowych, wskazuje, oprócz wspomnianych już na wstępie zakładów (szkółka i zakład agronomiczny), nauczanie ich robót domowych.

Co się tyczy zakładu agronomicznego, to ten, wedle myśli testatora, zmierzać miał na początek jedynie do „kształcenia młodzieży na praktycznych oficjalistów”; zalecił jednak spadkodawca przy samem założeniu uwzględnić następne jego przekształcenie na „zakład rzeczywiście agronomiczny”.

Przedmiotem wyraźnej i szczególnej troskliwości fundatora były znajdujące się w dobrach lasy, co do których zalecił urządzenie gospodarstwa leśnego, a zarazem wyraził żądanie, „ażeby przestrzeń lasów nigdy uszczuploną nie była”, i ażeby gwoli temu, zamiast wykarczowanych przestrzeni, zadrzewiano nowe obszary. Nadto zaleca testator zaprowadzenie eksploatacji torfu, urządzenie sadzawek zarybionych, założenie „ogrodu zarodowego”, uwzględnianie wymagań estetyki przy wznoszeniu wszelkich nowych budowli, wydrenowanie łąk, utrzymywanie stałego lekarza i założenie na miejscu w Orłowie szpitala, wreszcie utworzenie z czasem w Orłowie osobnej instytucji, mającej na celu niesienie pomocy moralnej i materialnej nieszczęśliwym, oraz udzielanie nagród za cnotę.

Jeżeli do tego dodamy nie zalecenie już jeno, ale wyraźne rozporządzenie ś.p. hr. Kickiego co do wzniesienia w Rzyczkach nowego murywanego kościoła, tudzież dokończenia budowy kościoła w Sobieszynie, (kosztem bez mała 3.000 rs. i dostarczenia darmo drzewa na nawy boczne), to wyczerpiemy tym sposobem streszczenie woli ostatniej zacnego fundatora. Czy i o ile majątek fundacji odpowiadał zamiarom testamentu? Pytanie to wiąże się z innym: Jak się przedstawiała masa spadkowa? Poznajmy ją.

II. Masa spadkowa. Według inwentarzy urzędowych, sporządzonych w r. 1878-ym, spadek po ś.p. hr. Kickim składał się z następujących pozycji:

Masa czynna	Szacunek rs. , kop.
Ruchomości domowe	4.255,65
Wierzytelności hipoteczne	2.681,26
Gotowizna i papiery procentowe	104.616,00
Szamocin z inwentarzem i ruchomościami	14.788,10
Nieruchomość w Warszawie	41.000,00
Nieruchomość na Pradze	2.640,00
Dobra Sobieszyn	111.755,00
Dobra Orłów	138.795,10
Dobra Rzyczki (złr.)	72.133
Razem	rs. 415.681 kop. 00
	i zł reń. 72.133

Masa bierna	Szacunek rs. , kop.
w Warszawie	13.909,87
w Sobieszynie	38.301,00
w Orłowie	18.808,42
w Rzyczkach (złr.)	6.588,33
Razem	71.019,30
i	i złr. 6.588 c. 33

Bilans na korzyść masy czynnej: złr. 65.544 c. 67 i rs. 344.511 kop. 70, co zamienione na ruble uczyni ogółem rs. 395.630.

Stan majątków ziemskich, według sprawozdania wykonawcy testamentu, p. K. Zaleskiego, pod datą 14-go listopada 1878-go r. sporządzonego i we właściwym czasie drukiem ogłoszonego, był następujący: Dobra Orłów 175 włók, w tem gruntu ornego 48, lasu 93, łąk 17. Osad włościań-

skich 140 ze znacznymi służebnościami na lesie. Grunty dworskie oddzielone od włościńskich. Gleba pszenno-gliniasta i dobra żytnia w cztero i trzypółwie. Łąki irytowane, słodkie, dwukośne. Las przeważnie sosnowy, wysokopienny, w nim dużo zmurszałego starodrzewu, gospodarstwo leśne nieurządzone. Młyn parowy o sile 45 koni z tartakiem i młyn zwyczajny. Budowli 75, w tem murowanych 15, drewnianych 60; domów mieszkalnych 21, karczem 5. Pałac murowany, zniszczony, w chwili sporządzania spisu służył na skład siana. Większość budynków w złym stanie. Inwentarza żywego: koni 96, rogaczny 112, owiec 1.162; inwentarz wogóle lichi, dużo sztuk kwalifikuje się do wybrukowania. Wysiew: pszenicy 202 korce, żyta 212, jęczmienia 114, owsa 319, grochu 54, gryki 62. Zbiór: pszenicy kóp 1.116, żyta 849, jęczmienia 808, owsa 1.485, grochu 766, gryki 243. Siana 1.200 fur. Pensja służby rs. 3.573 kop. 50, z czego na służbę przy młynie rs. 1.318. Ordynarji dla służby wychodzi 1.318 korcy. Młyn parowy przyniósł straty rs. 351.

Dopełniający spisu w Orłowie preliminowali dochody na rok 1879-ty na rs. 14.500, wydatki na rs. 17.820, przewidywano zatem niedobór w sumie rs. 3.320; nie licząc w to wydatku, potrzebnego na skompletowanie inwentarza i najpilniejsze meljoracje.

Dobra Rzyczki w Galicji włók 67. Gruntu ornego 26, łąk 7, lasu 30, pastwisk 2. Gatunek ziemi rozmaity. 400 morgów ciężkiej do uprawy borowiny. Łąki kwaśne. Las zwarty, wysokopienny. Grunta dworskie w szachownicy. Uprawa roli słaba, z nawożeniem zaledwo na 50 morgów. Wysiew: pszenicy korcy 110, żyta 129, jęczmienia 45, owsa 129, grochu 11, gryki 51. Pszenica daje 6 ziarn, żyto 4, owies 5, siano 517 fur. Budynki murowane i drewniane w niezłym stanie, młyn wodny i tartak w dobrym. W cegielni gotowych 100.000 cegieł. Inwentarz żywy koni 39, rogaczny 82, owiec 273. Pensja 32-ch osób służby 1.182 złr., ordynarja 450 korcy. Dochód 10.000 złr., wydatki 8.000 złr., czyli na czysto dochodu 2.000 złr.

Dobra Sobieszyn włók 84 i Blizocin włók 40, razem włók 124. Gruntu ornego włók 35, łąk 13, lasów 55, pastwisk 8, nieużytków, ogrodów, dróg, wód i t.d. 13. Grunty dworskie odseparowane. Gleba w 1/3 pszenna, w 2/3 dobra żytnia! Łąki

dwu i jednokośne. Lasu w Sobieszynie 43 włoki, las wysokopienny przeredzony. Gospodarstwa leśnego nie ma. W Blizocinie 12 włók młodego, zwanego, przeważnie dębowego lasu. Budowli 53, Pałac i oficyny murowane, pozostałe budynki drewniane, lecz w dobrym stanie. Inwentarz żywy, potrzebujący wkładu, koni sztuk 33, rogaczny 75, owiec 1097. Wysiew pszenicy 54 korcy, żyta 232, jęczmienia 54, owsa 168, grochu 33, gryki 34. Plon pszenicy 7 ziarn, żyta 3, jęczmienia 6, owsa 3, grochu 3. Prócz tego zebrano rzepaku 110 korcy i 900 korcy kartofli. Dochód z Sobieszyna i Blizocina w chwili opisu ogółem 9.000 rs., rozchód 9.000 rs. Czysty więc dochód z Sobieszyna i Blizocina w chwili opisu równał się zeru.

Tak się przedstawiał stan majątków po ś.p. hr. Kickim, w chwili obejmowania go w posiadanie przez Towarzystwo osad rolnych, w charakterze dziedzica, który dostał własność dużego mienia bez możliwości jednak rozporządzania dochodami, te bowiem, jak widzieliśmy, testator przeznaczył przedewszystkiem na różne cele swojej fundacji. Ów dziedzic zająć się musiał na razie zorganizowaniem naczelnego i miejscowego zarządu.

W celu opieki nad legatem komitet Towarzystwa osad rolnych utworzył w swoim łonie radę, zawiadującą zapisem ś.p. Kickiego i opiekuna-administratorską (nazwa wzięta z testamentu), w osobie jednego ze swych członków, profesora uniwersytetu A. Białeckiego, który sprawował to obowiązki do ostatniej chwili, zrazu mieszkając w Warszawie, a następnie w samym Orłowie. O wynikach tego zarządu poucza zamieszczone poniżej sprawozdanie p. Białeckiego. Wprzód jednak, zanim przejdziemy do referatu p. Białeckiego, wypada nam zaznajomić czytelników z uwagami krytycznymi, jakie przed sześcioma tygodniami ogłosili trzej nasi ziemianie, pp. Stanisław Chęłchowski, Franciszek Kuczyński i Marjan Mierzejewski.

III. Uwagi trzech ziemian. Uwagi krytyczne, co do obecnego stanu fundacji hr. Kickiego i jej zarządu, wypracowane przez pp. Chęłchowskiego, Kuczyńskiego i Mierzejewskiego, niewłaściwie ochrzczone zostały w prasie mianem sprawozdania lub referatu delegacji. Nie była to żadna „delegacja”, dla tej prostej przyczyny, że jej nikt nie delegował. Wymienieni trzej ziemianie wyrazili jednemu z członków rady zarządzającej życzenie

dokładnego zwiedzenia Orłowa i Sobieszyna; zapoznania się z rachunkami obu gospodarstw i wypracowania na tej podstawie referatu. Następstwem tego życzenia było formalne ze strony rady zawiadującej zaproszenie pp. Chelchowskiego, Kuczyńskiego i Mierzejewskiego „do wzięcia udziału we wspólnym rozpatrzeniu i zbadaniu obecnego stanu gospodarstwa w Orłowie i Sobieszynie”. Rada zawiadująca nie miała, oczywiście, powodu, ani „zasłaniać stanu fundacji płaszczem tajemnicy, ani też wyrzekać się uwag i wniosków, jakie i dla niej i dla komitetu Towarzystwa osad rolnych nastęrczyć mógł referat trzech obywateli, dobrowolnie podejmujących się tej mozolnej pracy. W tym tedy, i tylko w tym charakterze, zredagowany został referat, z którym obecnie pragniemy zapoznać czytelników.

Nie podawaliśmy go wcześniej, bo przyznany przez samych autorów referatu jego nastrój nawskróś tylko krytyczny, dać mógł zbyt jednostronny obraz stanu rzeczy i bardziej, niż kiedykolwiek, przypominał zasadę *audiatur et altera pars*. Dziś nasi czytelnicy mają przed oczyma materiał o tyle, o ile wszechstronny.

Przejdźmy do referatu. Oto jego osnowa w możliwie dokładnym streszczeniu. Celem „misji” autorów referatu, jak to w nim wyraźnie zaznaczono, było jedynie dążenie do wykrycia błędów i niedokładności w organizacji i administracji gospodarstwa w majątkach, po ś.p. hr. Kickim pozostałych, a z tego powodu pp. Ch., K. i M. „zajęli stanowisko krytyczne i szukali ujemnych stron w gospodarstwie, a nie chwalili tego, co za rzecz zwykłą i normalną w urządzeniu majątków uważać należy”. „Takie stanowisko - pisał z tego powodu członek rady zawiadującej, p. Tadeusz Kowalski - nadało referatowi cechę jednostronności, która wprawdzie zaprowadzeniu zmian w organizacji majątków nie przeszkadza, usuwa jednak, w wielu razach, krytyczną podstawę do oceny, czy proponowane zmiany dostatecznie rachują się z obecnym stanem gospodarstwa i o ile prawdziwą korzyść zapewnić mogą”. Z tem wyjaśnieniem i z tym komentarzem prof. Kowalskiego, przystępujemy do streszczenia samego referatu.

Pp. Chelchowski, Kuczyński i Mierzejewski zaczęli swoją czynność od zbadania w biurze rady zawiadującej „rachunków z ostatnich lat czterech (od 1892/3 do 1895/6), które nie podlegały dotąd

kontroli komisji rewizyjnej i nie były ogłoszone drukiem; w dniu zaś 27-ym listopada r.z., łącznie z radą zawiadującą i opiekunem administratorem, zjechali do Sobieszyna, gdzie bawili przez trzy dni i tyleż czasu spędzili następnie w Orłowie.

Stacja doświadczalna w Sobieszynie, której utrzymanie kosztowało dotychczas 40.244 rs., jest, zdaniem referatu, traktowana nieco po macoszemu. Do jej wadliwości należą: oddalenie od samego folwarku prawie o 2 wiorsty, brak studni, brak ogrodzenia, wreszcie szczupłość i lichota stodoły i spichlerza. Wadą jest dalej umieszczenie stacji meteorologicznej przy pałacu, a więc zdaleka od stacji doświadczalnej, przy takiej bowiem odległości różnice w zjawiskach atmosferycznych mogą być bardzo znaczne. Niema odpowiedniego pomieszczenia dla zbioru ziarna okazowego, prób ziół w słomie i zbiorów botanicznych, jakie przecież tworzyć się muszą na tego rodzaju stacjach. Na takie muzeum możnaby przerobić starą oranżerję pałacową, połączyć ją bezpośrednio z pracownią botaniczną i biblioteką, a jednocześnie rozszerzyć laboratorium chemiczne. Na doświadczenia polne przestrzeń należy powiększyć. Oddalenie mieszkania dyrektora o 2 wiorsty od pól doświadczalnych utrudnia obserwacje.

Szkoła rolnicza w Brzozowej przedstawia się doskonale. Przy wydatkach jednak na nią 50.982 rs., nie licząc w to budulcu, należało pomyśleć o przeznaczeniu bodaj 1.000 rs, na kupno modeli rolniczych. Na folwarku przy szkole konie i bydło są w komplecie; należałoby jednak założyć jeszcze owczarnię i chlewnię. Na folwarku w Sobieszynie budowle są w stanie średnim. Budynek dla koni i była wypadnie w niedalekiej przyszłości postawić. Czworak dla służby przy wjeździe znajduje się w stanie opłakany, a i drugi wymaga gruntownej naprawy. W chlewni, lubo dość kosztownie urządzonej, brak odpowiednich ścieków. W inwentarzu przewaga bydła. Krów (typu hollenderskiego) jest 74; dostają one dziennie po 2 f. makuchów, 3 f. otrąb, 3 garnce okopowizny i 10 f. siana; przy takiej więc paszy razi mała wydajność mleka, którego w okresie od d. 1-go lipca do d. 1-go listopada otrzymywane przeciętnie po garncu na sztukę. Przyczyną tego jest, zdaniem referatu, zimno w oborach, spowodowane częstym usuwaniem nawozu. Konie farnalskie są utrzymywane

gorzej, niż bydło. Żrebiąt ilość znaczna. Rachunkowość niejedno pozostawia do życzenia (np. pomyłka, co do liczby koni, których w raporcie wskazano 26, zamiast 29; niewciągnięcie do księgi jednego kwitu na 66 rs.; brak w dzienniku czynności szczegółowej specyfikacji najmu ogrodowego; niedokładność odręcznego wyciągu zbożowego).

Autorowie sprawozdania krytykują w kilku szczegółach gospodarstwo, zaznaczając naprzykład w tej mierze wydatek nadzwyczajny na najem furmanek, który od dnia 1-go lipca do dnia 1-go listopada roku zeszłego kosztował 150 rs., a który, wobec dostatecznej ilości koni miejscowych, zdaniem autorów sprawozdania, był zgłółą zbytecznym. Wogóle jednak o gospodarstwie sobieszyńskim sprawozdanie wyraża się dość przychylnie, stan lasów tamtejszych uznaje, jako dodatni, a zagajniki, zasadzone na przestrzeni 400 morgów, zowie idącemi doskonale.

„Ponieważ Sobieszyn - czytamy dalej w sprawozdaniu - w ostatnich latach dawał dochody i rozwija się normalnie, a nie pociągnął tyle, co Orłów, wydatków, delegacja nie widzi potrzeby rozbierania szczegółowych pozycji dochodowych i rozchodowych, tem bardziej, że jest tego przekonania, iż wykonanie w ostatecznych szczegółach projektu p. Okęckiego, gospodarstwo tutejsze na właściwe drogi wprowadzi”.

Co się tyczy Orłowa, to ogólny stan zagospodarowania, budowli i inwentarzy jest lepszy, niż w Sobieszynie. „Gospodarstwo orłowskie robi wrażenie normalnego, zamożnego, szlacheckiego gospodarstwa wiejskiego, które do postępu pretensji nie rości, ale właścicielowi dochody daje”. Przy takim ekstensywnym systemie gospodarstwa w Orłowie i przy 10.000 rs. dochodów stałych nieusprawiedliwionym jest, zdaniem sprawozdawców, deficyt, jaki tam od 2-ch lat istnieje. Z meljoracji, na które Orłów wydał 53.509 rs., nie licząc materiałów w naturze, przeważną część pochłonęły budynki, które są tam też w stanie zadawalniającym, chociaż niewzorowym. Postawiono tam budynków za dużo, a rozkład ich jest w wielu razach niepraktyczny. Natomiast mieszkania dla służby nie odpowiadają najelementarniejszym wymaganiom. Wogóle meljoracje budowlane w Orłowie obciążają włókę ziemi użytkowej na 1.500 rs.

W r. 1889-ym założona została w Orłowie stacja poprawy inwentarza dla włościan, mieszcząca się w specjalnym kosztownym budynku. Aczkolwiek ceny pokrywania są nader niskie, włościanie korzystali ze stacji bardzo niewiele. Przyczynę tego delegacja widzi w niewłaściwym dla włościan doborze reproduktorów, któremi są dwa ogiery pół krwi angielskiej („i mimo wysokiej ceny bardzo małej wartości”) i buhaje rasy Schwitz, która dla swej niemleczności i siwej maści nie przypada włościanom do gustu.

Ustrój administracji, służby i robocizny jest, wedle opinii sprawozdania, nader kosztowny, wadliwy i wymagający reformy. Liczbę 11 oficjalistów możnaby zmniejszyć do 8, a natomiast podwyższyć płacę pozostałym. Wedle opinii sprawozdania, źródłem wielkich kosztów administracji Orłowa jest między innymi stały pobyt w nim opiekuna-administratora i jego rodziny, to więc usunąć potrzeba; wogóle zaś należy dążyć do zniesienia kuchni dworskiej i czeladniej, tudzież kucharza, lokaja i forysia. Kuchnia dworska i czeladnia, która stołowała od 5 do 10 ludzi, zużywała 80-120 korcy zboża, 25 korcy pośladów, 360 korcy kartofli, mleko od 12 krów, wszystkich drób i trzodę chlewną, co razem z dopłatą w gotowiznie za dokupione produkty wyniosło do 600 rs. rocznie. Wydatek na robociznę przeciętnie za lat 10 wynosił 4.000 rs. i tę sumę za normalną uważać można, W ostatnich jednak czterech latach pozycja ta wzrosła do 6.000 rs. Ten wzrost kosztów najmu był po części spowodowany przez wprowadzony w Orłowie za czasów poprzedniego rządcy p. Horodyńskiego system komorników stałych, po części zaś przez nieumiejętne zużycie robocizny. W Orłowie bowiem koszt służby i najmu wynosi po 6 1/2 rs. na morgę ziemi ornej, gdy u sąsiednich obywateli pozycja ta zaledwie rs. 4 dosięga.

W Orłowie Murowanym, jako folwarku głównym - głosi dalej sprawozdanie - gospodarstwo powinno być prowadzone nakładowo, owce usunięte do Orłowa Drewnianego, a wprowadzone bydło. Wogóle ilość owiec w dobrach orłowskich jest za duża, gdyż, wobec braku odpowiednich pastwisk, utrzymywane być muszą na koniczynach i ugorach do połowy lipca, co przeszkadza dobrej uprawie roli i powiększa kosztą najmu. Owce w Orłowie dają rs. 1 kop. 50 do rs. 1 kop. 80 od sztuki, co

przy spasaniu 200 korcy owsa i 275 korcy łubinu nie jest dobrym rezultatem. Bydło w Orłowie jest w dobrym stanie, powstałe z krzyżowania krów miejscowych z buhajami rasy Schwitz. Ten atoli wybór Schwitzów do hodowli nie wydaje się szczęśliwym, a świadczy o tem mała wydajność mleka z obory orłowskiej (w przecięciu niespełna garniec dziennie). Konie fornałskie mają niezłą budowę, duży wzrost, ale utrzymywane średnio.

Przy zestawianiu rachunków ze wszystkich lat zarządu Orłowa przez T.O.R. uderza mały dochód ze sprzedaży inwentarza żywego. Prócz siana z 400 morgów i koniczyny ze 125 m. spasane są rocznie duże ilości ziarna. Tymczasem przez ubiegłych lat 15 dochód brutto z inwentarza żywego wyniósł 15.765 rs., a rozchód 14.165 rs., czyli różnica na korzyść sprzedaży przeciętnie zaledwo rs. 100 rocznie wynosi.

Tak więc, jako główne źródło dochodu, pozostaje sprzedaż zboża. Żyto daje 8 korcy z morgi, pszenica 9, jarzyny gorzej. Pszenicy sprzedaje się 1.500-2.000 korcy; żyta dopiero w ostatnich 10 latach idzie na zbyt 200 korcy rocznie; jęczmienia sprzedano po 250 korcy; owies prawie cały się spasa; koniczyny sprzedaje się od 20-30 korcy, a kartofli 1.000 korcy do gorzelni w Izbicy. Przyczyna małej ilości sprzedawanego zboża leży w średnich urodzajach, dużym wychodzie na ordynarję (z górą 1.000 korcy), kuchnię i inwentarz; niewysoki zaś plon zboża przypisać należy niewłaściwej uprawie ugorów, wynikającej z nadmiernej ilości hodowanych owiec, oraz złej uprawie i zanieczyszczeniu roli. Nadto wpływa na to, zdaniem sprawozdawców, wadliwy układ samych płodozmianów. Wreszcie, jako błąd gospodarczy, wytyka też sprawozdawca nadmierną ilość ziarna, odchodzącą na poślad, i na plewy przy czyszczeniu, czego powodem była podobno niedokładność wialni i to mogłoby być źródłem posądzeń o niedbałość lub złą wolę.

Lasy orłowskie (obciążone jeszcze serwitutem), pod względem gatunku drzewa i utrzymania, są w stanie o wiele gorszym niż sobieszyskie. Przestrzeń ich uszczupliła się dzięki układom o serwituty leśne, przy których, na zaspokojenie tylko 3-ch wsi, poszedł najładniejszy las w Dąbrowie i zagajniki, razem morgów 290. Pozostało jeszcze 91 osad, nieodseparowanych, którym, licząc w podobnym stosunku, z górą 30 włók poświęcić

wypadnie. Sprzedany częściowo starodrzew, w ilości 15.000 sztuk, dał dochód względnie nieznaczny. Na dwór i służbę idzie 300 sążni drzewa rocznie, która to ilość, przy jednoczesnej eksploatacji torfu jest zbyt duża.

W rachunkowości Orłowa z lat ubiegłych uderzają zbyt duże remanenty kasowe, które dochodziły do sumy od 5.000 do 7.500 rs.; utrudnia to kontrolę i określenie rzeczywistej dochodności każdego roku. System kalkulacyjny obliczania powinien być zmieniony na bilansowy, jaki już przez radę zarządzającą został zastosowany do dochodów z r. 1895/96.

Administracja Orłowa i Sobieszyna rachunki roczne zdaje stale w sierpniu lub w jesieni, jak to wiadać z podpisanych przez rządów dowodów; opóźnienie więc 4-letnie zestawienia ich i ogłoszenia spada na administrację główną, która nie powinna była zwlekać z ich przedstawieniem do kontroli publicznej. W zakresie administracji wielce wadliwą jest rzeczą zaniechanie w wielu razach ogłoszeń w pismach o mających się odbywać licytacjach na drzewo, inwentarz i przeznaczone do dzierżawy majątki; uszczupla to bowiem napływ współubiegających się i tym sposobem zmniejsza rękojmię osiągnięcia należytej ceny. Na tych i tym podobnych opierając się zarzutach, sprawozdanie, o którym mowa, w konkluzji stawia następujące wnioski i postulaty:

W całej dotychczasowej administracji głównej majątkami, po ś.p. hr. Kickim pozostałymi, widocznym jest brak fachowości i praktycznej znajomości gospodarstwa, które doprowadziły w Orłowie do błędów organizacyjnych i administracyjnych. Brak uznania oszczędności za najważniejszy czynnik w gospodarstwie rolnem doprowadził do niepomiarne wysokich wydatków na najem, kuchnię, kupno materiałów, wprowadzenie niepotrzebnych budowli; stała obecność administratora opiekuna w Orłowie, jak o tem z rachunków z ostatnich lat 4-ch przekonać się można, podniosła znacznie koszty gospodarstwa i utrzymania dworu, a jednocześnie krępująco wpływając na rządów, osłabiała w nich energję, zwalniała od odpowiedzialności moralnej i prowadziła do zaniedbywania i lekceważenia obowiązków. Z tego też względu pp. Chelchowski, Kuczyński i Mierzejewski są zdania, że gwoli temu, aby administracja zapisem hr. Kickiego weszła nadal na drogę właś-

ciwą, należy, oprócz zmian koniecznych do przeprowadzenia w Sobieszynie i Orłowie, a w tekście powyższego referatu wskazanych, mieć na uwadze postulaty następujące:

- 1) Aby rachunki z administracji funduszami ogólnymi i gospodarstwami były stale corocznie bez opóźnień zamykane i ogłaszane.
- 2) Aby administrację szkoły w Brzozowej oddzielić od administracji majątków i domów, do zapisu ś.p. hr. Kickiego należących, powierzając tę ostatnią fachowemu rolnikowi, który jednocześnie ma mieć obowiązek prowadzenia gospodarstwa w Orłowie.
- 3) Aby dla stałej kontroli i normalnego rozwoju, zgodnie z miejscowymi warunkami gospodarstw, powołać z okolicy Sobieszyna i Orłowa dwóch znanych z opinii, inicjatywy i fachowości ziemian, którzy mieliby prawo zwiedzania gospodarstw, z zaznaczeniem protokołarnem swoich uwag, zwoływania i brania udziału w posiedzeniach rady zawiadującej, odbywających się w Orłowie i Sobieszynie.
- 4) W razie, jeżeliby dalsze usiłowanie do wytworzenia i podniesienia dochodów z dóbr Orłów nie mogły doprowadzić rady zawiadującej do dodatnich rezultatów, uważamy, wobec potrzeb pieniężnych na rozwój egzystujących instytucyj, w ostateczności za możliwe wypuszczenie Orłowa w dzierżawę. W tym razie gospodarstwo w Sobieszynie i odebrany z dzierżawy Blizocinie powinno być postawione, zgodnie z duchem testamentu, na stopie wzorowej”.

Tyle „sprawozdanie”, któremu mylnie nadano w prasie i w opinii publicznej cechę urzędowego operata, gdy właściwie jest to tylko wynik spostrzeżeń krytycznych trzech osób prywatnych, które z własnej chęci, a za zgodą formalną rady zawiadującej zapisem ś.p. hr. Kickiego, majątki tej fundacji zwiedziły, przejrzały dokumenty i rachunki, i swoje uwagi i wnioski z jednej strony ujawniły w druku, a z drugiej przedstawiły na piśmie władzom Towarzystwa osad rolnych. Władze te obok bezpośrednich materiałów i dowodów, korzystając też niechybnie, i z owych uwag pp. Ch., K. i M., jako, ze względu właśnie na swój wyłącznie krytyczny charakter, mogących stać się pożytecznym przyczynkiem do tem dokładniejszego zbadania stanu obecnego fundacji ś.p. hr. Kickiego.

Jakiż jest ten stan? Czy i co zrobiono lub zrobić usiłowano w kierunku osiągnięcia zadań i celów, testamentem fundatora zakreślonych? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w niedawno właśnie nadesłanym nam dokumencie, jakim jest zarys sprawozdania opiekuna administratora zapisu ś.p. hr. Kickiego, prof. A. Białeckiego. Cyfry i wiadomości, w sprawozdaniu tem zawarte, nabiorą cech autentyczności zupełnej dopiero po ukończeniu rewizji ksiąg i rachunków z czterech lat ostatnich (którą to rewizję, jak wiadomo, już od paru tygodni odbywa wybrana przez komitet Towarzystwa osad rolnych komisja); niemniej jednak dokument rzeczony, jako wypracowany z urzędu i opracowany przedmiotowo, daje dosyć dokładny obraz stanu obecnego fundacji. Oto jego brzmienie dosłowne.

IV. Obecny stan interesów zapisu hr. Kickiego. Podniesiona w pismach periodycznych kwestja administracji zapisu hr. Kickiego, skutkiem szerzenia się różnych wieści, rozbudziła w opinii publicznej zainteresowanie się tą sprawą.

Od r. 1881-go były drukowane, co rok szczegółowe sprawozdania przy rocznikach Towarzystwa osad rolnych, zawierające materiał informujący, zarówno o stanie funduszy, jak i o dokonanych czynnościach.

Dostateczną odpowiedzią na czyniono pytania, rozszerzane wieści i wydawane sądy byłyby także same drukowane sprawozdania i rachunki, gdyby nie nastąpiło wyjątkowe, a znaczne bardzo opóźnienie ich ogłoszenia, za ostatnie lata od r. 1893-go. Opóźnienie to, najprzykrejsze dla samej administracji zapisu, nastąpiło z powodu nagromadzenia się naraz w tym właśnie czasie najrozmaitszych a terminowych zajęć, jako to: budowanie, organizowanie i otwieranie szkoły rolniczej, zamykanie i sprawdzanie dużych rachunków budowy; zaszłe w tym czasie zmiany rządców i kasjerów - buchalterów w majątkach ziemskich, niespodziewanie wynikłe procesy z powodu upadłości dzierżawcy Rzyczek; kłopoty z wyszukaniem nowego, zawieranie z nim umowy, sekwestrowanie poprzedniego, zdawanie i regulowanie na nowo całego interesu i t.d., nie mówiąc już o całym szeregu bieżących spraw, wymagających zawsze załatwienia.

Ponieważ na barkach przeważnie jednej tylko osoby leżało zajęcie się tem wszystkim, od-

bywanie koniecznych podróży w różne strony kraju i za granicę i do Petersburga, a nadto opracowanie sprawozdań i rachunków, musiała więc nastąpić zwłoka w wykończeniu tych ostatnich.

Obecnie są one do dnia 12-go lutego r.b. wszystkie złożone radzie zawiadującej na jej posiedzeniu, dla przekazania ich do zbadania wydelegowanej w tym celu przez komitet Towarzystwa komisji rewizyjnej, raport swój o nich komitetowi złożyć mającej.

Zanim to dokonane zostanie, zanim potrzebne formalności przeprowadzone, a wreszcie sprawozdanie i rachunki wydrukowane, jak zwykle, w dwóch językach będą, musi z konieczności pewien czas upłynąć.

Ażeby więc przyspieszyć poinformowanie ogółu o obecnym położeniu interesów zapisu hr. Kickiego do najwieleższej daty, jak również z powodu, że zdrowie, zniszczone nadmierną pracą przez lat 24 na posługi Towarzystwa osad rolnych oddawaną, i doznane w ostatnim czasie przykrości nie pozwalają mi nadal zajmować się dotychczasowymi obowiązkami i do złożenia ich stanowczo mnie skłaniają, wydało mi się stosownem i koniecznem przedstawić treściwą, a wyłącznie przedmiotową wiadomość o położeniu interesów zapisu Kickiego, z uchyleniem się od wszelkiej polemiki, co do czynionych zarzutów.

Jak wiadomo, zapis hr. Kickiego powstał w r. 1878-ym, t.j. w r. śmierci zapisodawcy. Przez lat 3 toczyły się formalności i korespondencje urzędowe, zanim Towarzystwo osad rolnych otrzymało pozwolenie objęcia zapisu na własność, pod warunkiem wykonania zaleceń testamentu. To nastąpiło dopiero w 1881-ym r.

Od 1878-go r. do 1881-go r., t.j. przez lat trzy, Towarzystwo żadnego nie miało udziału w zajmowaniu się spadkiem hr. Kickiego. Zawiadywali nim egzekutorowie testamentu.

Według spisów inwentarza, po śmierci hr. Kickiego sporządzonych, cała masa czynna przedstawiała wartość 344.511 rs. 79 kop. i 65.544 fl. austr. 67 centów.

W r. 1881-ym, t.j. przed piętnastu laty, objęło Towarzystwo tylko część jedną spadku: Orłów, Rzyczki i dom drewniany na Pradze z obszernym, ale niezabudowanym placem.

Reszta spadku pozostała się pod dożywociem wdowy hr. Kickiej, a mianowicie: Sobieszyn, dom w Warszawie, kolonje Szamocin i Józefin pod Warszawą, kapitał w papierach procentowych krajowych i zagranicznych, nominalną sumę według ówczesnych spisów inwentarza 104.616 rs. wynoszący, wreszcie wszystkie domowe ruchomości.

W chwili tedy obejmowania pierwszej części spadku Tow. nie miało do rozporządzenia żadnego funduszu, lecz przeciwnie znalazło długi na Orłowie i Rzyczkach, dla których spłacenia i poniesienia pierwszych kosztów prowadzenia interesów, musiało korzystać z pożyczki bezprocentowej 7.000 rs., przez ś.p. Stanisława Kronenberga udzielonej. Po śmierci dożywotniczki hr. Kickiej, w d. 24-ym września 1885-go roku zaszłej, Towarzystwo, po dokonaniu prawnych formalności, objęło dopiero w posiadanie drugą połowę spadku, w końcu r. 1885-go i z początkiem 1886-go roku, t.j. przed jedenastu laty.

Wiadomości o tak odebranych pojedynczych częściach spadku po hr. Kickim i o ich stanie obecnym przedstawiają się, jak następuje:

1. Kapitał, po zapłaceniu z niego wszelkich legatów przez egzekutorów testamentu, a później kosztów lub długów, masę spadkową obciążających, sądowych, zaległych procentów, dożywotnicze wdowie należących i t.d., wynosił, przy objęciu go w posiadanie Towarzystwa po śmierci hr. Kickiej w końcu 1885 go roku, sumę 91.000 rs, w listach zastawnych 5% ziemskich. Kapitał ten, nietknięty, znajduje się dzisiaj w depozycie kasy Tow. kredytowego ziemskiego i wynosi 92.350 rs., gdyż, przy konwersji 5% listów ziemskich na 4 1/2% dokupiono i przyłączono do niego 1.350 rs. listów zastawnych, z funduszu za dopłatę konwersyjną otrzymanego.

2. Dobra Orłów, w kwietniu 1881-go r. objęte, nie przynosiły, według sprawozdań egzekutorów testamentu, przedtem żadnego dochodu. Ziemia była wyjałowiona; pszenica dawała tylko trzy ziarna, a żyto koło 5. Budynki gospodarskie w złym stanie i niedostateczne, a na głównym folwarku pożar w 1880-ym r. zniszczył go zupełnie. Tak zwany pałac, o piętrze, niewykończony, bez okien, drzwi i kominów, służył za skład siana, słomy. Narzędzi rolniczych, inwentarzy żywych ilość niedostateczna. Długów bieżących do zapłacenia

9.920 rs. Młyn parowy nieczynny, w stanie zapuszczonym. Służebności bardzo uciążliwe na 141 osadach. Planu gospodarstwa rolnego ani leśnego nie było. Mapy i pomiary jeszcze z 1861-go r., z epoki przed uwłaszczeniem włościan sporządzone, nie przedstawiały rzeczywistego obrazu majątku. Po odebraniu w takim stanie Orłowa, przystąpiono do uporządkowania go. Przeprowadzono w Lublinie i Petersburgu zatwierdzenie projektu gospodarstwa leśnego. Zaprowadzono w rolnem gospodarstwie płodozmian, przez fachowych rolników opracowany. Pomiary nowe i mapy sporządzono.

Z trzema wsiami zdołano się ułożyć o zniesienie serwitutów leśnych i gruntowych. Wybudowano na wszystkich folwarkach około 60 różnych budynków gospodarskich i mieszkalnych. Założono gospodę chrześcijańską dla służby i włościan, zamkniętą jednak później z decyzji władzy. Wybudowano murowany budynek specjalny na szkołę elementarną, na 150 dzieci, starano się o pozwolenie otwarcia i utrzymania jej na koszt funduszków Towarzystwa, lecz pozwolenia tego nie uzyskano. Urządzono dla pożytku włościan stację rozplodników, ogierów, buhajów i knurów. Założono sklep wiejski. Ustanowiono stałego lekarza, który pobiera roczną pensję i przyjeżdża, co tydzień do Orłowa, dla leczenia służby miejscowej lub włościan bezpłatnie. Lekarstwa są również wydawane bezpłatnie. Gospodarstwo rolne zaopatrzone we wszelkie potrzebne maszyny i narzędzia. Skompletowawszy inwentarze żywe, starano się prowadzić przychowek silnych koni fernalskich, bydła rasy Schwytz, owiec Negretti. Założono sztuczne rybołówstwo na 14 morgach na początek. Przez stosowny układ z dzierżawcą młyna parowego doprowadzono młyn do porządku i pobierano z niego z początku 1.000 rs. rocznego czynszu, a później aż do dziś 3.000 rs.

Aby uchronić opustoszały budynek mieszkalny, nazwany pałacem, od zupełnej ruiny, rada zawiadująca w 1888-ym r. powzięła decyzję powolnego, co rok restaurowania go. W r. 1889-ym rozpoczęto tę robotę, według projektu budowniczego Kiślańskiego, a w r. 1893-ym zakończono urządzeniem na parterze sześciu pokoi i na piętrze dwóch, z przeznaczeniem ich na pomieszkowanie opiekuna administratora, mającego stale przebywać w Orłowie.

Folwark Dworzyska, około 300 mórg zawierający, dzierżawi p. Suchodolski i płaci z niego obecnie 1.000 rs. rocznie, przyczem podatki, koło 240 rs, wynoszące, opłaca Towarzystwo. Nakłady na uporządkowanie Orłowa i na jego meljoracje robione były z przychodów, z niego wydobywanych. Wpływy nadzwyczajne z dwukrotnej sprzedaży starodrzewu, na zasadzie decyzji władz rządowych dokonanej, po wprowadzeniu urzędzenia leśnego, były raz, za 3.060 sztuk - 21.000 rs. i drugi raz za 3.500 sztuk - 20.000 rs. Tyle bowiem tylko sprzedano z ogólnej ilości 10.245 sztuk, do jakiej upoważniał plan leśny, przez władze zatwierdzony. Resztę sztuk użyto na budowie w Orłowie lub została w rocznych porębach. Za odpadek wreszcie leśny, pozostały przy regulacji lasów w r. 1883-im, na karczunek urządzeniem leśnem przeznaczony, otrzymano 6.000 rs. Wpływy te użyte były w części na spłacenie długów Orłowa, po objęciu go w posiadanie, w części na jego meljorację, reszta zaś na utworzenie funduszu zapasowego w papierach procentowych, używanego później na różne specjalne cele pożyteczne, w myśl testamentu urzęczywistnianie.

W dawniej drukowanych sprawozdaniach są odpowiednie szczegóły zamieszczone. W tychże sprawozdaniach podane także były każdoroczne przychody i rozchody Orłowa, wyliczenie czystego dochodu jego i wskazanie, że po zaniknięciu wydatków za upłyniony rok można było z dochodów Orłowa przelewać do funduszków ogólnych pewne sumy, do 6.000 rs. w poszczególnych latach dochodzące, w miarę roku lepszego lub gorszego.

Rachunek kalkulacyjny ustanowił:

- w roku 1892/3 dochód czysty ... 5.470 rs. 27 kop.
- w roku 1893/4 dochód czysty1.554 rs. 08 kop.
- w roku 1894/5 niedobór1.901 rs. 29 kop.
- w roku 1895/6 dochód czysty ... 4.358 rs. 09 kop.

Lata 1893/4 i 1894/5 należały w lubelskiem do szczególnie złych pod względem urodzajów; była klęska gradowa, która nawiedziła Orłów, nie mówiąc o ogólnej niższe cen zboża.

W obecnej chwili Orłów nie ma żadnych zaległości płatniczych, gdyż wszystkie poprzednie dochodami roku 1895/6 spłacone zostały. Od objęcia Orłowa w r. 1881-ym do końca roku gospodarskiego 1895/6 wydane na meljoracje i budowę 54.888 rs. gotowizną.

3. Dobra Rzyczki objęte zostały od sądu krajowego lwowskiego w lipcu 1881-go r., zawierają przestrzeni ogólnej około 2.024 mórg, z których 900 mórg lasu. W chwili obejmowania majątek ten przedstawiał się w stanie zupełnego opuszczenia. Budynki zrujnowane, pola po większej części nieobsiane, siano niesprząnięte, zapasów słomy, paszy i zboża, żadnych. Granice własności dworskiej na gruncie nieoznaczone, map ani pomiarów nie było, oddzielne kawałki gruntów dworskich w cudzem posiadaniu spornem. W lasach i polach wiele szachownicz z gruntami włościańskimi.

W tych warunkach nikt Rzyczek w dzierżawę wziąć nie chciał. Za lat trzy administracji sądowej sąd krajowy lwowski wykazał i oddał dochodu z Rzyczek pobranego tylko 1.168 flor. 55 cent. Jednocześnie długów bieżących do zapłacenia okazało się 2.145 fl. 28 ct. Skarb austriacki zażądał opłaty należności przenośnej (stempel kolateralny) 8.075 fl. 75 ct. Z konieczności zaprowadzić musiano na początek administrację własną Towarzystwa, aby jaki taki ład zaprowadzić. Trwała ona do kwietnia 1883-go r.

Od tego czasu wydzierżawiono wreszcie Rzyczki najprzód p. Agapsowiczowi, a w rok potem p. Mochnackiemu, który przejął na siebie kontrakt p. Agapsowicza. Kontrakt ten był zawarty do dnia 1-go kwietnia 1897-go roku, na bardzo łagodnych warunkach. Opisane są one w dawniejszych sprawozdaniach. Dzierżawca nie wywiązał się z nich należycie, pomimo, że na skutek jego prób i narzekań wielkie mu czynione były ustępstwa: zmniejszanie czynszu w poszczególnych latach, wreszcie przyjęcie nawet opłaty podatków i ekwiwalentu, przeszło 2.500 fl. wynoszących, na ciężar Towarzystwa. Gdy w końcu wdał się w ryzykowne przedsiębiorstwo kupna dwóch majątków ziemskich, naciśnięty przez wierzycieli, doprowadził siebie do upadłości, a Rzyczki do opuszczenia w budynkach, uprawie roli i zalegnięciu w opłatach czynszu. Aby zabezpieczyć swoje prawa i interes, Towarzystwo musiało wejść na drogę sądową i żądać sekwestru. Skutkiem podjętych starań, odzyskane zostały z funduszów z sekwestracji osiągniętych i z kaucji czynsz zaległy i należność za niedostarczone zboże na zasiew w sumie 3.500 fl. i 2.061 fl. Nieodzyskane dotąd zostały koszty sądowe, procenty i szkody, sprawione w zniszczo-

nych lub upadłych budynkach, ogrodzeniach, poważną kwotę stanowiące. Pogorszony stan Rzyczek spowodował trudność w znalezieniu nowego dzierżawcy. Kilku zgłaszających się kandydatów, stawiało warunki, niemożliwo do przyjęcia.

Nareszcie od kwietnia 1897-go r. udało się wydzierżawić Rzyczki p. Albertowi Kaempffe, wprawdzie z rodziny niemieckiej pochodzącemu, ale w Galicji urodzonemu i wychowanemu, którego stryjowie i rodzice posiadają w okolicy własne majątki lub duże dzierżawy i używają opinii dobrych i solidnych gospodarzy. Kontrakt z p. Kaempffe zawarty został na lat 12, a jeżeli postawi i urządzi gorzelnię, to na lat 15. W pierwszym roku, po dokonaniu własnym kosztem zasiewów wiosennych, ma płacić 2.000 fl., w drugim 3.000 fl., w następnych czterech latach po 5.000 fl. W ostatnich sześciu po 6.000 fl., a wreszcie jeżeliby jeszcze trzy lata dłużej dzierżawił, to w ciągu tych lat ma płacić po 6.500 fl. Podatki płaci Towarzystwo. Lasy do dzierżawy nie należą. Były to najlepsze warunki, jakie uzyskać było można, i przyjęcie ich uchroniło Towarzystwo od bardzo poważnych strat, jeżeliby Rzyczki nie zostały wydzierżawione od d. 1-go kwietnia r.b.

Od objęcia Rzyczek w r. 1881-ym, postawiono nowych lub z gruntu przebudowano 13 budynków kosztem 9.430 rs. 70 kop. Zamieniono wiele gruntów w szachownicach z włościańskimi leżących, sporządzono nowe pomiary i mapy; spłacono długi, jakie zastano: 2.145 fl. 28 ct. i 8.075 fl. 75 ct. stempla kollateralnego; postarano się o etatową szkołę elementarną i na wybudowanie jej dano z lasów cały materiał drzewny; wystawiono murowany kościół na 600 osób w stylu romańskim, sprawiono do niego organy, ławki i wszystkie sprzęty potrzebne; postawiono dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie dla księdza wikariusza, co razem z kościołem kosztowało 21.941 rs. 94 kop. Na utrzymanie wikariusza przy kościele wydano od d. 1-go września 1890 r. po chwilę obecną 2.550 rs. 43 kop.

Administracja leśna w Rzyczkach jest pod zarządem Towarzystwa; nadleśny i plenipotent książąt Sapiehów, p. Remiszewski, prowadzi kontrolę, kierunek zadrzewianiem oraz eksploatację leśną Rzyczek. Na miejscu jest zaś leśniczy i dwóch gajowych. Znaczną kwotę rocznie kosztują kultury

leśne, bardzo trudno się udające na gruncie albo mokrym niezmiernie w nizinach, albo zbyt suchym, a z natury swej nieurodzajnym. Przychód z porębów rocznych 8-morgowej przestrzeni czynił od 3.000-5.000 flor., a wedle ilości i gatunku drzewa, jaki w danym roku przypadł. Sprzedaż porębów zajmował się zwykle nadleśny książąt Sapiehów, p. Remiszewski, wzywając do konkurencji więcej znane firmy kupieckie. Jednorazowych większych sprzedaży lasu w Rzyczkach nie dokonywano.

Poza rocznymi zwykłymi przychodami, odebrano w ciągu lat 15 trzy jednorazowe znaczniejsze wpływy, do Rzyczek się odnoszące a mianowicie: w roku 1882 i 1886 za grunta pod kolej wywłaszczone 4.298 rs. 37 kop. Za wykupione przez rząd prawo propinacji w roku 1890-ym 6.677 rs. 28 kop. Nakoniec, wywindykowano po długich zabiegach z depozytu sądu lwowskiego w latach 1889 i 1890, fundusz jeszcze po ojcu hr. Kickiego zostający 10.731 rs, 44 kop.

W dawniej drukowanych sprawozdaniach podane są zresztą wiadomości o tych nadzwyczajnych wpływach, w miarę ich otrzymywania. Rachunek z Rzyczek w ostatnich latach przedstawiał się tak:

Rok	Przychód rs., k.	Rozchód*)
1892/3	11.366,74	4.305,49
1893/4	8.996,46	3.737,21
1894/5	8.154,30	3.704,21
1895/6	8.551,38	5.049,63

*) W tych wydatkach mieszczą się: podatki, utrzymanie wikařatu i kosztu lasów.

Czyli, że w przecięciu rocznie otrzymywano w ostatnim czasie dochodu 5.000 rs.

4. Posesję na Pradze odebrano w r. 1881. Dzierżawca, którego w niej zastano, p. Oxner; płać z niej 300 rs. Podniesiono mu opłatę dzierżawna do 350 rs., a później do 400 rs., ale gdy i kaucji nie złożył i nieregularnie się wypłacał, a przedewszystkiem budynków nie naprawiał i do upadku doprowadzał, ogłoszono licytację, wskutek której od 1 lipca 1890 roku wydzierżawił ją p. Adolf Scholtze, urzędnik emeryt, za cenę 450 rs. rocznie, ale z obowiązkiem zupełnego wyrestaurowania swoim kosztem wszystkich budynków, parkanów i postawienia nowej stajni, co wykonał bardzo porządnie. Obecnie posesja ta pozostaje w dzierżawie p. Scholtzego z podwyższonym czynszem do 550 rs.

5. Dobra Sobieszyn i Blizocin, objęte z końcem 1885 roku, wymagały również uporządkowania. Zaprowadzono więc płodozmiany, sporządzono nowe pomiary i mapy, wprowadzono gospodarstwo leśne, zaopatrzone gospodarstwo we wszelkie maszyny, narzędzia, rozwinięto hodowlę poprawnego bydła. Wybudowano nowych 9 budynków, częścią murowanych, częścią drewnianych, w nich dwa młyny wodne, które uległy pożarowi. Wykończono kościół parafjalny, kosztem wdowy hr. Kickiej zbudowany, postawiono w nim pomnik rodzinie hr. Kickich. Wydatkowano na to 6.641 rs. 89 kop.

Cały folwark Lendo 125 morgów i część folwarku Blizocin koło 180 morgów zadrzewiono sztucznie, co razem z zagajnikami w lasach czyni przeszło 400 morgów sztucznych zagajników. Folwark Blizocin dzierżawi p. Kuszell za 2.500 rs.

Na budowie i meljoracje w Sobieszynie wydane od 1886 r. 22.459 rs.

Z przeprowadzonego rachunku kalkulacyjnego Sobieszyna wykazuje się, że:

- w roku 1892/3 dochód czysty był ..1.297 rs. 17 kop.,
- w roku 1893/4:1.985 rs. 51 kop.,
- w roku 1894/5:3.836 rs. 30 kop.,
- w roku 1895/6:1.909 rs. 91 kop.

Do nadzwyczajnych, jednorazowych przychodów Sobieszyna i Blizocina, zalicza się tylko suma 2.579 rs. 29 kop., otrzymana w r. 1896 za grunt, ustąpiony pod budowę szosy wojskowej.

Jak wiadomo, założone są dwie instytucje użyteczności publicznej w Sobieszynie, stacja doświadczalna i szkoła rolnicza niższa. Pierwsza, urządzona w lipcu 1886 roku, zanadto dobrze jest znana, żeby przypominać jej opis. Budynków na jej potrzeby wzniesiono na dawniejszych polach próbnych 3, a na nowych 4.

Koszty na stację poniesione od r. 1886 w gotówiznie wynosiły do końca roku 1895/6 - 40.244 rs., nie licząc materiałów drzewnych, opału, ordynarji, inwentarzy żywych i t.d. W roku bieżącym 1896/7 wydano już 1890 rs., czyli razem dotąd 42.134 rs.

Szkołę rolniczą niższą zaczęto budować w r. 1893, a otwarto w marcu 1896 r. Urządzoną jest dla 60 uczniów. Koszty jej wynoszą do dnia 12-go lutego r.b.

- Budowle, urządzenie wewnętrzne48.871 rs. 89 kop.
- Koszty utrzymania od marca 1896 r.4.801 rs. 34 kop.
- Różne koszty410 rs. 37 kop.
- Razem54.083 rs. 60 kop.

6. Dom w Warszawie, objęty w r. 1886, został odrestaurowany zupełnie. Urządzono w nim wodociągi i kanalizację. Kosztowało to 5.864 rs. 80 kop. Całe antresole i 4 pokoje na 3 piętrze oddano bezpłatnie na potrzeby biur i urzędników zarządu Towarzystwa osad rolnych, w wartości rocznie 1000 rs., o którą zatem zmniejszony jest dochód z najmu lokali.

W ostatnim czteroleciu było:

Rok	Przychód rs., kop.	Rozchód
1892/3	3.163,80	1.826,18
1893/4	3.319,90	1.679,28
1894/5	3.398,20	1.283,61
1895/6	3.384,95	1.213,53

Czyli, że dom ten czyni w przecięciu 1.816 rs. rocznie, nie licząc lokali zarządu Towarzystwa.

7. Kolonia Szamocin i Józefin pod Warszawą, mająca 101 morgów przestrzeni, została objęta od 1886 r. w posiadanie Towarzystwa. Kolonia ta, jak zresztą i inne majątki była w stanie zaniedbanym. Koszta uporządkowania tej posiadłości, a mianowicie: zbudowanie nowego domu mieszkalnego dla dzierżawcy po pożarze, odbudowanie stodoły, obory, czworaku, chlewów, koszty pomiarów i map, wyniosły 5.985 rs. 12 kop.

Ponieważ kolonia ta znajdowała się na prawach czynszu wieczystego, do dominium Białoleka płatnego, przeto, po porozumieniu się z właścicielem, skupiono czynsz wieczysty za 750 rs. i wywołano osobną hypotekę dla kolonii Szamocin. Dzierżawca, którego zastano w r. 1886 (pan Gliszczyński), płacił tylko 400 rs. rocznej dzierżawy; następca jego (p. Zaremba) od 1888 roku płacił 805 rs., który to czynsz niższono mu później na 650 rs. Obecny dzierżawca, p. Michał Gildenstern, płaci od 1 lipca 1894 rocznego czynszu 900 rs., tudzież podatki i asekuracje. Kolonia Szamocin jest zupełnie uporządkowana i, jak należy, zabudowana.

Takie było poprzednie położenie i taki jest stan obecny oddzielnych części spadku, po ś.p. hr.

Kickim odebranych. Kierując się zaleceniami testamentu i w duchu tegoż działając, okazuje się, że nie naruszywszy wcale kapitału, pozostawionego przez zapisodawcę, wydatkowano jedynie z przychodów, przez administrację Towarzystwa osiągniętych, na cele szczególne, testamentem wskazane, a mianowicie: na meljoracje, budowle, podniesienie majątków ziemskich, na instytucje pożyteczne, na kościoły w majątkach, wsparcia i t.d., w ogólności 244.071 rs. 94 kop., a mianowicie:

- Meljoracje i budowle w Sobieszynie 22.459 rs. 00 kop.
- Szkoła rolnicza w Sobieszynie 54.083 rs. 60 kop.
- Stacja doświadczalna w Sobieszynie 42.134 rs. 00 kop.
- Wykończenie kościoła w Sobieszynie 6.641 rs. 89 kop.
- Meljoracje domu w Warszawie 5.864 rs. 80 kop.
- Kościół i wikariat w Rzyckach 21.941 rs. 94 kop.
- Utrzymanie wikariusza od r. 1890 2.550 rs. 43 kop.
- Budowle w Rzyckach 9.430 rs. 70 kop.
- Odbudowanie Szamocina 5.985 rs. 12 kop.
- Skup czynszów wieczystych Szamocina 750 rs. 00 kop.
- Meljoracje i budowle Orłowa 54.888 rs. 00 kop.
- Subsydja zarządowi osad rolnych: w pieniądzu, w zbożu, w lokalu przez lat 10, emerytury i wsparcia: 17.342 rs. 46 kop.
- W ogóle 244.071 rs. 94 kop.

Do sumy powyższej 244.071 rs. 94 kop. dodać wypada spłacone od r. 1885/6, t.j. od objęcia Sobieszyna i Blizocina, a przychodów administracyjnych, raty pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego na majątek ten przez ś.p. hr. Kickiego jeszcze zaciągniętej, przez co część tego długu umorzono, czyli wartość majątku powiększono. Spłacone przez ten czas 22 raty półroczne uczyniły kwotę 24.423 rs. 36 kop., która razem z powyżej wykazaną stanowi 268.495 rs. 30 kop.

Dla dokładnego przedstawienia stanu rzeczy wypada zwrócić uwagę, że niektóre oddzielne wpływy jednorazowe z majątków, które już powyżej we właściwym miejscu podano, a które mają charakter bądź kapitału, bądź zmniejszenia niejako substancji majątków, powinny być słusznie odjęte od sumy 268.495 rs. 30 kop.

Tu należą tedy:

- Z Orłowa za starodrzew i odpadek leśny 21.000 + 6.000 + 20.000, razem 47.000 rs. 00 kop.
- Z Rzyczek za grunty pod kolej ustąpione, za prawo propinacji przez rząd wykupione (choć znowu przez to zmniejszyły się przychody i były dzierżawcy bonifikowane), wreszcie wywindykowany zadawniony fundusz depozytowy po ojcu hr. Kajetana Kickiego: 4.928 rs. 37 kop. + 6.677 rs. 28 kop. + 10.731 rs. 44 kop.; czyli razem 22.337 rs. 99 kop.
- Z Sobieszyna za grunty, pod budowę szosy wojсковей ustąpione 2.579 rs. 29 kop.
- Ogółem 71.916 rs. 38 kop.

Jeżeli więc nawet tę sumę wpływów nadzwyczajnych potrącimy od tamtej sumy wydatków, na cele zapisu wykonanych, to pozostanie się cyfra 196.578 rs. 92 kop. tych ostatnich. Ponieważ w wykazanym dalej remanencie funduszków i kapitałów jest fundusz zaoszczędzony z przychodów 15.000 rs. i gotowizna 7.457 rs. 80 kop., przeto łącznie z powyżej wymienioną cyfrą uczynią razem sumę 219.036 rs. 72 kop. przedstawiającą obraz bądź wydanych na testamentem wskazane cele zapisu, bądź też w remanencie będących sum pieniężnych, z przychodów osiągniętych.

Zwrócić wreszcie trzeba uwagę, że w kosztach budowy mieszczą się tylko same sumy pieniężne, a nieobliczona jest wartość użytych materiałów drzewnych i o tyle wartość budowy podnosząca; że nie są zamieszczane koszty zarzadzania dużych przestrzeni w Orłowie, Sobieszynie i Rzyczkach, i wiele innych poniesionych, a na zwiększenie wartości majątków wpływających, nie mówiąc już o podniesieniu ich kultury.

Przez nowe przeszacowanie majątków, zarówno nieruchomości, jak inwentarzy żywych i martwych, i przez porównanie go ze stanem pierwotnej masy czynnej spadku, zapisanej w spisach urzędowych, po śmierci hr. Kickiego sporządzonych, mogłoby tylko być należyte porównanie zro-

bione, a zarazem objaśnione, czy wartość spadku w r. 1881 i 1886-ym objętego przez Towarzystwo, przedstawia się w roku 1897-ym uszczuploną czy też powiększoną.

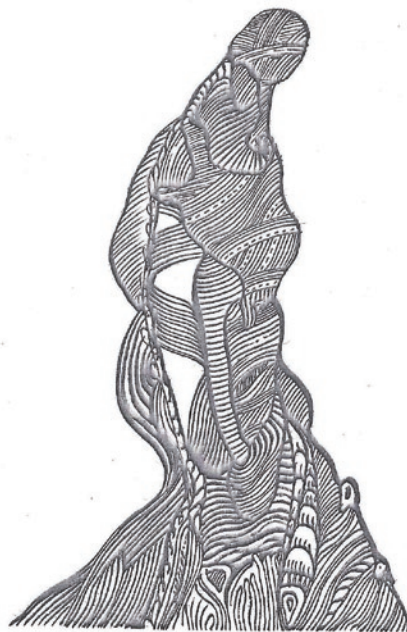
Stan funduszków i kapitałów, po wykonaniu przytoczonych nakładów, przedstawia się obecnie, jak następuje:

- Kapitał w listach zastawnych 4,5% ziemskich. 92.350 rs. 00 kop.
- Fundusz oszczędzony w listach zastawnych m. Warszawy 5%. 15.000 rs. 00 kop.
- Gotowizna 7.457 rs. 80.5 kop.

Majątki ziemskie i nieruchomości miejskie nie zostały w czasie administracji Towarzystwa żadną pożyczką obciążone, a na złożone w depozycie papiery procentowe żaden również dług nie jest zaciągnięty. Warszawa, d. 12-go lutego 1897-go r. Podpisano: A. Białecki, opiekun - administrator.

Zebrał dr Kazimierz Stolecki.

*Opracowanie ze zbiorów e-Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego (pisownia oryginalna).
Koniec.*



rys. Robert Znajomski

Lucjan Cimek

Wojciech Kossak i gdańska wódka



Trzy najpiękniejsze rzeczy na świecie to - panna w tańcu, koń w galopie i fregata pod pełnymi żaglami. I drugie od dawna będące w obiegu powiedzenie: trzy najlepsze rzeczy w Polsce - krakowska panna, toruński piernik i gdańska wódka. Jeśli Wojciech Kossak (1857-1942) - malarz, współtwórca „Panoramy Racławickiej”, nawet nie znał tych porzekadeł, nie dał tego po sobie poznać. Przeciwnie. Ten król, powiedzmy „królik życia”, światowiec, swą praktyką jakby potwierdził znajomość powiedzeń. I to dobrą. Ożenił się z krakowską panną i twierdził, że jest godna być żoną artysty. Konie uwielbiał i ujeżdżał na wszystkie biegi, a więc również w galopie. Co do fregaty, to zapewne ją widział, dużo podróżując po świecie, a choć o tym nie wspomina, nie mógł nie widzieć - często bywając w Gdyni - najpiękniejszej z nich, „Daru Pomorza”. Nie wiemy, czy miał uznanie dla toruńskiego piernika, czy go próbował. Natomiast wiemy, że smakował w gdańskiej wódce, a raczej likierze. Ach, słynny gdański „Goldwasser”! Nad Motławą już wieść tylko pozostała po tym korzenym płynie o ciepłej barwie, w którym pływały cieniutkie płateczki złota.

Zwiedzający w 1881 roku Gdańsk Stanisław hrabia Tarnowski, choć literatury historyk wykwinął, nie omieszczał odnotować w swych wakacyjnych szkicach, co zauważył przy ulicy Szerokiej: *Jest „Pod Łososiem” skład gdańskich wódek, główna na cały świat fabryka sławnego „Goldwasser” i jego stolica*. Nie gorszy był więc pan hrabia od swej babki Walerii. W „Mon journal” z odbytej 64 lata wcześniej podobnej ekskursji zapisała wspomnienie: *Byliśmy tego wieczora „Pod Łososiem” kupować wódki gdańskie. Jaś¹ powiedział, żeby to zanotować w moim dzienniku, bo uważa, że podróż do Gdańska byłaby nieważna bez wstąpienia „Pod Łososia”*.



Gdańsk. Długie Pobrzeże nad Motławą z Bramą Mariacką i słynnym Żurawiem.

Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka. Nie tylko Adam Mickiewicz sławił tę wódkę fabrykowaną według receptury Ambrożego Vermöllena z Liepawy, który w 1598 roku uzyskał gdańskie obywatelstwo. Może właśnie za ten przepis cudowny i cudaczny zarazem? *Guldenwassera, aby przyrządzić na 8 sztofów (czyli 4 kwarty) musi być z mocnej anyżówki albo wódki francuskiej, destylowany w łaźni morskiej; 6 łutów anazeliki, 6 łutów tataraku, 2 łuty korzeni mistnowca, 2 łuty korzeni dziewięcisiu, 2 i 1/2 łuta korzeni gencjany, 1 łut białego dyptamu, 1 łut driakwi, 10 łutów jagód jałowca, 3 kwintale korzeni waleriany, 3 kwintale różanego drzewa, 5 kwintali białego sandałowca, 3 kwintale jermanku, 3 kwintale korzeni xondeolu, garść winnej ruty, garść świeżej ruty. Wszystko z gruba rozgnieść, zalać 8 sztofami wódki, przedystylować, potem cukrem do smaku doprawić i dodać złota*. Receptura tak miała właśnie brzmieć *mniej więcej*². W każdym razie barwna i śliczna mieszanka. Nie dziw, że pan Wojciech Kossak

¹ Jaś - Jan Tarnowski mąż Walerii. Tarnowscy towarzyszyli Julianowi Ursynowi Niemcewiczowi w spacerach po Gdańsku latem 1817 roku, prowadząc zapiski z odwiedzanych miejsc; „Morze” 6/1932, ss. 9-11.

² E. Milewski, „Opowieść gdańskich uliczek”, Gdańsk 1979, s. 102.



Kamienice przy Długim Targu w Gdańsku.

w tej *gdańskiej złotówce* zasmakował i to nie gdzieś tam w świecie, ale u samego źródła, w Gdańsku, „Pod Łososiem”, przy ulicy Szerokiej.

Od 1937 roku budował Wojciech Kossak letniskową willę z pracownią w Juracie. Jurata - jak wspomina poznański pisarz Janusz Przybysz³ - w miesiącach letnich stawała się sezonową stolicą kraju, gromadząc świat najbardziej wytworny i znaczący. Pod luksusowym hotelem „Lido” wciąż stały rządowe limuzyny, tam też w ogrodach przy eleganckich willach można było widzieć cały kwiat dyplomacji i wielkiego świata ziemian, przemysłowców, oficerów, artystów. Szeptano, kiedy ukazywała się Maria Bogda lub Eugeniusz Bodo.

„Kurier Bałtycki” z 26 lipca 1938 roku zamieścił taką informację: *„Władza, literatura i sztuka nad morzem”, a w niej: ...w Juracie, we własnej willi, zamieszkał mistrz Wojciech Kossak, myślący ponoć o malowaniu tu Panoramy Grochowskiej. Przybyły również obie jego uzdolnione w literaturze córki Maria Jasnorzewska-Pawlikowska i Magdalena Samozwaniec. Rzeźbę reprezentuje tu Henryk Kuna.*

I oto nadszedł ów rok 1939. Z Juraty, Wojciech Kossak, uprzedzony przed wszystkimi -

przez Zofię, żonę admirała Józefa Unruga - dzięki swojemu ogromnemu automobilowi wyjechał zamian panika wybuchła na dobre i dotarł szczęśliwie do Krakowa.

Willa przy ulicy Świątopętka 13 w Juracie niektórym tylko miejscowym - nie mówiąc już o przyjeźdźnych - znana była jako jeszcze jedna w Polsce „Kossakówka”. Nie była imponująca. O wiele więcej tu było bardziej okazałych willi. Do domu malarz dostawił werandę - pracownię (były w niej ponoć witraże). Ledwie to wszystko jako tako zdołał z trudem urządzić, kiedy musiał się za kierownicą szybkiego automobilu. W czasie okupacji willę zajął posterunek niemieckiej straży granicznej. Pod koniec 1953 roku znajdujący się w ruinie dom przejęli nowi właściciele.

Magdalena Samozwaniec w „Marii i Magdalenie” (1956), będącej swego rodzaju kroniką i biografią Kossaków, nie zapomniała i o *gdańskiej złotówce*. Wspomina, jak Tatko zatrzymywał maszynę, wyciągał spod siedzenia skórzaną kantynę, w której zawsze była krakowska kielbasa, chleb, masło i owa *gdańska złotówka*. Przygotowywał zakąskę i po kolei wszystkim jadącym dawał popić z jednego kubka likieru, w którym pływały złote płatki.

Lucjan Cimek

³ J. Przybysz, „Krótki fragment dziejów rodu”, Poznań 1981, s. 73-80.

Jacek Kiszczak

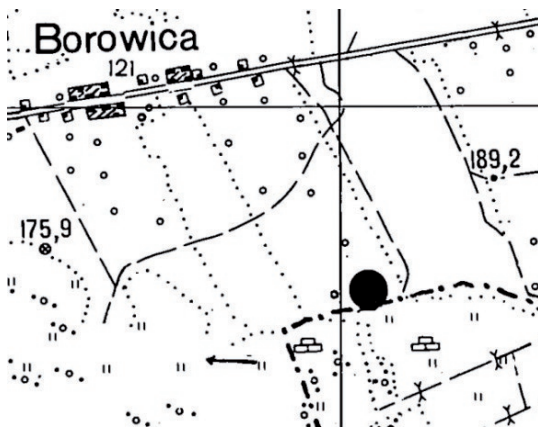
Ruchome zabytki archeologiczne pochodzące z przypadkowych odkryć z terenów Borowicy (gm. Łopiennik Górny)



W poprzednich wydaniach czasopisma „Nestor” oraz w publikacjach naukowych przedstawiłem wyniki dawnych badań archeologicznych przeprowadzonych we wsi Borowica¹. W tym artykule mam zamiar zaprezentować kolekcje zabytków archeologicznych odkrytych przypadkowo, do których udało mi się dotrzeć. Niektóre z tych artefaktów zostały opublikowane, więc zostaną one wspomniane w krótkim zarysie. Wszystkie zostały odnalezione przez przypadkowe osoby w różnych miejscach, więc trudno jest określić ich kontekst archeologiczny.

Przegląd zabytków zacznę od kilku wyrobów z krzemienia odkrytych przez Daniela Rudnika w roku 1985. Szczegółowo zostały one opublikowane w „Lubelskich Materiałach Archeologicznych”, tom III przez Andrzeja Bronickiego, w artykule „Kolekcje prywatne w opracowaniu Muzeum Okręgowego w Chełmie. Zbiory Daniela Rudnika z Borowicy, Zbigniewa Gwardia z Rybiego oraz Ryszarda Wojtuka z Zagrody”. Zna-

lazca natrafił na nie na polach, które należały do Piotra Sawy i Heleny Rudnik. Stanowisko nr 3, na którym odnaleziono artefakty, zostało odkryte w 1977 r. podczas badań powierzchniowych prowadzonych przez Jerzego Waszkiewicza².

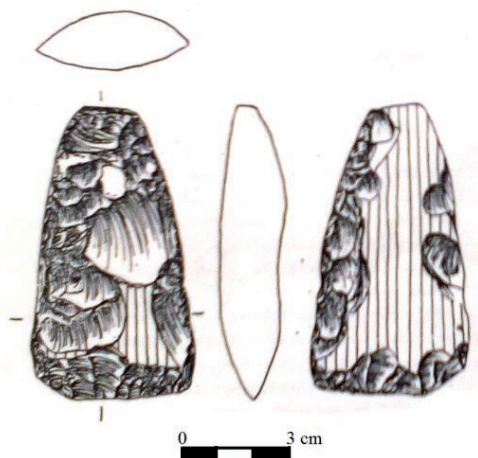


Borowica, stan. 3. Czarną kropką oznaczono miejsce odkrycia artefaktów. Skala 1:50 000 (podł. mapa topograficzna, oprac. J. Kiszczak).

Materiały zostały przekazane do Muzeum Ziemi Chełmskiej im. Wiktora Ambroziewicza w Chełmie (dalej: MZCh). Były to zabytki wykonane z występującego u nas pospolicie tzw. krzemienia rejowieckiego (odmiany wg Ł. Rejniewicza). Pierwsza ze zbiorów to siekierka dwuścienna o przekroju poprzeczno-soczewkowatym, obustronnie lekko wypukła. Jej wymiary wynosiły 82 x 44 x 17 mm, powierzchnia była szara, matowa, o jaśniejszych, przechodzących w ciemnoszare, prześwitujące plamki (odmiana II-III wg Rejniewicza). Była ona użytkowana przez ludność z okresu wczesnego brązu (ok. 4 tys. lat temu). Kolejnym artefaktem był rdzeń wiórowy, dwupiętowy, podprostokątny. Jego wymiary wynosiły 77 x 34 x 31 mm, powierzchnia była gołębioszara, matowa, przechodząca w ciemnoszarą, prześwitującą barwę (odmiana II-III wg Rejniewicza). Najprawdopodobniej został wytworzony o okresie schyłkowego paleolitu (ok. 14-12 tys. lat temu).

¹ Badania archeologiczne omówiłem w artykułach: *Borowica - historia i archeologia miejscowości*, „Nestor”, 3(37) 2016, ss. 11-14; *Borowica w badaniach powierzchniowych AZP - wyniki oraz postulaty*, „Nestor”, 1(39) 2017, ss. 11-13; *Dzieje wybranych miejscowości gminy Łopiennik Górny w świetle archeologicznych badań powierzchniowych AZP*, „Młoda Humanistyka”, nr 1/2018 (11) [wersja internetowa]; *Wyniki badań powierzchniowych Archeologicznego Zdjęcia Polski na terenie Borowicy (pow. Krasnostaw)*, „Rocznik Lubelski”, t. XLIV, 2018, ss. 311-326. W grudniu 2018 r. w Bibliotece Głównej UMCS dołączyłem do „Sprawozdań z badań terenowych Katedry Archeologii UMCS w 1991 roku”, w którym znajduje się artykuł Anny Zakościelnej i Jana Gurby *Badania ratownicze na terenie gminy Łopiennik Górny w województwie chełmskim*. Opisuje on sezon badań wykopaliskowych w 1991 r. w Borowicy oraz odkryty wówczas liczny materiał ruchomy, przy czym autorzy opracowania skupili się jedynie do analizy zabytków krzemienianych, nie uwzględniając materiału ceramicznego.

² Stanowisko zostało pozytywnie zweryfikowane w ramach Archeologicznego Zdjęcia Polski (AZP) przez Sławomira Kadrowa w 1984 r. (patrz przyp. 1).



Siekierka dwuścienna o przekroju poprzeczno-soczewkowym (wg. A. Bronicki 1988).



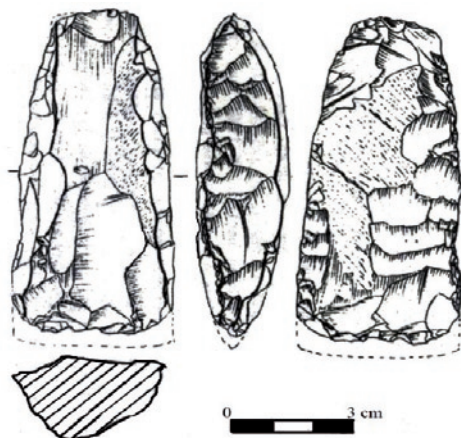
Rdzeń wiórowy, dwupiętowy, podprostokątny (rys. A. Bronicki).

Innymi mało charakterystycznymi wyrobami były:

1. krzemieniany obłupień jednopiętowy, o wymiarach 52 x 25 x 17 mm, datowany ogólnie na okres epoki kamienia;
2. fragment odłupka krzemienianego odbitego z rdzenia jednopiętowego, o wymiarach 40 x 19 x 6 mm, datowany ogólnie na okres prądziejowy;
3. odłupka krzemieniany o wierzchniej stronie surowej, silnie spatinowanej, wymiary 39 x 31 x 10 mm, datowany ogólnie na okres prądziejowy;

4. odłupka krzemieniany - okruh, o wierzchniej stronie surowej, wymiary 41 x 29 x 17 mm, datowany ogólnie na okres prądziejowy.

Interesującym zabytkiem była odkryta w 1992 r. przez Władysława Tkaczyka siekierka krzemieniana. Szczegółowe informacje o znalezisku zostały opublikowane przez Jerzego Libere i Leszka Rysia w „Sprawozdaniach z badań terenowych Katedry Archeologii UMCS w roku 1993”, w artykule „Siekierki krzemienne znad środkowego Wieprza”. Artefakt został ofiarowany przez znalazcę do Szkoły Podstawowej w Milejowie (woj. lubelskie). Była to siekierka o formie soczewkowej, w obrysie beczułkowata, wykonana z krzemienia wołyńskiego, o barwie granatowoszarej. Jej długość wynosiła 95 mm, szerokość ostrza 60 mm, grubość 32 mm. Według autorów opracowania, posiada ona liczne analogie w inwentarzach kultur wczesnej epoki brązu. Mogła być użytkowana przez ludność kultury strzyżowskiej czy trzcinieckiej (ok. 4-3,5 tys. lat temu).



Siekierka krzemieniana o formie soczewkowej (wg. J. Libera, L. Ryś 1994, s. 57).

Dariusz Kopniak w 1995 r. natrafił na żelazny czekan i przekazał go do MZCh w Chełmie. Został on zainwentaryzowany pod nr. MCH/A/8622. Zabytek opublikowałem w artykule „Dzieje wybranych miejscowości gminy Łopiennik Górny w świetle archeologicznych badań powierzchniowych AZP”, „Młoda Humanistyka”, nr 1/2018 (11) [wersja internetowa].



Czekan żelazny odkryty w miejscowości Borowica
(fot. i oprac. J. Kiszczak).

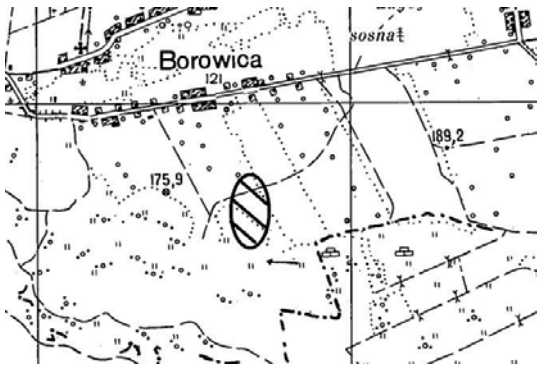
Jego wymiary wynosiły: długość 10,5 cm, szerokość ostrza 5 cm, długość tulei 2,5 cm. Artefakt posiadał lekko łukowate ostrze, obuch płaszczynowy, nieznacznie wklęsły i sercowaty otwór toporzyska. Nie dało się określić dokładnego datowania, jednakże może on pochodzić z okresu wczesnego średniowiecza (ok. XI-XIII w.) lub staropolskiego (XVI-XVIII w.).



Czekan żelazny z sercowatym otworem toporzyska
(fot. i oprac. J. Kiszczak).

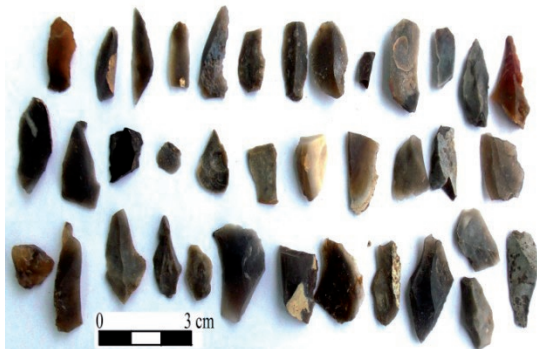
W okresie mojej nauki w liceum, natknąłem się na liczny materiał krzemienno i ceramiczny. Od razu, nie posiadając jeszcze odpowiedniego wykształcenia i przygotowania archeologicznego, wydał mi się on bardzo stary i interesujący. Odkrycie zgłosiłem i przekazałem 28 listopada 2009 r. do Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie. Zostało ono przyjęte przez Elżbietę Sobczuk, która okre-

śliła jego przynależność kulturową i chronologiczną. Zbiór zabytków archeologicznych liczył łącznie 258 artefaktów, które znajdowały się na obszarze dwóch użytkowanych kopaliń piasku żółtego. Część tych kopaliń mieściła się na polach należących do mojej rodziny.



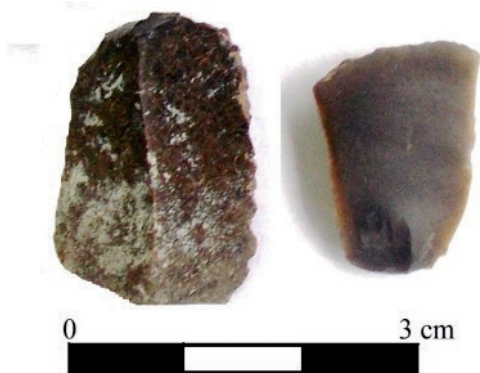
Borowica. Zakreskowanym polem zaznaczono miejsce odkrycia artefaktów. Skala 1:50 000 (podkł. mapa topograficzna, oprac. J. Kiszczak).

Zabytki były bardzo różnorodne i posiadały chronologię od młodszej epoki kamienia - neolitu, po nowożytność (najstarsze liczyły ponad 5-6 tysięcy lat, a najmłodsze 100-200 lat).



Wybrany zbiór zabytków ruchomych (krzemienno) zebranych w Borowicy (fot. i oprac. J. Kiszczak).

Przegląd materiału ruchomego zacznę od wyrobów krzemienno. Najstarsze zabytki w postaci dwóch narzędzi krzemienno pochodziły z okresu neolitu. Były to dwa drapacze wykonane na wiórze, z krzemienia typu wołyńskiego i czekoladowego.



Narzędzia krzemienne - drapacze odkryte w Borowicy, okres neolitu (ok. 4800/4700-3200 p.n.e., fot. i oprac. J. Kiszczał).

Młodsze okazy - liczne wiórki, odlupki, rdzenie krzemienne wydawane zostały na okres późnego neolitu (eneolitu). Wszystkie one zostały wykonane z jednego typu krzemienia - wołyńskiego.



Wybrany zbiór zabytków ruchomych (krzemiennych) zebranych w Borowicy (fot. i oprac. J. Kiszczał).

Z okresu wczesnej epoki brązu pochodzi fragment sierpa krzemiennego, użytkowany przez społeczności kultury mierzanowickiej (ok. 2200-1800 p.n.e.), jedno ostrze grotu (?) oraz narzędzie zgrzeblowate wykonane z krzemienia typu wołyńskiego.

Natrafiłem także na liczne fragmenty gliniane ceramiki naczyniowej. Najstarsze okazy pochodzą z okresu późnego neolitu. Na czasy wczesnej epoki brązu wydawano osiem fragmentów wylewów naczyń, w tym ornamentowane oraz



Fragment sierpa krzemiennego odkrytego w Borowicy, kultura mierzanowicka (ok. 2200-1800 p.n.e., fot. i oprac. J. Kiszczał).



Ostrze grotu krzemiennego odkrytego w Borowicy, okres wczesnego brązu (ok. 2200-1500/1450 p.n.e., fot. i oprac. J. Kiszczał).

z plastyczną listwą. Pozwoliło to do określenia ich przynależności kulturowej. Wykonane one zostały przez ludność określaną w archeologii jako kultura trzciniecka (ok. 1800-1450/1400 p.n.e.), w mniejszym zakresie przez kulturę mierzanowicką. Na okres epoki brązu ustalono datowanie 38 fragmentów mało charakterystycznej ceramiki oraz dwa fragmenty den naczyń. W tamtym czasie większość ziem polskich zamieszkiwała kultura łużycka (ok. 1400-800 p.n.e.), dlatego tym społecznościom należy przypisać powyższe fragmenty.

Kolejnym okresem są czasy wczesnego średniowiecza, w których rozwijała się ludność wczesnosłowiańska (V/VI-VII w.), plemienna (VIII-X w.) oraz w późniejszym czasie państwowość polska (X-XIII w.). Materiał reprezentujący tę epokę liczył sześć fragmentów naczyń obtaczanych, w tym dwa fragmenty wylewów i fragment naczynia ornamentowanego. Przy tym warto zaznaczyć, że z terenów Borowicy, w wyniku badań powierzchniowych i wykopaliskowych znany był jedynie jeden mało charakterystyczny fragment ceramiki wczesnośredniowiecznej. Powyższe okazy pozwalają w dużym uproszczeniu określić, że wieś mogły zamieszkiwać najdawniejsze społeczności słowiańskie. Jednakże powinno się pamiętać, że taki wniosek obarczony jest dużym ryzykiem błędu (bez wczesnośredniowiecznego materiału archeologicznego pochodzącego z wykopalisk, określenia ich stratygrafii i kontekstu archeologicznego, nie można mieć 100-procentowej pewności do ich wartości poznawczych). Ostatnim okresem była nowożytność. Wystąpiły dwa fragmenty ceramiki siwej z XVIII i XX w., ornamentowane oraz fragmenty wylewów misy glazurowanej o barwie pomarańczowej z XIX w.

Powyższy przegląd przypadkowych znalezisk uzupełnia całość wiadomości (w tym badania powierzchniowe i wykopaliskowe), jakie posiadamy o Borowicy w kontekście archeologicznym. Miejmy nadzieję, że w przyszłości, dzięki rozwojowi technologii i metod archeologicznych obraz wsi w najdawniejszych czasach (gdzie brak jest jakichkolwiek źródeł pisanych) stanie się bardziej przejrzysty i zrozumiały oraz pozwoli jej mieszkańcom wejrzeć głębiej w najdalsze zakątki historii swojej „małej ojczyzny”.

Jacek Kiszczak

Jacek Kiszczak

Dzieje Udrycz (gm. Stary Zamość). Zarys tła historycznego i archeologicznego



Udrylicze jest to niewielka wieś położona w pobliżu Zamościa, w malowniczej dolinie między dwoma wzgórzami, u wrót Skierbieszowskiego Parku Krajoznawczego¹. Jest ona obecnie podzielona na trzy mniejsze wsie - Udrylicze Kolonia, Udrylicze Koniec i Udrylicze Wola. Do napisania krótkiego artykułu o nich skłoniły mnie moje zainteresowania dziejami miejscowości leżących na dawnym pograniczu polsko-ruskim. Same Udrylicze położone w historycznym województwie bełskim, w pobliżu granicy z sąsiednią ziemią chełmską urzekły mnie swoją barwną i ciekawą historią.

Na początku warto kilka słów powiedzieć o powstałej pod koniec lat dwudziestych XX w. interesującej monografii autorstwa społecznika Jana Gaździckiego². Autor skupił się w niej nad historią wsi w okresie zaboru carskiego i po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. Opisuje życie codzienne mieszkańców Udrycz w ówczesnej rzeczywistości, obrazując w szczególności patriotyczne próby odbudowania wsi i Polski po okresie carskiego zniewolenia.



Położenie miejscowości na mapie WIG-a z 1932 roku. Strzałką oznaczono Udrylicze. Skala 1:300 000. Źródło: http://maps.mapywig.org/m/WIG_maps/series/300K/76_ZAMOSC_1932.jpg [dostęp: 13.02.2019].

¹ http://www.udrylicze.pl/strona.php?id_strony=1&l=pl [dostęp: 13.02.2019].

² J. Gaździcki, *Monografia wsi Udrylicz, powiatu zamojskiego*, Zamość 1929.

Wieś znajduje się na zachodnim skraju staropolskiego powiatu grabowieckiego. Pierwsze wzmianki pisane pochodzą z roku 1452. Stanowiła ona wówczas własność rodu Siłańskich, a ujmując ściślej, jednej z ich linii bocznych, którzy przyjęli nazwisko rodowe Udryccy³. Pierwszym właścicielem pojawiającym się w źródłach był Niemierza syn Wincentego, który otrzymał donację wsi na zachodnim pograniczu ziemi bełskiej od księcia Władysława I (1442-1455)⁴. Od 1542 r. przynależała do podsędką ziemskiego bełskiego Mikołaja Udryckiego, natomiast pod koniec XVI w. była w rękach Mikołaja Udryckiego, który toczył liczne spory sądowe z kanclerzem Janem Zamojskim⁵. W 1529 r. Udryccy założyli w sąsiedztwie Wolę Udrycką.



Fragment mapy Aleksandra Jabłonowskiego „Atlas historyczny Rzeczypospolitej Polskiej. Epoka przełomu z wieku XVI na XVII”. Dział II: Ziemie ruskie Rzeczypospolitej 1889-1904, owalem zaznaczono Udryczę.

Od XIX w. miejscowość należała do rodziny Kickich, następnie do Zawadzkich⁶. W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” zapisano:

Udrylicze, ws i folw., pow. zamojski, gm. Stary Zamość, par. Siataniec, odl. od Zamościa na płn.-

wsch. 9 w. i od st. pt. Chomęciska 5 w. U. mają 8 dm. dwor., 92 włosc., 880 mk. kat., 48 praw., 5 izr. W 1827 r. było 99 dm., 567 mk. Obszar włosc. wynosi 1520 mr., dworski 1025 mr., t.j. ziemi or. 566, łąk 89, lasu i nieuż. 370. Do dóbr U. należały dawniej wsi: Dębowiec i Witowiec. Z domin. powstały nowe nomenklatury: Kopanina Udrycka 100 mr., Rożki Udryckie 298 mr., Odpadki Udryckie 99 mr. i Udrycka Kopanina A, 40 mr. Należą do częściowych właścicieli. Dominium U. (dawniej Kickich, dziś Zawadzkiego) prowadzi gospodarstwo wzorowe, ma ogród owocowy, rybołówstwo w 3-ch kanałach, gospodarstwo rybne, młyn wodny, wiatrak. Pokład torfu na przestrzeni 36 mr., zagłębiony na 1 1/3 mt. Budowle dwor. oszacowane na RS. 10.650. Sady przeważnie śliwkowe, które dają dobry dochód włóścianom. Czarnoziem lekki, urodzajny. Położenie faliste.

T. Żuk⁷.

Według Gaździckiego, mieszkańcy wsi w okresie intensywnej rusyfikacji ziem polskich oddawali się tzw. pracy organicznej, przejawiającej się m.in. w tajnym nauczaniu młodzieży czy działalnością kulturalną⁸. W czasie okupacji niemieckiej w 1942 r. w Udryczach rozpoczęły się liczne wysiedlenia mieszkańców, na ich miejsce osiedlano niemieckich kolonistów z Jugosławii czy Rumunii⁹. Wśród zabytków zachowały się dwie kapliczki – jedna pod wezwaniem św. Jana Nepomucena i druga tzw. ariańska oraz założenie dworskie z XVIII w.

Ruiny kapliczki św. Jana Nepomucena znajdują się obecnie na wierzchołku łagodnego wzgórza, wśród pól, kiedyś usytuowana była przy gościńcu prowadzącym do Zamościa. Została wzniesiona pod koniec XVIII w., najprawdopodobniej przez ówczesnych właścicieli dóbr Kickich. Do dziś zachowały się jedynie dwie ściany z niszą, w której stała figura świętego¹⁰.

³ W. Bondyra, *Słownik historyczny miejscowości województwa zamojskiego*, Lublin-Zamość 1993, hasło: Udrylicze.

⁴ A. Janeczek, *Osadnictwo pogranicza polsko-ruskiego. Województwo bełskie od schyłku XIV do początku XVII w.*, Warszawa 1993, s. 91.

⁵ W. Bondyra, 1993.

⁶ Tamże.

⁷ B. Chlebowski, F. Sulimierski, W. Walewski (red.), *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. XII, 1892, ss. 744-745.

⁸ J. Gaździcki, 1929.

⁹ W. Bondyra, 1993.

¹⁰ http://udrylicze.pl/strona.php?id_strony=21 [dostęp: 13.02.2019].



Ruiny kapliczki św. Jana Nepomucena. Źródło: http://udrycze.pl/common/podglad2.php?id_zdjecia=112&l=pl [dostęp: 13.02.2019].



Nisza i postument, na którym stała rzeźba św. Jana Nepomucena. Źródło: http://udrycze.pl/common/podglad2.php?id_zdjecia=114&l=pl [dostęp: 13.02.2019].

Druga kaplica tzw. ariańska znajduje się na terenie założenia dworskiego. Jest to budynek barokowy, który powstał na przełomie XVI i XVII w. Kaplica w planie prostokąta posiada dwuspadowy dach, kruchtę oraz ozdobną dzwonnice. W XVII wieku służyła jako zbór dla wyznawców arianizmu, później pełniła funkcję katolickiej kaplicy dworskiej.



Dawna kaplica ariańska. Źródło: http://udrycze.pl/common/podglad2.php?id_zdjecia=665&l=pl [dostęp: 13.02.2019].

We wsi Udrycze Koniec znajduje się XVIII-wieczny zespół pałacowo-parkowy. W jego skład wchodzi: pałac, kaplica tzw. ariańska oraz pozostałości oficyny bocznej. Sam pałac wraz z zabudowaniami folwarcznymi został wzniesiony jeszcze w początkach XVIII w. przez Udryckich. Pod koniec XIX w. majątek przeszedł w ręce koniuszego wielkiego koronnego Onufrego Kickiego herbu Gozdawa¹¹.



Portret Onufrego Kickiego herbu Gozdawa, pędzla Marcello Bacciarellego z 1795 r. Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Onufry_Kicki#/media/File:Onufry_Kicki.PNG [dostęp: 13.02.2019].

¹¹ A. Szykuła, *Życie, działalność i zainteresowania Teresy Kickiej w świetle jej testamentu i pamiętników siostrzenicy Natalii*, „Wiadomości Ziemiańskie”, nr 37, 2009, s. 38.



Dwór w Udryczach Koniec. Widok na elewację frontową z centralnie usytuowanym portykiem. Źródło: http://www.udrycze.pl/common/podglad2.php?id_zdjecia=634&l=pl [dostęp: 13.02.2019].

Dwór został wzniesiony na planie wydłużonego prostokąta, na osi wschód-zachód. W drugiej połowie XVIII w. założenie zostało przebudowane. Wpłynęło to w decydujący sposób na wygląd dzisiejszej budowli. Nie zachowały się ponadto żadne informacje mówiące o najstarszym wyglądzie pierwszego pałacu Udryckich.



Dwór w Udryczach Koniec. Widok na elewację północną od strony parku dworskiego. Źródło: http://www.udrycze.pl/common/podglad2.php?id_zdjecia=638&l=pl [dostęp: 13.02.2019].

Obraz archeologiczny Udrycz można w skrócie wyrazić jako niezadowolający. Miejscowości do tej pory nie posiadały wystarczającego „szczęścia” do badań archeologicznych. Zostały jedynie przeprowadzone powierzchniowe bada-

nia terenowe w ramach Archeologicznego Zdjęcia Polski (dalej: AZP) na wiosnę 2001 roku. Autorem prospekcji była zamojska archeolog Ewa Prusicka-Kolcon. W związku z tym, na początku wypada stwierdzić, że próba zaprezentowania przeze mnie najstarszego tła osadniczego, gdzie brak jest jakichkolwiek historycznych źródeł pisanych obarczona jest dużym ryzykiem błędu. Ma to podłoże w tym, że w Udryczach nie zostały przeprowadzone do dziś żadne badania wykopaliskowe, które z większym prawdopodobieństwem pozwoliłyby odtworzyć najdawniejsze dzieje. Do tego dochodzi także brak opracowanych i opublikowanych wyników badań powierzchniowych z 2001 r.

Teren badań zastał przyporządkowany do wcześniej wydzielonego obszaru AZP nr 87-88. Południowa i zachodnia część obszaru znajduje się w obrębie Padolu Zamojskiego, a północna należy do Działów Grabowieckich. Obie one wchodziły w skład Wyżyny Lubelskiej. System wodny tworzą dwa bezimienne cieki, które wpadają do Łabuńki. Występują tutaj gleby gliniaste, niekiedy less, a w dolinach rzek gleby bagienne oraz torfowe¹².

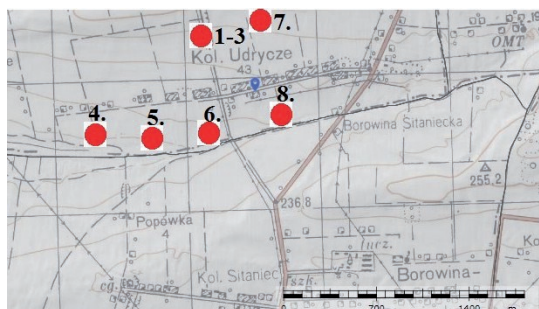
1. Udrycze Kolonia

Podczas badań archeologicznych w miejscowości zostało wyróżnionych osiem stanowisk archeologicznych (punktów osadniczych). Najstarsze osadnictwo reprezentowane jest jedynie przez nieliczne wyroby kamienne - fragment wióra i odłupka wykonanego z krzemienia narzutowego. Użytkowane one były w późnej epoce kamienia - neolicie przez społeczności ludzkie archeologicznej kultury lubelsko-wołyńskiej około 6 tys. lat temu. Tylko jeden fragment ceramiki pochodził z wczesnej epoki brązu (ok. 4 tys. lat temu). Dla większości materiałów ceramicznych i krzemienianych nie udało się ustalić ich przynależności kulturowej i chronologicznej, dlatego ogólnie datuje się je na okres pradziejowy.

Najliczniejsze artefakty archeologiczne w postaci fragmentów naczyń glinianych pochodzą z okresu wczesnego średniowiecza. Jest to ceramika obtaczana na kole garncarskim w cza-

¹² Karty AZP 87-88, mps WUOZ Del. Zamość.

sów plemiennych (VIII-X w.) i wczesnopaństwowych (X-XIII w.). Wystąpiły także skorupy ceramiki późnośredniowiecznej (XIV-XV w.) i staropolskiej (XVI-XVIII w.).¹³



Udrycze Kolonia. Miejsca wyróżnionych stanowisk archeologicznych. Podkł. mapa topograficzna (oprac. J. Kiszczak, źródło: geoportal). 1 - stan. 1/4; 2 - stan. 2/5; 3 - stan. 3/6; 4 - stan. 4/27; 5 - stan. 5/28; 6 - stan. 6/29; 7 - stan. 7/30; 8 - stan. 8/31.

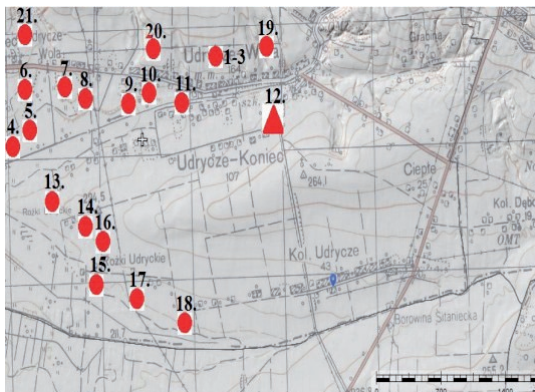
2. Udrycze Koniec

Dzięki badaniom powierzchniowym, zarejestrowanych zostało dwadzieścia jeden punktów osadniczych. Podobnie jak w poprzednim przypadku, najstarsze materiały stanowiły wyroby ceramiczne i krzemienne w postaci wiórów, odłupków i narzędzi krzemiennych z epoki neolitu. W większości przypadków należały one do społeczności kultury pucharów lejkowatych, zamieszkujące ziemie Polskie około 5,5 tys. lat temu.

Kolejnym okresem zasiedlenia wsi były czasy epoki brązu. Na gruntach ornych zostało zebranych kilkanaście fragmentów ceramiki naczyniowej z tej epoki. W tamtych czasach bytowała archeologiczna kultura łużycka (ok. 1400-700 p.n.e.) i tym społecznościom należy przypisać powyższe fragmenty. Najliczniej reprezentowane były czasy pierwszych Słowian oraz późne średniowiecze. Odnaleziono dość pokaźną liczbę fragmentów naczyń glinianych datowanych od VIII do XV w. Wystąpiły też fragmenty kafli i naczyń z okresu staropolskiego (XVI-XVIII w.).¹⁴

¹³ Tamże.

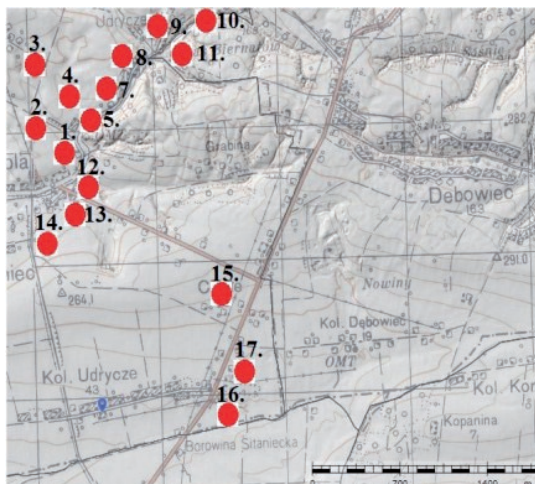
¹⁴ Tamże.



Udzyce Koniec. Miejsca wyróżnionych stanowisk archeologicznych. Podkł. mapa topograficzna (oprac. J. Kiszczak, źródło: geoportal). 1 - stan. 1/1; 2 - stan. 2/2; 3 - stan. 3/3; 4 - stan. 4/9; 5 - stan. 5/10; 6 - stan. 6/11; 7 - stan. 7/12; 8 - stan. 8/13; 9 - stan. 9/14; 10 - stan. 10/15; 11 - stan. 11/19; 12 - stan. 12/17 - zespół dworski; 13 - stan. 13/18; 14 - stan. 14/19; 15 - stan. 15/20; 16 - stan. 16/21; 17 - stan. 17/22; 18 - stan. 18/23; 19 - stan. 19/24; 20 - stan. 20/25; 21 - stan. 21/26.

3. Udrycze Wola

W czasie prospekcji powierzchniowej na terenie miejscowości wyróżnionych zostało siedemnaście punktów osadniczych. Najstarsze materiały w formie wyrobów krzemiennych i ceramicznych pochodziły z czasów pierwszych rolników - neolitu



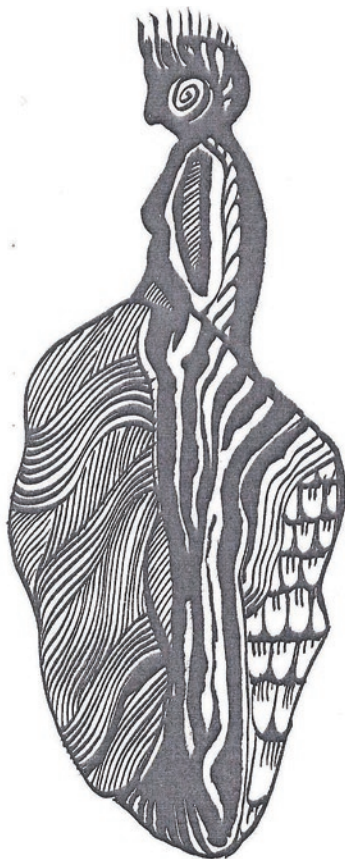
Udzyce Wola. Miejsca wyróżnionych stanowisk archeologicznych. Podkł. mapa topograficzna (oprac. J. Kiszczak, źródło: geoportal). 1 - stan. 1/32; 2 - stan. 2/33; 3 - stan. 3/34; 4 - stan. 4/35; 5 - stan. 5/36; 6 - stan. 6/37; 7 - stan. 7/38; 8 - stan. 8/39; 9 - stan. 9/40; 10 - stan. 10/41; 11 - stan. 11/42; 12 - stan. 12/43; 13 - stan. 13/44; 14 - stan. 14/45; 15 - stan. 15/46; 16 - stan. 16/47; 17 - stan. 17/48.

(ok. 5-6 tys. lat temu). Nieco późniejsze odkryte artefakty naczyń glinianych mogła używać w życiu codziennym „brązowa” kultura łużycka około 3-3,5 tys. lat temu.

W przeszłości miejscowość zamieszkiwali najwcześniejsi Słowianie, którzy pochodzili z wczesnego średniowiecza. Z tego okresu zebrano kilkadziesiąt fragmentów ceramiki obtaczanej na kole garncarskim. Z dużym uproszczeniem można je datować od VII do połowy XIII w. Z pól ornych zebrano także materiał ruchomy z późnego średniowiecza (XIV-XV w.) i nowożytności (XVII-XIX w.)¹⁵.

Powyższy artykuł chciałbym zadedykować mojej serdecznej przyjaciółce Julii Stępiak, która pochodzi z tejże miejscowości.

Jacek Kiszczak



rys. Robert Znajomski

Joachim Kawęcki



Kultura muzyczna Krasnegostawu na przestrzeni ostatniego stulecia. Część IV. Historia powstania i działalność Państwowej Szkoły Muzycznej im. Witolda Lutosławskiego w Krasnymstawie

Ognisko Muzyczne w Krasnymstawie, wywodziło się z założonej w 1945 roku - dzięki staraniom M. Gładowskiej - Szkoły Umuzyczniającej, kierowanej następnie przez J. Banaszkiewicz i jej zastępcę I. Lipczyńskiego. Te trzy osoby przekazały szkolnej bibliotece wiele nut i książek; ofiarość innych mieszkańców Krasnegostawu, zainteresowanych rozwojem placówki, pozwoliła na skompletowanie zbioru, który składał się w latach 60. z ponad 800 woluminów.

W październiku 1947 roku szkoła otrzymała imię Mieczysława Karłowicza, a dyrekturę objął I. Lipczyński. Dwa lata później stanowisko to zajął M. Madej, nauczyciel klasy skrzypiec i akordeonu. Na początku działalności ognisko zorganizowało roczny kurs dla kierowników świetlic, który ukończyło 20 osób.

Kolejną zmianę nazwy na Państwowe Ognisko Muzyczne przyniósł rok 1951, a w dwa lata później I. Lipczyński ponownie został dyrektorem. Zapoczątkowana wówczas płytoteka liczyła w latach 60. kilkaset longplayów z nagraniami najwybitniejszych dzieł światowej literatury muzycznej.

Rozwój ogniska nie odbywał się oczywiście bez przeszkód. Nieuregulowana sprawa dotacji finansowych - typowa bolączka podobnych placówek - ograniczała działalność i nie pozwoliła na realizację wielu ambitnych zamierzeń. W latach 60., dzięki stałym subwencjom, problem ten nie zagrażał już działalności ogniska.

W roku 1967, wraz z filiami ognisko kształciło 200 uczniów, którzy uczęszczali do następujących klas: fortepianu (I. Lipczyński, S. Sewerski, B. Miłkołajczyk), skrzypiec, gitary i mandoliny (M. Mąka, J. Kołodziejek, A. Dobosz, H. Żołędź, J. Woźniak, S. Sobczak) i instrumentów dętych (M. Mąka); naukę o muzyce i lekcje słuchania muzyki prowadził I. Lipczyński, a kształcenia słuchu - S. Sewerski.

¹⁵ Tamże.

O osiągnięciach dydaktycznych ogniska z tamtego czasu mówi m.in. recenzja zamieszczona w „Poradniku Muzycznym”: *W Krasnymstawie odbył się koncert uczniów SOM, w wypełnionej do ostatniego miejsca Sali PDK. Szczególnie oklaskiwany był 14-osobowy zespół instrumentalny pod dyktando M. Mąki. Na wyróżnienie zasługują popisujący się uczniowie z klasy fortepianu, a przede wszystkim: Alicja Zdrzyłowska, Krystyna Seweryn i Krystyna Gregorowicz. Koncert ten odbył się w ramach I Ogólnopolskiego Festiwalu Ognisk Muzycznych. W finale imprezy w Łodzi uczestniczyły uczennice ogniska - Krystyna Seweryn i Krystyna Gregorowicz.*

Inne potwierdzające działalność ogniska artykuły można było znaleźć np. w „Sztandarze Ludu”: *Spółeczne Ognisko Muzyczne (najstarsze w województwie, założone w 1945 r.) zaprezentowało w koncercie swoich najlepszych uczniów klasy fortepianu, skrzypiec, klarnetu, akordeonu. (...) Koncert zakończyła orkiestra uczniów SOM pod kierownictwem Mariana Mąki. (...) Impreza cieszyła się dużym powodzeniem. W innym artykule tego samego czasopisma, kilka miesięcy później: W miejscowym PDK odbył się kolejny koncert Ogniska Muzycznego. (...) Program był bardzo bogaty. Sala, jak zwykle podczas koncertu - pełna.*

Uczniowie ogniska brali udział także w koncertach poza Krasnymstawem: *W Małym Koncercie im. H. Wieniawskiego, zorganizowanym przez Filharmonię Lubelską i Towarzystwo Muzyczne w Lublinie, wzięli też udział uczestnicy krasnostawskiego Społecznego Ogniska Muzycznego. Wśród 6 wyróżnionych osób znalazł się uczeń z Krasnegostawu Adam Wójcik. (...) W wieczornym koncercie publicznym wykonał on na skrzypcach Koncert G-dur Vivaldiego oraz Polonez Kurpińskiego. Do roku 1967 ognisko miało na swoim koncie w sumie 86 koncertów różnego rodzaju.*

Działalność ogniska, które od 1956 roku przeszło pod bezpośredni zarząd Towarzystwa Muzycznego w Lublinie, pod koniec lat 60. zmierzła w pożądanym kierunku. W powiecie krasnostawskim w tym czasie stale rosła liczba filii ogniska i liczba uczniów.

W latach 70. życie muzyczne w Krasnymstawie istniało w dużej mierze właśnie dzięki działalności Społecznego Ogniska Muzycznego.

Wszelkiego rodzaju zespoły muzyczne i kapele ludowe, który powstały w okolicach miasta mogły zaistnieć dzięki nauczycielom i wychowankom ogniska. Placówka dysponowała wówczas bogatym zestawem instrumentów muzycznych, biblioteką i płytoteką. Przy samym ognisku działał chór i orkiestra. Organizacja dużej ilości koncertów, popisów, wieczorów muzycznych oraz wysoki poziom nauczania stawiał krasnostawskie ognisko w czołowie kraju. Świadczą o tym dziesiątki dyplomów, nagród i zachowanych artykułów prasowych.

Ostatnim dyrektorem ogniska był Jan Kołodziejek (1975-96). Na przestrzeni 50 lat naukę w ognisku ukończyło 2970 osób. Spośród uczniów placówki wywodzą się wspaniałe dzisiaj postacie życia muzycznego:

- Małgorzata Majdańska-Wojtkowiak, absolwentka Akademii Muzycznej w Poznaniu na Wydziale Instrumentalnym - instrumenty perkusyjne,
- Mieczysław Pawelec, absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach na Wydziale Muzyki Rozrywkowej i Jazzu. Współpracował z Big Bandem Wiesława Pierogórki, Big Warsaw Band pod dyktando Stanisława Fijałkowskiego. Obecnie nauczyciel Państwowej Szkoły Muzycznej w Krasnymstawie,
- Renata Ładniak-Sergiel, absolwentka ogniska z 1976 roku, ukończyła Akademię Muzyczną w Gdańsku na Wydziale Wokalno-Aktorskim u prof. Haliny Michiewiczówny, solistka Opery Bałtyckiej,
- Mariusz Dubaj, ukończył z wyróżnieniem Akademię Muzyczną w Gdańsku w zakresie teorii muzyki, w 1986 otrzymał dyplom z kompozycji, przewód artystyczny I stopnia w zakresie kompozycji uzyskał w Akademii Muzycznej w Krakowie, wielokrotnie laureat ogólnopolskich konkursów kompozytorskich,
- oraz wielu innych absolwentów szkoły, którzy ukończyli akademie muzyczne bądź inne wyższe szkoły o tym profilu.

Po zaistnieniu Państwowej Szkoły Muzycznej w Krasnymstawie, rola ogniska zmalała lecz nie przestało ono funkcjonować. Obecnie jest jej uzupełnieniem i funkcjonuje pod jej opieką.

Społeczne Ognisko Muzyczne z ponadpółwiekową tradycją stało się fundamentem, na

bazie którego powstała w Krasnymstawie szkoła muzyczna. Nauczyciele ogniska wyrazili chęć współpracy i pomocy w tworzeniu szkoły, której inicjatorem był Tadeusz Badach. Najpierw udało się utworzyć filię Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Chełmie z siedzibą w Krasnymstawie pod nazwą: Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia w Krasnymstawie, filia PSM I i II stopnia w Chełmie. Szkoła nie posiadała wówczas własnego budynku, był on jedynie w planach rozbudowy Krasnostawskiego Domu Kultury. Dzięki temu, że jednym z pracowników ogniska, a później szkoły był Jerzy Żuk, dyrektor Młodzieżowego Domu Kultury, istniała możliwość współpracy w zakresie wynajęcia sal i pomocy dydaktycznych z tą placówką. Prowadzenie zajęć odbywało się zatem w trzech budynkach: KDK, MDK oraz Spółdzielni Mieszkaniowej w Krasnymstawie.

Rok szkolny 1988/89 powitało 40 uczniów. Uroczysta inauguracja odbyła się w sali widowiskowej KDK. W części artystycznej wystąpili absolwenci ogniska: Mariusz Dubaj - fortepian i Mieczysław Pawelec - trąbka. Wykonali oni utwory Haydna i Chopina.

W roku 1990 z dniem 1 stycznia szkoła stała się samodzielną placówką pod nazwą Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia w Krasnymstawie. Wtedy społeczność szkolna zaczęła zastanawiać się nad wyborem patrona szkoły. Co rzadko się zdarza, szkołę nazwano imieniem żyjącego jeszcze kompozytora - Witolda Lutosławskiego. Inicjatorem nadania szkole imienia właśnie tego kompozytora był Mariusz Dubaj, który osobiście prowadził z nim rozmowy na ten temat. Sam mistrz wyrażał chęć uczestniczenia w uroczystościach, niestety jego długotrwałe problemy zdrowotne odwlekały tę chwilę. Ostatecznie nadanie imienia szkole odbyło się 1 września 1994 roku, 7 miesięcy po śmierci Witolda Lutosławskiego. Uroczystość obejmowała koncert uczniów w szkolnej auli, koncert chóru szkolnego w kościele św. Franciszka Ksawerego, koncert nauczycieli oraz koncert Polskiej Orkiestry Włościańskiej im. Karola Namysłowskiego z Zamościa. W uroczystości uczestniczyli: wiceminister kultury i sztuki Michał Jagiełło, wiceminister edukacji narodowej Danuta Grabowska, przyjaciel Witolda Lutosławskiego - pisarz Tadeusz Kaczyński, dyrekcja i grono nauczycielskie oraz wielu zapro-

szonych gości. Szczególną pamiątką po wielkim mistrzu jest dla szkoły, należąca do niego batuta dyrygencka, przechowywana w gablocie obok tablicy pamiątkowej poświęconej kompozytorowi, która znajduje się w auli koncertowej szkoły.

W 1991 roku szkoła została przeniesiona do budynku przy ulicy Okrzei 10, gdzie specjalnie na jej potrzeby rozbudowano skrzydło KDK. Szkoła miała wtedy 9 sal, aulę i pokój nauczycielski. Stopniowo budowano piętro z nadzieją na powiększenie szkoły.

W pierwszych latach działalności do egzaminów wstępnych podchodziło bardzo wiele dzieci i młodzieży, z czego tylko niewielka część mogła podjąć w niej naukę. Świadczyło to niewątpliwie o dużym zainteresowaniu muzyką i zapotrzebowaniu na kulturę muzyczną w mieście i okolicach.

Szkołę II stopnia udało się pomyślnie utworzyć we wrześniu 1998 r., co zbiegło się z oddaniem do użytku nowego piętra budynku. Dzięki temu placówka mogła przyjmować i kształcić większą liczbę dzieci i młodzieży. Obecnie szkoła zapewnia chętnym do nauki odpowiednie miejsce i warunki. Niestety, zapotrzebowanie na kulturę muzyczną, na osobisty rozwój muzyczny w środowisku lokalnym ciągle maleje, z roku na rok na egzaminach wstępnych pojawia się coraz mniej chętnych. Niewątpliwie na fakt ten ogromny wpływ mają również zmiany demograficzne. Maleje w Krasnymstawie i jego okolicach liczba dzieci w wieku szkolnym. Problem ten ma nie tylko szkoła muzyczna, ale również wszystkie placówki oświatowe w powiecie.

Wraz z rozwojem szkoły zwiększała się oferta edukacyjna. Początkowo działały tylko dwie sekcje: sekcja fortepianu i gitary oraz sekcja instrumentów dętych, perkusyjnych i akordeonu. Pomimo trudnych warunków lokalowych, atmosfera była dobra, czego efektem było wiele koncertów i popisów. Stopniowo wzrastała liczba sekcji i klas. Pojawiła się sekcja instrumentów smyczkowych. Utworzono orkiestrę dętą, chór i wiele mniejszych zespołów kameralnych.

Na przestrzeni lat można było zaobserwować zmiany preferencyjne wśród dzieci i młodzieży. W początkowych latach działalności szkoły, największym zainteresowaniem cieszyła się klasa fortepianu. Dopiero rok 1993 przyniósł



Artura Żunkowskiego (saksofon), Andrzeja Schaba (klarnet), a także Piotra Ścirka (kontrabas). Systematycznie odbywały się konsultacje dla uczniów klasy perkusji prowadzone przez prof. Jacka Wotę z Akademii Muzycznej we Wrocławiu, prof. Stanisława Skoczyńskiego z Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie, prof. Piotra Biskupskiego z Akademii Muzycznej w Łodzi. Podczas konsultacji uczniowie mają możliwość skorzystania z kontaktu z zawodowymi muzykami, ich tech-

większe zróżnicowanie w wyborze instrumentów. Obok fortepianu popularne były: klarnet, gitara, flet poprzeczny, trąbka. Od roku 1994 rośnie zainteresowanie akordeonem. Inaczej układały się preferencje uczniów kontynuujących naukę w szkole II stopnia, najchętniej wybierali oni saksofon, trąbkę i akordeon, rzadziej skrzypce, fortepian, flet, instrumenty perkusyjne. Obecnie uczniowie mają możliwość nauki gry na: skrzypcach, wiolonczeli, altówce, kontrabasie, gitarze, trąbce, puzonie, saksofonie, klarnecie, flecie poprzecznym, akordeonie, fortepianie, instrumentach perkusyjnych.

Grono pracujących w szkole nauczycieli wzrastało wraz z rozwojem szkoły, rósł także poziom ich wykształcenia. Początkowo nie wszyscy zatrudnieni w szkole nauczyciele posiadali wykształcenie wyższe, zmieniało się to jednak wraz z upływem czasu. Obecnie kadra nauczycielska to ludzie z wyższym wykształceniem muzycznym i pedagogicznym, oddani pracy i posiadający duże doświadczenie w szkolnictwie. Zatrudnieni nauczyciele zwykle pracują również w innych szkołach, np. PSM I i II stopnia w Chełmie, Zamościu czy Lublinie.

Oprócz stałych zajęć dydaktycznych, szkoła organizuje konsultacje dla uczniów prowadzone przez uznanych muzyków i wykładowców z akademii muzycznych. Przykładem takich spotkań były konsultacje prowadzone przez muzyków z Filharmonii Lubelskiej - Zbigniewa Zatorskiego (trąbka),



niką gry i sposobami interpretacji muzyki. Konsultanci zwracają uwagę na metodykę nauczania, zagadnienia techniczne i wykonawcze, prawidłowe ustawienie aparatu gry oraz indywidualne podejście do granych utworów.

W szkole odbywają się również recitale znanych muzyków polskich i zagranicznych, np. pianistów: Tomasza Smagi, Andrzeja Jagodzińskiego, Tomasza Bartosza, gitarzystów: José Maria Gallardo del Rey, Mirosława Franczaka, Jérémy Jouve, Krzysztofa Ścierańskiego, harfistki Anny Faber.

Ważnym elementem w edukacji uczniów jest gra zespołowa, która pozwala na konfrontację swoich umiejętności, rozwija wyobraźnię, umiejętność współpracy, refleks i koncentrację w czasie gry. Z inicjatywy mgr. Mieczysława Pawelca powstała orkiestra dęta, jazzowy big band i zespół kameralny. Dzięki bogatej bibliotece, zespoły przez niego kierowane mają dostęp do profesjonalnych aranżacji jazzowych. Członkowie zespołu kilkakrotnie

brali udział w warsztatach poświęconych właściwemu czytaniu podziałów rytmicznych i akordów, pod okiem czołowych polskich muzyków jazzowych, np. Andrzeja Jagodzińskiego (fortepian), Czesława Bartkowskiego (perkusja), Krzysztofa Ścierańskiego (gitarę). Dzięki możliwości grania w takim zespole, uczniowie mogą rozwijać swoje talenty nie tylko w muzyce klasycznej, ale także w muzyce rozrywkowej i jazzowej. Poznają inny, jakże ciekawy i zarazem trudny gatunek muzyki. Gra zespołowa uczy współpracy, dokładności i rozwija wyobraźnię twórczą. Swoje zespoły kameralne posiadają też poszczególne klasy np. kwartet dęty, zespół gitarowy.

W początkowych latach działalności szkoły uczniowie koncertowali jedynie w ramach szkoły i na uroczystościach lokalnych. Z biegiem czasu, kiedy poziom gry uczniów stał się wyższy, zaczęli oni uczestniczyć w przeglądach regionalnych, makroregionalnych i ogólnopolskich organizowanych przez Centrum Edukacji Artystycznej jak i inne instytucje kultury np.: Hanza Jazz Festiwal w Koszalinie. Na przestrzeni 30 lat działalności szkoły wielu uczniów otrzymało nagrody i wyróżnienia w wyżej wymienionych przeglądach.

Działalność szkoły to nie tylko dydaktyka, ale również animacja muzyczna środowiska lokalnego Krasnegostawu. Uczniowie pod opieką nauczycieli zawsze brali czynny udział w szerzeniu kultury muzycznej. Początkowo były to popisy wewnątrzszkolne, na które zapraszani byli mieszkańcy miasta. Z czasem zaczęli brać udział w imprezach organizowanych przez miasto np.: „Dni Krasnegostawu”, „Chmielaki Krasnostawskie”, „Zaduszki Jazzowe” oraz licznych mniejszych uroczystościach na różne okazje. Przykładami takich koncertów na rzecz społeczności miasta mogą być: koncert w Powiatowej Bibliotece Publicznej promujący Czasopismo artystyczne „Nestor”, coroczny koncert kołęd w wykonaniu rodzeństw, koncert z okazji obchodów 1050-lecia Chrztu Polski, koncert „Noc Kultury” w Muzeum Regionalnym i wiele innych.



Oprócz udziału w koncertach organizowanych przez inne instytucje i głównie dla starszego grona słuchaczy, szkoła rokrocznie organizuje w ramach promocji placówki, koncerty dla przedszkoli i uczniów szkół podstawowych. Jest to dobry sposób na zainteresowanie najmłodszych muzyką, zapoznanie z różnorodnymi instrumentami i technikami gry. Dzięki temu dzieci, które nie mają na co dzień kontaktu z taką muzyką, dostają szansę na rozważenie możliwości kształcenia się w tym kierunku.

Niewątpliwie istnienie Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Krasnymstawie jest kontynuacją wielowiekowych tradycji muzycznych miasta. Ciągłością owych tradycji było powołanie przez grupę miejscowych miłośników muzyki, tuż po zakończeniu II wojny światowej, szkoły umuzykalniającej, która następnie przekształcona została w ognisko muzyczne będące fundamentem dla rozwoju przyszłej szkoły muzycznej. Placówki te przyczyniły się do rozwoju życia muzycznego w mieście i okolicach. Poprzez swoją działalność powiększały grono czynnych i biernych odbiorców muzyki, wzbudzały zainteresowanie i chęć bliższego poznania dziedziny sztuki, jaką jest muzyka. Obecnie mieszkańcom miasta i okolic trudno byłoby wyobrazić sobie życie kulturalne Krasnegostawu bez szkoły muzycznej, dzięki której wielu z nich przyzwyczało się do możliwości częstego kontaktu z wyższą kulturą muzyczną.

Joachim Kawęcki

Ewa Magdziarz

Sukces ucznia z „Norwida” i cykliczne działania filmowe MDKF „Iluzjon”



Ogólnopolska Olimpiada Wiedzy o Filmie i Komunikacji Społecznej, organizowana przez Filmotekę Narodową - Instytut Audiowizualny, jest adresowana do młodzieży ze szkół ponadgimnazjalnych. Pierwszy etap III edycji olimpiady we wszystkich szkołach, w każdym z województw został rozegrany 14 listopada 2018 r. Wzięło w nim udział 5 uczniów z II LO: Aleksandra Węclawek, Zofia Kędra, Filip Rybczyński, Marcin Rudzki i Andrzej Szałaj, którzy przygotowywali się pod kierunkiem Ewy Magdziarz - opiekuna MDKF „Iluzjon”. Do etapu okręgowego, który został rozegrany 8 stycznia 2019 r. w II Liceum Ogólnokształcącym im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie, zakwalifikował się Filip Rybczyński - uczeń klasy II A. Etap okręgowy składał się z dwóch części.



Część pierwsza polegała na przygotowaniu przez uczestnika autorskiej pracy zrealizowanej w formie fotokastu na temat: „Czy zgadzasz się ze słowami Alicji Helman, że adaptacja to „twórcza zdrada” tekstu literackiego?”. Autor pracy miał uzasadnić swoje stanowisko, odwołując się do twórczości jednego ze wskazanych reżyserów: Andrzeja Wajdy, Wojciecha Jerzego Hasa lub Jerzego Kawalerowicza. Część druga odbyła się w formule testu zawierającego 40 pytań zamkniętych i 2 pytania otwarte. Zadania otwarte dotyczyły analizy i interpretacji sceny z filmu „Brzezina” w reż. Andrzeja Wajdy oraz analizy i interpretacji plakatu do filmu „Jak być kochaną” Wojciecha J. Hasa.

Zadania I i II etapu olimpiady odwoływały się m.in. do następujących zagadnień: pojęcie adaptacji filmowej, język literacki a „język filmu”, od

wiernej adaptacji do polemiki z tekstem literackim, wybrane adaptacje filmowe wybitnych polskich i światowych reżyserów, widz a czytelnik, twórcy filmu a twórcy literatury.

Warsztaty z edukacji filmowej „Wokół Ireny Sendlerowej i Sprawiedliwych” odbyły się 11 stycznia 2019 r. w II LO im. C.K. Norwida w Krasnymstawie w Pracowni Filmoteki Szkolnej. Uczniowie z „Norwida” obejrzeli film „W imię ich matek. Historia Ireny Sendlerowej” w reż. Mary Skinner, następnie wzięli udział w zajęciach przeprowadzonych na podstawie scenariuszy przesłanych przez Filmotekę Szkolną (rok 2018 był Rokiem Ireny Sendlerowej w związku z 10. rocznicą jej śmierci). Warsztaty, które odbyły się w II LO, miały na celu upamiętnienie Ireny Sendlerowej oraz innych Sprawiedliwych, a także poznanie zasad i wartości, którymi kierowali się Polacy wobec Żydów w czasach zagłady.



Po projekcji uczniowie podkreślali, że film wywarł na nich wstrząsające wrażenie. Zwracali także uwagę na niezwykle postawy Polaków, którzy narażając życie swoje i najbliższych, ratowali od pewnej śmierci żydowskie dzieci z warszawskiego getta. W czasie zajęć zostały wykorzystane również materiały do ćwiczeń i dyskusji na następujące tematy: antysemityzm w okresie międzywojennym, świat wartości i postaw Ireny Sendlerowej, fotokolaż wartości, upamiętnienie Sprawiedliwych. Uczniowie pracowali z różnymi źródłami historycznymi - dokumentami oraz fragmentami relacji świadków wydarzeń, dyskutowali na temat wartości i postaw ważnych w ich życiu. Przemyslenia te konfrontowali z wartościami, którymi kierowała się Irena Sendlerowa, a następnie poszukiwali wartości wspólnych dla nich i bohaterki obejrzanego filmu.

Na zakończenie warsztatów uczniowie poznali daty istotne dla pamięci o Sprawiedliwych oraz zastanawiali się, w jaki sposób można zorganizować wydarzenie upamiętniające Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Warsztaty „Filmoteka Szkolna - aktorskie improwizacje” prowadzone przez aktorkę Halinę Rowicką odbyły się 22 stycznia 2019 r. w refektarzu Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie. Na początku warsztatów Ewa Magdziarz powitała aktorkę Halinę Rowicką, Sławomira Franca - współorganizatora spotkania, Marka Majewskiego - dyrektora muzeum, nauczycieli i uczniów z Krasnegostawu: z Publicznej Szkoły Podstawowej nr 1, Szkoły Podstawowej nr 3, Publicznej Szkoły Podstawowej nr 5, z I i II LO oraz ze Szkoły Podstawowej w Małochwieju Dużym. W sumie na spotkanie ze znaną aktorką przyszło ponad 110 osób.



Program 3-godzinnych warsztatów to: prezentacja poetycka Haliny Rowickiej, Inspiracje Filmoteką Szkolną - „Zdjęcia próbne” w reż. Agnieszki Holland i „Abel, twój brat” w reż. Janusza Nasfetera, podstawy gry aktorskiej, interpretacja głosowa tekstów - uczniowskie recytacje oraz zadania aktorskie - improwizacje przed kamerą. Halina Rowicka rozpoczęła spotkanie od recytacji wierszy m.in. M. Hemara, A. Mickiewicza, J. Słowackiego, K.I. Gałczyńskiego czy A. Osieckiej. Ważną częścią warsztatów były uczniowskie recytacje wierszy (m.in. „Na lipę” J. Kochanowskiego, „Gawęda o miłości do ziemi ojczystej” W. Szymborskiej, fragm. „Akademii pana Kleksa” J. Brzechwy), improwizowane scenki aktorskie oraz wskazówki udzielane przez Halinę Rowicką. Aktorka radziła młodym recytatorom, aby byli autentyczni i szukali w poezji prostoty. Prowadząca warsztaty podkreślała rolę

słowa poetyckiego, dykcji czy pauzowania; mówiła także o potrzebie życia z pasją. Opowiadała również o współpracy z wybitnym reżyserem Adamem Hanuszkiewiczem i o swoich rolach w Teatrze Narodowym w Warszawie.

Na zakończenie Marcin Rudzki z MDKF „Iluzjon” w imieniu uczestników warsztatów podziękował Halinie Rowickiej za aktorskie inspiracje.

Warsztaty dla nauczycieli i uczniów „Inspiracje Filmoteką Szkolną - plakat filmowy” były prowadzone przez artystę i animatora kultury Tadeusza Kicińskiego oraz liderkę Ewę Magdziarz. Zajęcia odbyły się 25 stycznia 2019 r. w Pracowni Filmoteki Szkolnej w II LO w Krasnymstawie. W zajęciach wzięli udział uczniowie ze szkół krasnostawskich (Publicznej Szkoły Podstawowej nr 1, Szkoły Podstawowej nr 3, Publicznej Szkoły Podstawowej nr 4, II LO oraz ze Szkoły Podstawowej w Krupem), a także nauczyciele: Dorota Korkosz-Ćwir, Małgorzata Pomijan, Dorota Bielesza, Teresa Berbec - w sumie 41 osób.



Warsztaty miały na celu popularyzowanie Filmoteki Szkolnej oraz przygotowanie uczniów do udziału w XVII Powiatowym Konkursie Filmowym „Inspiracje Filmoteką Szkolną” w kategorii plakat filmowy. W związku z tym na początku spotka-

nia został zaprezentowany regulamin konkursu, który znajduje się także na stronie II LO. Liderka Filmoteki Szkolnej przedstawiła zestawienie konkursowe do kategorii plakat filmowy, harmonogram warsztatów przygotowujących do konkursu, plany związane z jego finałem oraz podstawowe informacje o plakacie filmowym. Na warsztatach obejrzano „Ostry film zaangażowany” w reż. Juliana Antonisza. Po projekcji Tadeusz Kiciński, przewodniczący jury w XVII PKF w kategorii plakat filmowy, przedstawił zasady kompozycji i doboru literatury do treści plakatu. Następnie uczestnicy warsztatów pod kierunkiem animatora kultury wykonali projekty plakatów do filmu „Ostry film zaangażowany” z zestawienia konkursowego „Filmoteka Szkolna - bliżej młodych”. W czasie spotkania wykonano ćwiczenia aktorskie ukazujące rolę światła w wydobyciu symbolicznych znaczeń kadrów. Tadeusz Kiciński podzielił się uwagami dotyczącymi projektów plakatów - prac konkursowych. Radził, aby zacząć od szkicu, zwracał uwagę na wybór techniki malarskiej, kompozycję, światło i rysunek.

Na zakończenie uczestnicy otrzymali materiały promujące Filmotekę Szkolną nadesłane przez Filmotekę Narodową - Instytut Audiowizualny.

Warsztaty „Inspiracje Filmoteką Szkolną - nakręć się” prowadzone przez reżyser prof. Nataszę Ziółkowską-Kurczuk odbyły się 7 lutego 2019 r. w Pracowni Filmoteki Szkolnej w II LO w Krasnymstawie. Warsztaty miały na celu popularyzowanie Filmoteki Szkolnej, edukacji filmowej oraz przygotowanie uczniów do udziału w XVII Powiatowym Konkursie Filmowym „Inspiracje Filmoteką Szkolną” i innych szkolnych projektach filmowych. W zajęciach wzięli udział nauczyciele i uczniowie ze szkół krasnostawskich: z Publicznej Szkoły Podstawowej nr 1, Szkoły Podstawowej nr 3, Publicznej Szkoły Podstawowej nr 4, z II LO oraz ze Szkoły Podstawowej w Siennicy Nadolnej. Zakres tematyczny warsztatów obejmował następujące zagadnienia: inspiracje Filmoteką Szkolną - „Popiół i diament” oraz „Rodzina człowiecza”, inscenizacja filmowa - tajemnice mastershota, prezentacja i analiza narracji fragmentów filmów autorskich, analiza projektów prac filmowych, fotograficznych i fotokastów na XVII Powiatowy Konkurs Filmowy „Inspiracje Filmoteką Szkolną”.



Na początku spotkania prof. Natasza Ziółkowska-Kurczuk przedstawiła swój bogaty dorobek naukowy i artystyczny. Przedstawiła również podstawowe pojęcia z zakresu języka filmu (kadr, ujęcie, plany filmowe, ruchy kamery) oraz omówiła funkcje tych środków. Podczas warsztatów uczniowie poznali także tajemnice mastershota (długiego ujęcia i montażu wewnątrzuciowego), zasady inscenizacji płaskiej i głębinowej oraz podstawowe reguły rządzące realizacją długich ujęć (ze zwróceniem uwagi na ruchy kamery i grę aktorów). Po obejrzeniu fragmentów filmów z Filmoteki Szkolnej - „Popiół i diament” w reż. Andrzeja Wajdy i „Rodzina człowiecza” w reż. Władysława Ślesickiego - wspólnie przeanalizowano wybrane sceny. W kolejnej części warsztatów prof. Natasza Ziółkowska-Kurczuk zaprezentowała sposoby filmowego opowiadania w swoim filmie dokumentalnym „Kawiarnia”. Jest to filmowy eksperyment inspirowany doświadczeniem francuskiej Nowej Fali oraz filmami Jima Jarmuscha. Następnie uczniowie w kiluosobowych grupach realizowali zaimprovizowane ujęcie mastershotowe. Po pokazie nagranych materiałów dzielili się uwagami dotyczącymi zrealizowanego zadania.

Ostatnia część warsztatów była poświęcona rozmowie na temat projektów prac filmowych, fotograficznych i fotokastów realizowanych przez uczniów na XVII Powiatowy Konkurs Filmowy.

Cykl „Kino współczesne” dla uczniów klas 4-6 z Krasnegostawu - z Publicznej Szkoły Podstawowej nr 1, Szkoły Podstawowej nr 3, Publicznej Szkoły Podstawowej nr 4, Publicznej Szkoły Podstawowej nr 5 oraz z SOSW.

Cykl „Kino polskie” dla uczniów ze szkół krasnostawskich: I i II LO, Szkoły Podstawowej nr 3 oraz ze Szkoły Podstawowej w Małochwieju Dużym.



Trzeci film z cyklu „Kino współczesne” to „Twardziele” w reżyserii Christiana Lo. 12 grudnia 2018 r. w spotkaniu w sali widowiskowej KDK wzięli udział nauczyciele i uczniowie (w sumie 116 uczniów). Przed projekcją uczestnicy wysłuchali prelekcji połączonej z prezentacją multimedialną, którą wygłosiła Ewa Magdziarz - nauczyciel II LO i koordynator NHEF. „Twardziele” jest to opowieść o przemocy rówieśniczej, ale także o przyjaźni i potrzebie poczucia bezpieczeństwa, o roli środowiska szkolnego, relacjach z rówieśnikami, nauczycielami i rodzicami, dyskryminacji i odwadze. Tematy poruszone podczas prelekcji są ważnymi zagadnieniami do dyskusji na różnorodnych zajęciach szkolnych.

Trzecia projekcja z cyklu „Kino polskie” odbyła się 14 grudnia 2018 r. W pokazie wzięło udział 132 uczniów. Koordynatorka programu Ewa Magdziarz zaprosiła uczestników projekcji na film „Wszystko, co kocham” w reż. Jacka Borcucha. Przywołała wątki autobiograficzne w filmie, a także wydarzenia z najnowszej historii naszego kraju, gdyż akcja toczy się w małym nadbałtyckim miasteczku w latach 1981-1982 (kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego i w jego trakcie). Ewa Magdziarz zwróciła uwagę na świetną grę młodych aktorów: Mateusza Kościukiewicza (Janek) i Jakuba Gierszała (Kazik). W filmie rolę ojca Janka znakomicie zagrał Andrzej Chyra, natomiast w rolę matki bardzo dobrze wcieliła się Anna Radwan. Warto dodać, że film „Wszystko, co kocham” był produkcją niezależną i niskobudżetową, która wzbudziła zachwyt widzów na festiwalu w Gdyni oraz na międzynarodowych festiwalach, m.in. w Pusan i Sundance.

Czwarta projekcja z cyklu „Młodzi w obiektywie” dla 115 uczniów klas 4-6 szkół podstawowych odbyła się 7 stycznia 2019 r. Przed niemieckim

filmem „Przygoda Nelly” (reż. Dominik Wessley) widzowie wysłuchali prelekcji połączonej z prezentacją multimedialną. Ewa Magdziarz zwróciła uwagę widzów na kilka ważnych problemów: kontakt z inną kulturą, stereotypy i uprzedzenia, dobro wspólne a zysk.

Natomiast czwarta projekcja z cyklu „Kino polskie” dla nauczycieli i 134 uczniów odbyła się w KDK 15 stycznia 2019 r. Ewa Magdziarz zaprosiła uczestników na projekcję „Chce się żyć” Macieja Pieprzycy - reżysera i scenarzysty, który otrzymał za ten film wiele nagród, m.in. Srebrne Lwy na festiwalu w Gdyni w 2013 r. „Chce się żyć” to oparta na faktach historia niepełnosprawnego Mateusza Rosińskiego. Jest to film także o rodzinie, samotności, cierpieniu człowieka, poszukiwaniu i potrzebie kontaktu, problemach w relacjach z otoczeniem czy potrzebie bliskości.

Piąta projekcja z cyklu „Młodzi w obiektywie” dla 116 uczniów odbyła się 4 lutego 2019 r. Przed projekcją niemieckiego filmu dokumentalnego „Nic bez nas” w reż. Sigrid Klausmann widzowie wysłuchali prelekcji połączonej z prezentacją multimedialną. Ewa Magdziarz rozmawiała z uczniami o ważnych dla nich problemach, które zostały ukazane w filmie, takich jak: rodzina, środowisko, szkoła, plany i marzenia, przyszłość naszej planety.

Natomiast piąta projekcja z cyklu „Kino polskie” odbyła się w KDK 6 lutego 2019 r. Ewa Magdziarz zaprosiła uczestników projekcji na film „Królik po berlińsku” Bartosza Konopki - autora scenariuszy, reżysera filmów fabularnych i dokumentalnych. „Królik po berlińsku” to laureat prestiżowych przeglądów w Krakowie, Warszawie, Toronto; nominowany do Oscara w kategorii najlepszy średniometrażowy film dokumentalny w 2010 r. Wydarzenia ukazane w dokumencie z króliczej perspektywy są oryginalną i zaskakującą metaforą sytuacji mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej w latach 1945-89.

Ewa Magdziarz

*- opiekun MDKF „Iluzjon”, lider Filмотeki Szkolnej, koordynator programu NHEF.
Zdjęcia: Ewa Żelazko, Ewa Magdziarz.*

Irena Kulik

Krasnostawskie Klęczące Drzewo w tle historii miasta



W lutym bieżącego roku odbył się konkurs na miano Europejskiego Drzewa Roku 2019. Polskę reprezentował 65-letni klon jesionolistny z Krasnegostawu, który w trakcie rewitalizacji parku miejskiego był wskazany do wycinki, ze względu na „nieestetyczny wygląd”, gdyż nie rośnie pionowo, jak pozostałe drzewa, wśród których przeważają kasztanowce. Drzewo, zanim przybrało współczesną „klęczącą” postać, gdy było gietkie, musiało ulec fizycznemu zdeformowaniu, bo „kolanem” nie tylko się wspiera, ale również powtórnie się zakorzeniło. Przez co tworzy swoisty łuk ponad ziemią, na który chętnie się wspinają dzieci, o czym świadczy wyszlizgana i zdarta kora. Po przełamaniu, drzewo unosi koronę na wschód ku budzącemu się słońcu, czym może się kojarzyć z symboliką uwiecznioną na obrazie M. K. Cziurlionisa pt. „Przyjaźń” (lit. Bičiulystė), który został namalowany przed wiekiem dla Bronisławy Volman, którego akcentem alegorycznym jest kula światła trzymana w rękach postaci rzeźby egipskiej. Dla autora dzieła wykonanego pastelami na papierze jest symbolem przyjaźni, co podkreślił w liście do swej małżonki S. Kymantaitė: *A czy pamiętasz, jak wyciągałaś mi światła kulę, kiedy jeszcze nie znałem Ciebie. (...) Rozmawiaj ze mną często, jak rozmawiałaś wtedy, i trzymaj zawsze duże światło w swoich dłoniach.* Tak to krasnostawskie drzewo niech będzie nadal symbolem światła i nadziei w determinacji, które dzięki członkom Komisji Zdrowia i Ochrony Środowiska w Krasnymstawie pozostało nietknięte. W ubiegłym roku Krasnostawski Ruch Ekologiczny VIRIDIS zgłosił je do konkursu Drzewo Roku 2018. Dzięki pozytywnej ocenie wielbicieli przyrody, obecnie mogło zaprezentować nasz kraj w prestiżowym konkursie europejskim.

Współczesny Krasnystaw, miasto liczące około 15 tys. mieszkańców, może się kojarzyć z nabiałem Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej, chmielakami czy corocznymi koncertami organizowanymi przez Stowarzyszenie Gloria Vitae. Natomiast swoją historią pod nazwą *Szczekarczów*



(pobrane z: <http://ciurlionis.eu/paveikslas/bicilyste/>)

sięga do okresu Grodów Czerwieńskich, o które rywalizowali władcy rusczy i polscy.

Krasnystaw rozwinął się, gdyż leżał na ważnym szlaku handlowym, tzw. ruskim, biegnącym znad Morza Czarnego przez Lwów do Wielkopolski i krajów niemieckich (obecnie mieści się przy trasie E 17 od Hrebennego na granicy państwa, do Warszawy). Od zarania miasto należało do ziemi chełmskiej, natomiast przez kilka stuleci było częścią województwa ruskiego. Ściśle jest związane z Jagiellonami, gdyż prawa miejskie otrzymało z rąk Władysława Jagiełły 1 marca 1394 roku. Nazwa fizjograficzna *Krasny-staw* z pierwszym członem ruskim „*krasny*” - piękny, pochodzi od określenia obecnie nieistniejącego stawu, a właściwie sztucznego akwenu w ujściu rzeki Żółkiewki (wcześniej Kawenki) do Wieprza.

Według legendy, właśnie czwarta małżonka Władysława Jagiełły Zofia z Holszańskich, tzw. królowa Sońka, zbliżając się do grodu umiejscowionego na wzgórzu nad stawem, miała z zachwytem powiedzieć: „Kaki krasny staw!” (Jaki piękny staw!). Możliwe, że chodziło jej o gród, bądź mury zamek umiejscowiony na wzgórzu nad stawem, dlatego mianem *Krasny* początkowo również inni przybysze mogli nazywać pięknie ułożone początki obecnego miasta od strony sztucznego akwenu.

Krasnystaw jako miasto królewskie posiadał wspaniały zamek wymurowany w czasach Kazimierza Wielkiego. W znacznej mierze służył do odpoczynku królom z dynastii Jagiellonów w po-

droży między Litwą a Koroną. Nieliczne zachowane elementy zamku można obejrzeć w lokalnym Muzeum Regionalnym oraz w Muzeum Czarotoryskich w Puławach. Natomiast Henryk Sienkiewicz w „Panu Wołodyjowskim” uwiecznił nazwę rodu Borzobohatych z Krasnegostawu (spór o „czabańskie” woły) w osobie Anusi Borzobohatej Krasieńskiej zmarłej narzeczonej Wołodyjowskiego.

Od stuleci Krasnystaw jako gród z Kresów bliższych I Rzeczypospolitej był miastem wielokulturowym z przeważającą stopniowo liczebnością Polaków. Dopiero w XIX wieku w murach miasta mogli osiedlić się Żydzi z pobliskich przedmieść, gdyż tego wymagała sytuacja rewolucyjna miasta powiatowego. Obok parafii prawosławnej, później unickiej, istniała rzymskokatolicka.

Przez ponad trzy stulecia w Krasnymstawie miała swoją siedzibę katedra diecezji chełmskiej. Od 1776 roku mieściła się w istniejącym do dzisiaj kościele pojezuickim w stylu późnobarokowym pw. św. Franciszka Ksawerego. Wraz z intensywnym rozwojem miasta w drugiej połowie XX wieku, z zachowanej tylko parafii rzymskokatolickiej pw. św. Franciszka Ksawerego powstały kolejne dwie. Najpierw 3 kwietnia 1984 roku erygowano parafię pw. Trójcy Przenajświętszej, natomiast na podstawie dekretu z 24 czerwca 1991 roku, z części tejże utworzono parafię pw. Matki Bożej Pocieszenia.

W Krasnymstawie urodził się aktor Witold Pyrkosz (znany z serialu „M jak Miłość”) czy literatka Anna Kamieńska (znana chociażby z książek „Twarze Księgi” (szkice o Biblii) czy „Książka nad książkami” (opowieści dla dzieci o Starym Testamencie)). Również na początku XX wieku w Krasnymstawie przyszedł na świat błogosławiony ksiądz Zygmunt Pisarski, który dorastał w zrujnowanym po I wojnie światowej mieście i wychował się w tym wielokulturowym społeczeństwie w duchu wzajemnej tolerancji i szacunku. W kościele pw. św. Franciszka Ksawerego przyjął pierwsze sakramenty, tutaj miał mszę prymicyjną. Jako pokorny sługa Boży poniósł męczeńską śmierć z rąk hitlerowców w 1943 roku w parafii w Gdeszynie, która naonczas składała się z Polaków i Ukraińców, za to, że nie wydał napastującego go Ukraińca. Na ołtarze w 1999 roku wyniósł błogosła-



wionego wraz z 107 innymi męczennikami z okresu II wojny światowej - św. Jan Paweł II. Również z Krasnegostawu pochodzi patriota, społecznik i pisarz Józef Nikodem Kłosowski, czy wiejski Petrarka, autor syriuszek (podwójnych sonetów) - Stanisław Bojarczuk oraz niedawno odeszły działacz kultury i poeta - Mariusz Kargul.

Obecnie niewiele pozostało w mieście pamiątek po burzliwej historii miasta. Natomiast nazwy miejsc upamiętniają wybitne osobowości związane z Krasnymstawem, tak jak jedna ze szkół średnich nosi miano Władysława Jagiełły, czy Osiedle Jagiełłońskie ma ulicę Królowej Sołki. Dzięki staraniom lokalnej społeczności, są utrwalane ślady historii osób powiązanych z Krasnymstawem. Regionaliści, kapłani ze wszystkich parafii oraz przedstawiciele władzy nadal je upamiętniają, gdyż powstała kaplica bł. ks. Zygmunta Pisarskiego w Areszcie Śledczym wyświęcona przez arcybiskupa metropolitę lubelskiego Józefa Żyćńskiego. Imię błogosławionego nosi Środowiskowy Dom Samopomocy w Krasnymstawie. Również w mieście powstał szlak błogosławionego kapłana. Natomiast mianem Mariusza Kargula został uhonorowany ogólnopolski konkurs poezji miłosnej pt. „Ja cię kocham, a ty pisz!”. Dlatego warto zwrócić na to uwagę, że Krasnystaw, to nie tylko drzewa i pomniki, ale przede wszystkim społeczność, która go tworzy i jest zaangażowana w jego rozwój.

dr Irena Kulik

PS Klęczące Drzewo z Krasnegostawu zdobyło szóste miejsce w konkursie internautów na Europejskie Drzewo Roku 2019.

Elżbieta Patyk

Kosmos dla dorosłych w bibliotece



15 stycznia 2019 r. miłośnicy astronomii spotkali się po raz kolejny w Powiatowej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie, aby uczestniczyć w spotkaniu z cyklu „Z Nestorem do gwiazd”. Temat „Kosmos dla dorosłych” był dla wielu osób dość intrygujący. Wiesław Krajewski w swojej prelekcji popartej prezentacją multimedialną rozwinął wątek jak zwykle w ciekawy i niebanalny sposób. Spotkanie rozpoczęło się mocnym akcentem - od przedstawienia fragmentu filmu „Barbarella” ze stripteasem w stanie nieważkości. Brak grawitacji w kosmosie niesie za sobą wiele problemów, także tych związanych z życiem intymnym i fizjologią człowieka. To, co na ziemi jest proste, w przestrzeni kosmicznej wygląda zupełnie inaczej. Na orbicie wcale nie jest tak łatwo o kontakty erotyczne. Tylko dla Jamesa Bonda wszystko jest proste i bezproblemowe, jak w filmie „Moonraker”. Stacje kosmiczne to z reguły niewielkie pomieszczenia, np. Mir - ok. 4 m średnicy i 15 m długości. Astronauci śpią w różnych miejscach przymocowani w śpiworach, nie ma intymności, na niewielkiej przestrzeni przebywa kilka osób, a obraz z wnętrza jest cały czas transmitowany do centrum kontroli lotów. Seks, który na orbicie okołozemskiej sprowadza się przede wszystkim do kwestii technicznych, jak walka z trzecim prawem dynamiki Newtona, w przypadku dłuższych misji może oznaczać poważne kłopoty. Pierwszym jest sama gotowość mężczyzny, w warunkach nieważkości trudniejsza do osiągnięcia i utrzymania. Kolejnym, kwestia wydzielin, które w warunkach mikrogravitacji otaczałyby parę chmurą mikroskopijnych kropelek. Dużo poważniejsza jest jednak kwestia ewentualnej ciąży i rozwój płodu w stanie nieważkości. Doświadczenia wykazują, że byłoby to niemożliwe.

Dowiedzieliśmy się też jak to było z seksem w kosmosie. W pionierskim etapie eksploracji kosmosu problem nie istniał. Pierwsze statki kosmiczne, radzieckie Wostoki i amerykańskie kapsuły z programu Mercury, były bowiem jednoosobowe, a loty bardzo krótkie. Pierwsze hipotetyczne szanse na kosmiczny seks pojawiły się wraz z kolejnymi programami i wieloosobowymi statkami kosmicznymi. Zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie jednak unikali mieszanych załóg. Przełomem w tej kwestii okazała się misja Sojuz T-7 z sierpnia 1982 roku. W skład 3-osobowej załogi weszła Swietłana Sawicka, a na orbicie Sojuz połączył się ze stacją orbitalną Salut z 2-osobową załogą na pokładzie. Koledzy na powitanie podarowali jej prezent w postaci fartuszką w kwiatki. Swietłana odrzuciła podarek. W sposób stanowczy zadbała o to, by koledzy traktowali ją jak zwykłego członka ekipy i zapomnieli, że jest kobietą. Rok później pierwszą mieszaną załogę, a zarazem swoją pierwszą astronautkę, wysłali w kosmos Amerykanie - Sally Ride uczestniczyła w misji STS-7 wahadłowca Challenger.



Choć oficjalne relacje milczą na ten temat, seks w kosmosie przestał być jedynie czysto teoretycznym zagadnieniem. Jeszcze na początku lat 90. tematem plotek stały się słowa pierwszej Brytyjki w kosmosie, Helen Sharman, która po powrocie powiedziała: „Świetnie się z kosmonautami bawiłam, dzięki wyprawie spotkało mnie fantastyczne doświadczenie”. To właśnie te słowa stały się przyczyną plotek, że zacieśnianie współpracy brytyjsko-radzieckiej mogło mieć bogatszy



od oficjalnej wersji przebieg. Kolejnym powodem do plotek stał się fakt pierwszej kosmicznej misji małżeństwa. W 1992 roku, krótko przed misją promu Endeavour, Mark Lee i Jan Davis wzięli ślub i razem polecili na orbitę. Po powrocie, pytani przez dziennikarzy o seks na orbicie... odmówili komentarza. NASA na podobne pytania stwierdziła wymijająco, że nie komentuje i nie wtrąca się w prywatne sprawy swoich pracowników. W kodeksie astronautów zapisano natomiast punkt mówiący o staraniu się unikania „zachowań niestosownych”.

Chociaż od lat przedstawiciele agencji kosmicznych nie zabierają głosu w sprawie relacji intymnych, jakie mogą łączyć kosmonautów płci obojga w czasie misji pozaziemskich, nie jest tajemnicą, że naukowcy przeprowadzają wiele badań, dotyczących kwestii kosmicznej prokreacji. Przeprowadzano eksperymenty ze zwierzętami, żeby poznać, czy płód może się rozwijać w kosmosie. Ponieważ do rozwoju embrionu niezbędna jest grawitacja okazało się to dość trudne. Trzeba by ją sztucznie wytworzyć. Samice myszy w stanie nieważkości były bezpłodne, a w zamrożonym nasieniu myszy następowały trwale zmiany DNA spowodowane promieniowaniem kosmicznym. Dopiero w 2018 r. wysłano w kosmos ludzkie plemniki, badania nadal trwają.

Żeby poczuć się jak w kosmosie, amerykańska firma proponuje lot samolotem, gdzie w pewnym momencie przez kilkadziesiąt sekund

wytwarzają się warunki nieważkości. Można też za ok. 5 tysięcy dolarów zawrzeć w stanie nieważkości ślub, z czego niektórzy już korzystają. Amerykańska modelka Kate Upton brała udział w takich warunkach w sesji zdjęciowej w stroju bikini, a pewien portal internetowy zbiera pieniądze na realizację filmu w kosmosie dla bardzo dorosłych.

Problem fizjologii na orbicie jest dość istotny, o czym przekonał się już Alan Shepard - pierwszy

Amerikanin w kosmosie - długo czekający w swoim statku na start. W pewnym momencie zgłosił „palący problem”: „Houston, chce mi się siku”. Lot miał trwać krótko, więc specjaliści z kontroli lotu zupełnie nie byli na to przygotowani. Dlatego w latach 70. stworzono kosmiczne pampersy, a każdy kosmonauta jest wyposażony w kilka par, na wypadek różnych awaryjnych sytuacji. NASA nazywa je „bielizną o największej wchłanianości wilgoci”. Na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej są dwie toalety - rosyjska i amerykańska, a odpowiedniego ich używania astronauta muszą się nauczyć i wyćwiczyć przed lotem. W kosmosie występuje też problem z utylizacją odpadów, dlatego woda na stacji kosmicznej jest odzyskiwana i filtrowana wielokrotnie, a kosmonauci mówią, że lepiej nie myśleć, skąd pochodzi woda, którą piją.

W czasie spotkania dowiedzieliśmy się, że w styczniu możemy obserwować na niebie gwiazdozbiór Oriona, gdzie trzy gwiazdy tworzą tzw. Pas Oriona z dwoma ciekawymi mgławicami - Koński Łeb i Płomień. Natomiast w Mieczu Oriona znajduje się oświetlona przez gwiazdy i widoczna w teleskopie mgławica M41. Ciekawym obiektem, który zobaczyliśmy, była mgławica Serce.

Już 12 kwietnia, w rocznicę lotu Gagarina w kosmos, zapraszamy na kolejne ciekawe spotkanie astronomiczne - „Noc Jurija”.

Elżbieta Patyk

Elżbieta Patyk

Halina Rowicka czyta Franca



22 stycznia 2019 r. w Powiatowej Bibliotece Publicznej Sławomir Franc zaprezentował swoją nową książkę, o świadomie prowokacyjnym tytule „A kto mi, kuźwa, zabroni, czyli 48 przykładów na to, że można...”. Książka została określona przez autora mianem „lekkiej dywagacji psychologiczno-socjologiczno-filozoficznej o podłożu moralizatorsko-motywacyjnym”. Każdy z 48 rozdziałów jest oddzielnym felietonem o różnorodnej tematyce. Ostatni „Bądź zwycięzcą, czyli sen o Victorii” rozpoczyna się słowami: *Żyj z całych sił i uśmiechaj się do ludzi*, które definiują osobę autora: *Jestem szczęśliwym człowiekiem, co kilkakrotnie potwierdzał w czasie wieczoru. Do lektury publikacji zachęca też Jerzy Rogalski, aktor, przyjaciel autora, który napisał m.in.: Książka ta to prawdziwa petarda... Publikacja jest kompilacją przeżyć autora, przysłów, cytatów i porad... 48 rozdziałów to odrębne, motywujące historie, które razem stanowią spójną całość napisaną językiem przystępnym, swojskim, w nieco żartobliwym tonie, a jednocześnie ukazującym poziom wiedzy i inteligencji autora...* Ilustracje wykonała Dorota Przemorska, malarka z Krasnegostawu. Sławomir Franc jest doktorem nauk społecznych, emerytowanym policjantem, weteranem misji pokojowej ONZ w Kosowie i pracownikiem naukowym Wydziału Politologii UMCS w Lublinie. Autor trzech samodzielnych wydawnictw książkowych oraz kilkunastu artykułów naukowych i popularnonaukowych, właściciel kancelarii szkoleniowej specjalizującej się m.in. w komunikacji interpersonalnej, miłośnik aktywnego trybu życia, zapalony rowerzysta, motocyklista, parolotniarz, fascynat zimowych kąpeli, aktor amator, dla którego uśmiech i pozytywne myślenie są najważniejsze w życiu.

Halina Rowicka, aktorka, niezapomniana Ewa Talar z serialu „Dom”, była gościem specjalnym wieczoru. Publiczność, jak i sam autor, z przyjemnością wysłuchali interpretacji kilku fragmentów książki, były to między innymi „A może w Bieszczady?”, „Zarażaj optymizmem”, „Nielatwa umiejętność dokonywania wyboru”.



Akcent muzyczny zapewniła Rita Kulczyńska, uczennica II LO, która zaśpiewała kilka piosenek przygotowanych podczas warsztatów przeprowadzonych dla młodzieży przez Halinę Rowicką. Goście mogli otrzymać autografy, zrobić pamiątkowe zdjęcia i w miłej atmosferze wymienić poglądy. Podsumowaniem spotkania niech będą słowa znanej aktorki: *Było mi niezwykle miło gościć w tym niezwykłym miejscu. Bardzo dziękuję za sympatię i życzliwość. Życzę jak najwięcej interesujących spotkań, do których moim zdaniem należało to dzisiejsze.*

Elżbieta Patyk

Elżbieta Patyk

Kolekcja nakryć głowy



203 różnorodne i oryginalne nakrycia głowy z wielu krajów świata oglądali goście z Lublina, Krzesimowa i Krasnegostawu, którzy 28 lutego 2019 r. uczestniczyli w wernisażu niecodziennej wystawy nazwanej „Kapeluszowy miszmasz” w krasnostawskiej Powiatowej Bibliotece Publicznej. Interesujące wprowadzenie przygotowała kurator wystawy Dorota Korkosz, przedstawiając właściciela tej niezwyklej kolekcji nakryć głowy - Jerzego Krzosa, ur. w Żółkiewce, absolwenta I LO w Krasnymstawie. Obecnie mieszkańca Marianowic, koło Radomia. W czasie wernisażu J. Krzos

opowiadał, że swoją pasję realizuje od kilku lat, eksponaty do kolekcji wynajduje na targach, kupuje, otrzymuje od znajomych i przyjaciół, a nawet niektóre zostały wykonane specjalnie dla niego w Sudanie. Kolekcja ciągle się rozrasta, przybywa nowych eksponatów. Jerzy Krzos wyznaje, że każde nakrycie głowy z jego kolekcji ma swoją historię, jak ponadstuletnia czapka z okresu wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych, przedwojenne czapki studenckie, kapelusz dęciak, szapoklak, szykowne męskie cylindry, meloniki, jarmułki, sombrera, helmy różnych formacji, fez, kufi, czako, kapelusz budowniczych Kanału Sueskiego czy piuska oraz biret śp. biskupa Stefana Siczki i wiele, wiele innych.

Gościem honorowym wernisażu był krasnostawianin gen. bryg. pilot dr inż. Ryszard Hać. Generał przekazał na wystawę kombinezon lotniczy,



w którym wiele razy latał na samolotach odrzutowych oraz specjalny wysokościowy ubiór kompensacyjny używany do samolotów ponaddźwiękowych, hełmy i akcesoria lotnicze. Opowiedział zebranym o zaprezentowanych eksponatach oraz lotnictwie. Akcent muzyczny zapewnił Wojciech Brodowski, entuzjastycznie przyjęty przez publiczność, który koncertowo zagrał na skrzypcach kilka utworów muzyki popularnej. Atrakcją wieczoru była możliwość przymierzenia wielu nakryć głowy, przejście się w kryształowym lustrze z XIX w., degustacja pysznych domowych pączków, których nie mogło zabraknąć w tłusty czwartek, oraz kilkugodzinne rozmowy.

Ekspozycja cieszyła się dużym zainteresowaniem. Przez cały marzec wystawę oglądali czytelnicy biblioteki oraz kilkanaście grup zorganizowanych z terenu miasta i powiatu. Byli wśród nich mieszkańcy DPS Bończa, bibliotekarze powiatu, dzieci ze szkół i przedszkoli. O uznaniu dla kolekcji i jej właściciela Jerzego Krzosa świadczą liczne wpisy w księdze pamiątkowej: *Spotkanie w gronie znajomych z moich młodości lat. Okazja stworzona przez Jerzego. Dzięki, że mogłem choć kilka chwil poświęcić ludziom, którym tyle zawdzięczam - tradycja, dobroć zawsze były i są dla ludzi, których spotkałem bardzo ważne; Mnogość kapeluszy, toczków, czapek...; Podziękowanie za mile spędzony czas; Bardzo interesująca wystawa! Dzieci z klas Ia i Ib zachwycone! Lekcja tradycji, kultury i historii; Świetna kolekcja, obejrzałam ją z prawdziwą przyjemnością. Podziwiam zaangażowanie, z jakim Pan zbiera eksponaty; Gratuluję pomysłu. Ciekawa wystawa, którą warto obejrzeć. Super!; Dziękujemy za piękną lekcję historii i kultury; Tak dobra wystawa, że nie mogliśmy się powstrzymać i obejrzelśmy po raz kolejny; Dzięki Bogu, że są jeszcze tacy ludzie jak Pan, pasjonaci. Cieszymy się bardzo, że mogliśmy się zapoznać z Pana zbiorami. To jest dobre, że umożliwia nam Pan poznanie takich tematów, z którymi do tej pory nie mieliśmy możliwości się zapoznać; Warto inwestować w marzenia.*

Elżbieta Patyk

Wiesław Krajewski

Słonecznikowe podsumowanie



Ósmy mój artykuł z cyklu „Słoneczniki w okolicach Krasnegostawu” jest ostatnim na ten temat. Chyba, że w najbliższym czasie powstanie gdzieś jakiś nowy zegar słoneczny. Mam do opisu jeszcze dwa zegary, ale tak naprawdę to tylko jeden. Pół roku temu, w Lublinie, w miejscu dawnego wysypiska śmieci w dolinie Bystrzycy na Kalinowszczyźnie, powstał Park Zawilcowa. To duży teren, w sumie 14 ha. Otwarto go 22 września 2018 roku. Park składa się z dwóch części. Park dolny (od strony ulicy Krokusowej) stanowi przestrzeń, w której zlokalizowano m.in. ogród sensoryczny o funkcjach edukacyjnych. Znajdują się w nim także rzeźby zwierząt, gry przyrodnicze, tablice edukacyjne, w tym także model Układu Słonecznego. Natomiast w parku górnym znajduje się to, co nas najbardziej interesuje - zegar słoneczny. Współrzędne tego zegara to 51°15'41" N, 22°35'57" E. Najbliższy zegarowi wejście do parku jest od ul. Daszyńskiego (między blokami 19 i 23).

Jest to zegar analemmatyczny. To znaczy, że jest on wykreślony na ziemi, a wskazówkę stanowi człowiek ustawiony w odpowiednim miejscu. To odpowiednie miejsce wyznaczone jest przez trójkątną płytę z wykreśloną analemą i podanymi numerami miesięcy w roku. Tam należy właśnie stanąć. Dla miesięcy letnich jest to dość wąski fragment i chyba trzeba by tam stanąć na jednej nodze.





Zegar jest dość duży. Jego średnica przekracza 7 metrów. Godziny od 5 rano do 7 po południu wyznacza 15 kamiennych kul z wrytymi kolejnymi cyframi rzymskimi. Usytuowanie zegara jest korzystne, w miejscu nieosłoniętym, z dobrym dostępem promieni słonecznych. Brakuje tam jednak instrukcji obsługi zegara, ale sądzę taką się pewnie jeszcze pojawi. Projektantem zegara w Parku Zawilcowa jest firma Garden Designers Derkacz i wsp. z Lublina. Budowę tego słonecznika (jak i całości zieleni) wykonała firma PP-H Twój Ogród Marzanna i Tomasz Szalak z Lublina.

Powinienem w tym miejscu omówić jeszcze jeden lubelski słonecznik. Zegar, który znajduje się w prywatnym ogrodzie przy ul. Siostry Bożeny Szerwentke. Jego współrzędne to $51^{\circ}14'42''$ N, $22^{\circ}33'48''$ E. Niestety, nie udało mi się do niego dotrzeć. Z dostępnego mi jedynego, zresztą bardzo słabej jakości zdjęcia wynika, że jest to zegar



równikowy, a więc o innej budowie niż wszystkie dotychczas wspomniane przeze mnie słoneczniki. Warto więc byłoby i jego opisać. Nie tracę na to nadziei.

Zegary słoneczne są atrakcyjną ozdobą wielu miejsc, w wielu miastach. Nieraz zaskakują swym kształtem i rozwiązaniami. Takim nietypowym przykładem jest zegar-fontanna na skwerze przy ulicy Piłsudskiego w Supraślu. Inny, zaskakujący zegar jest częścią... nagrobka na cmentarzu rzymskokatolickim im. Wszystkich Świętych w Łodzi. Znalazłem też „piwny” zegar słoneczny na podstawie pod kufel - rarytas dla biurofilów. Herb gminy Pątnów w pow. wieluńskim przedstawia w błękitnym polu stylizowany pionowy zegar słoneczny.



Herb gminy Pątnów.

Jak widać, pomysłów na zegary słoneczne nie brakuje. Szkoda, że w moim cyklu o słonecznikach nie mogłem opisać choćby jednego znajdującego się w samym Krasnymstawie. Szkoda, ale może kiedyś się to zmieni?...

*Wiesław Krajewski
ciąg dalszy nie nastąpi,
chyba, żeby się coś zmieniło...*

Protokół z posiedzenia jury XII Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty Pisz!” im. Mariusza Kargula

Jury w składzie: Dorota Ryst - przewodnicząca, Jadwiga Demczuk i Marcin Jurzysta, po przeczytaniu 271 zestawów nadesłanych na Konkurs (w tym 54 zestawów w kategorii „do lat 18” i 217 zestawów w kategorii „dorośli”), w dniu 30 stycznia 2019 roku postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

kategoria „do lat 18” -

dwa równorzędne wyróżnienia dla zestawów opatrzonych godłami: „Idalia” - Aleksandra Majówka (Chełm), „Anna” - Dominka Liszkiewicz (Piła);

kategoria „dorośli” -

pierwsza nagroda - autor o godle „pako raban” - Marek Kucak (Piekary Śląskie),

druga nagroda - autor o godle „krasek” - Bartosz Konstrat (Warszawa),

dwie trzecie nagrody dla autorów o godłach: „zaklekotany” - Marcin Sztelak (Czeladź) oraz „kochana” - Dorota Nowak (Nowy Tomyśl).

Cztery równorzędne wyróżnienia otrzymują: godło „przyzwoitka” - Piotr Zemanek (Bielsko-Biała), godło „Zazula” - Agata Wesołowska (Toruń), godło „zab czasu” - Marzena Jaworska (Warszawa), godło „Romeo” - Iwona Świerkula (Warszawa).

Uroczyste zakończenie XII edycji Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty Pisz!” im. Mariusza Kargula odbyło się 16 lutego 2019 roku w Krasnostawskim Domu Kultury.

Laureaci otrzymali nagrody pieniężne ufundowane przez Krasnostawski Dom Kultury.



Julia Pawłowska



Damian Kozyński, Jadwiga Demczuk, laureat Bartosz Konstrat, Dorota Ryst.



Laureat Marek Kucak, Jadwiga Demczuk i Dorota Ryst.



Akompaniatorka Joanna Dojnikowska i wokalistka Julia Pawłowska.

Marcin Jurzysta

Wypowiedź jurora

Po raz drugi miałem przyjemność dołączyć do grona jurorów Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty pisz!” im. Mariusza Kargula. Na konkurs wpłynęło aż 271 zestawów wierszy, które oceniane były w dwóch kategoriach - tej młodzieżowej i tej dla osób dorosłych.

Czy prawdą jest, że tak potrafi się kochać drugą osobę, jak potrafi się o miłości mówić? Uważam, że dużo w tym stwierdzeniu słuszności. Bo jeśli opowieść o miłości ślizga się jedynie po rekwizytach rodem z walentynkowej, sklepowej witryny, albo z słodziutkiej jak landrynka komedii romantycznej, w której odwiedzamy planety dla singli, piszemy listy do M, czekamy, aż „ktoś nam pokaże”, kochamy i tańczymy, podajemy śniadanie do łóżka i robimy wiele innych, równie płaskich, powierzchownych i przewidywalnych rzeczy.

Zestawy, które wpisywały się w ten komercyjny i sztuczny paradygmat miłości odpadały w pierwszej kolejności. Pozostawały te, które próbują opowiedzieć miłość w sposób świeży i na tyle intrygujący, by nie przygnieść uczucia stekiem niepotrzebnych słów.

W kategorii młodzieżowej najbardziej świadome wielowymiarowego charakteru miłości były dwie wyróżnione autorki. „Anna”, a więc Dominika Liszkiewicz z Piły, która w swoim wierszu napisała: *niektóre z nich [słowa] // gdy im się uważniej przyjrzeć // odkrywają // swoje inne // drugie znaczenie // [...] nie dziwcie się więc // że trochę się boję // słowa na // m // bo wiem // że // że je też // można przeczytać // uważniej.* Z kolei „Idalia” - Aleksandra Majówka z Chełma, w jednym ze swoich wierszy porównuje miłość do zaproszenia autostopowicza, który: *złapany z półścieżki // rozłożył nogi na moich siedzeniach // [...] trochę za szybko fotele zaczęły pachnieć jego perfumami // trochę za długo jego torby wypełniały mój bagażnik.*

W kategorii osób dorosłych w pamięci zapadły mi frazy z wierszy autorów wyróżnionych. „Zazula”, Agata Wesołowska z Torunia odważnie



pisze o cielesności: *odkrawasz sutki cytryn // wysysasz pomarańczową skórę ud // robisz fisting w sercu.* Piotr Zemanek z Bielska-Białej, ukrywający się pod godłem „przyzwoitka” w swoim „Odklejanu” pisze: *zblź się do mnie. bądź blisko. ale tak żeby nie bolało. // gdy kamienie zanurzone w ciałach zaczną stygnąć.* Marzena Jaworska („zab czasu”) z Warszawy opowiada o tym, jak *od pewnego czasu tworzymy sieć nowych połączeń // poza ustalonym przez PKP rozkładem // omijamy nieczynne magistrale // i wchodzimy na nieznane dotąd tory.* „Romeo”, a więc Iwona Świerkula z Warszawy pokazuje jeszcze inne oblicze miłości, gdy pisze: *jestem Julią // mam lat 53 // a on chrapaniem wystraszył stado wskazówek // teraz bezsenne minuty trzepoczą o szybę // nasza miłość o smaku kawy bez cukru.*

III nagroda została przyznana równorzędnie dwójgu autorom. Godło „kochana” to Dorota Nowak z Nowego Tomyśla dotyka miłości towarzyszącej chorobie, idącej z nią pod rękę, rozmawiających przez „codzienny telefon”, czy też spotykającej się „w kawiarni”, gdzie *upewniła się czy pamiętam naszą uległość na kursie asertywności // rozbawienie po wykładzie z analizy oraz to że „miłości nie kupisz”.* Druga III nagroda trafiła do „zakleotanego” - Marcin Sztelak z Czeladzi, który pisze m.in.: *[po-*

*między nami] wciąż panuje niecna powtarzalność,
// nanizany na cienką nitkę rzęsy zaplątanej // w na
wpół przymknięte usta // boję się domknięcia.*

II nagroda trafiła do autora ukrywającego się pod godłem „krasek”, a więc do Bartosza Konstrata z Warszawy, który w wierszu „i czego chciałeś wtedy” pisze, że *miłość, mój drogi, to coraz częściej ciężar tych // wszystkich wspomnień, to spocone zwierzątko, które przychodzi // we śnie, a nawet rano nie chce sobie odejść [...]*.

I nagroda trafiła do „pako rabana”, a więc do Marka Kucaka z Piekar Śląskich. który w „marzycielach” odziera miłość z plastikowego celofanu popkultury: *Justyna w łazience zdejmuję majtki a ja karmię syna // rozmawiam z dziewczyną słucham hitu lata który jest do kitu // patrzę na muchy obsiadające banana i brzaskwinie // tyle głupot nas karmi że nie możemy być normalni.*

De Rougemont, szwajcarski filozof kultury, autor klasycznej już „Miłość a świat kultury zachodniej” i wydanych przez Czytelnika „Mity o miłości” pisze, że Zachód omamiły dwa mity miłosne równie słodkie, co trujące. Pierwszy z nich to miłość Tristana (namiętność), która wyczerpuje się w dążeniu do ukochanej osoby. Jest uwielbieniem kobiety wybranej, jedynej władczyni serca, ale jednocześnie ucieka przed bliskością i szuka przeszkód dla własnej realizacji. Spełnienie jest w niej niemożliwe, dlatego z definicji jest ona nieszczęśliwa. Dokładnym jej przeciwieństwem jest mit Don Juana. Obiektem jego miłości nie jest już jakaś szczególna kobieta, lecz kobieta w ogóle. Dlatego Don Juan kroczy od przygody do przygody. Bliskość i spełnienie są właściwym celem jego miłości, choć trwają jedynie przez chwilę. Wieczność nie ma dla niej żadnego znaczenia, podobnie jak transcendencja, dlatego jedyną jej formą jest seks. Zachód, wysławiając namiętność i donżuanizm, bezwiednie przyjął anarchistycznego ducha obu opowieści¹. Dobra poezja potrafi przywołane mity przezwyciężyć, przepracować i przewartościować. Kobiety w tych wierszach nie są ani nadwrażliwymi panienkami, które czekają na księcia na białym koniu, nie są też wykorzystanymi i porzuconymi ofiarami Don Juanów, które wzdy-

chają do zdjęć ukochanego, rozważając pocięcie się żyłką ku chwale wielkiej miłości. Mężczyźni z kolei nie kreują się na gruboskórnych zdobywców zbierających kobiety jak trofea, czy też na rycerzyków kruszących kopie o chusteczkę ukochanej.

Dobra poezja pokazuje właśnie to, jak mówić o miłości bez podpierania się wysłużonymi epitetami, kalkami językowymi i kulturowymi, tym całym celofanem, w który wielu ma zwyczaj zawijania swoich tekstów jak tulipanów na Dzień Kobiet.

*znowu pragnę ciemnej miłości
miłości która zabija
tak o śmierć modli się
skazany*

*przyjdź
dobra śmierci
rozrzuć bądź jak noc sierpniowa
bądź ciepła
dotknij mnie lekko - mówi Poświatowska, zapalając nocną lampkę.*

*Zobaczyłem światło,
więc przyszedłem.
Zadzwoniłem i otworzyłaś.
Nie przyszedłem rozmawiać,
nie przyszedłem namawiać,
nie przyszedłem zbierać podpisów,
nie przyszedłem pić wódki.
Ja
przyszedłem się kochać,
przyszedłem tu umrzeć - odpowiada Świątlicki.*

Marcin Jurzysta



rys. Robert Znajomski

¹ Denis de Rougemont, *Mity o miłości*, przeł. Maria Żurowska, Czytelnik, Warszawa 2002, s. 226.

Stanisław Ciechański

Ocalić od zapomnienia



Na jednym ze spotkań promocji kolejnego numeru „Nestora” padły słowa wypowiedziane przez dr. Leszka Janeczka: „ocalić od zapomnienia i przekazać następnym pokoleniom”. Słowa te zdopingowały mnie do zebrania i zapisania istotnych faktów i przekazów w jedną całość.

W parafii pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie stoi wiele przydrożnych krzyży lecz każdy z nich ma swoją własną przeszłość. Historię jednego z nich chciałbym przybliżyć. Otóż przy głównym trakcie z Krasnegostawu do Rejowca stoi wśród drzew stary dębowy krzyż, zapomniany nawet przez kronikarzy. Znajduje się on na górze, którą od niepamiętnych czasów nazywano „Górą Ciechańskiego”. Przybrała ona swoją nazwę od rodu Ciechańskich, którzy od kilku stuleci mają w tym miejscu swoje siedlisko. Świadczą o tym dokumenty archiwalne, do których dotarłem. Najwcześniejszy dokument to akt ślubu z listopada 1781 roku Wawrzyńca Ciechańskiego z Heleną Bieleśzówną (oboje mieszkali we wsi Góry). Wszystkie dokumenty: akty urodzenia, chrztu, zaślubin i zgonów pozostałych członków rodu aż do chwili obecnej znajdują się w archiwum parafialnym.

Rok 1863, w którym powstał krzyż, zbiega się z minioną 150. rocznicą wybuchu powstania styczniowego na ziemiach polskich. Jak wynika z przekazu mojego dziadka Michała, zamieszkałego we wsi Góry, we wspomnianym wyżej siedlisku, który przeżywszy 94 lata, zmarł w 1980 r., krzyż postawili powstańcy styczniowi w 1863 r. po spotkaniu dwóch oddziałów powstańczych w tym miejscu. Można przypuszczać, że jeden z nich był dowodzony przez Kazimierza Bohdanowicza, pod którego komendą walczył ojciec mojego dziadka Franciszek urodzony w 1843 r., zmarły 26 grudnia 1893 r. Drugi oddział dowodzony był przez lekarza, Mikołaja Nieczaja z Dubienki.

Nieczaj, po potyczce pod Żalinem w chełmskim 22 lutego 1863 r., ranny, wzięty do niewoli, został stracony 19 marca 1863 r. o godzinie 5.30 w Krasnymstawie. Akt zgonu znajduje się

w archiwum kościelnym pod numerem 112. Miejscem egzekucji był najprawdopodobniej zabłocony „wygon”, którym pędzono bydło z majątku Lubańki na pobliskie łąki - obecnie ulica Gospodarcza, w pobliżu siedliska mojego dziadka. Jak podają przekazy, miejsce pochówku Nieczaja zostało rozjeżdżone armatami przez Rosjan, aby zatrzeć ślad mogiły.

Nieśmiało chcę poddać pod dyskusję miejsce egzekucji i pochówku Mikołaja Nieczaja upamiętnione obeliskiem przy ul. Rejowieckiej, ponieważ wówczas było to zbocze góry, przez którą w późniejszym okresie przepokopano wawóz podczas budowy kolei w kierunku Zamościa. Rosjanie takiego człowieka nie grzebali by na okazałym wzniesieniu, gdzie trudno było wjechać armatą. W latach 1960-1962 wzniesienie to zniwelowano - ziemię wywieziono na podwyższenie nasypu ul. Zawieprze od ul. Mostowej. Podczas tych prac, a kopano ręcznie, nie natrafiono na jakiegokolwiek szczątki ludzkie i ślady grobu.

W minionym roku, po rozmowie z dr. Ryszardem Maleszykiem, niedożałowanym historykiem naszego miasta i regionu, utwierdziłem się w przekonaniu, że egzekucji na Nieczaju dokonano właśnie na ul. Gospodarczej. Geneza powstania krzyża może być upamiętnieniem tejże egzekucji.

Ojciec mojego dziadka Franciszek Ciechański udostępnił swoje siedlisko dla postawienia pamiątkowego krzyża. Krzyże wówczas stawiano ze świeżego, nieokorowanego drzewa, z sękami. Charakteryzowały się one na ówczesne czasy ściętymi ukośnie ramionami. Miało to wyrażać dezaprobatę i niechęć wobec caratu i jego zwolenników.

Krzyż przetrwał zawieruchę I wojny światowej. Dziadek mój, po mobilizacji chłopów z lubelskiego i łomżyńskiego, w Ostrowi Mazowieckiej w kwietniu 1919 r. walczył w V Pułku Piechoty Legionów, zdobywał Wilno, gdzie został ranny i przebywał w szpitalu. Walki V Pułku Piechoty Legionów opisuje podporucznik Wacław Lipiński w książce z 1925 r. (I wydanie) „Od Wilna po Dynaburg”, która pozostała po dziadku jako pamiątka rodzinna. Po powrocie z wojny dziadek zastał pogorzelisko. Wszystkie zabudowania gospodarcze wraz z domem rodzinnym zostały doszczętnie spalone. Duży księgozbiór, który dziadek jako tajny nauczyciel we wsi Bzite na wypadek wojny ukrył w stojącej obok murowanej piwnicy zniszczyli żołnierze rosyjscy. Pozostało zaledwie kilka egzemplarzy. Zachował

się tylko nienaruszony stary krzyż powstańczy pochylony upływem czasu.

Pierwotnie krzyż stał przy obecnej ul. Gospodarczej. Po odbudowaniu domu i zabudowań gospodarczych, dziadek postanowił przenieść chylący się krzyż w bardziej okazałe miejsce, do ogrodu naprzeciw nowego domu. Jednakże czas dokonał zniszczenia krzyża, który nie nadawał się do przestawienia. W tym miejscu przytoczę niechlubny epizod. Ponieważ krzyż był pamiątką całej okolicy i miasta, dziadek mój na posiedzeniu Rady Miasta wystosował prośbę o przydział drzewa dębowego na zrekonstruowanie powstańczego krzyża. Otrzymał odpowiedź wymijającą, iż są braki w drewnie, gdyż wojna spustoszyła lasy. Wówczas, ku zaskoczeniu obecnych na naradzie, głos zabrał rabin, jeden z kilku radnych reprezentujących gminę żydowską w Radzie Miasta. Powiedział (te słowa słyszałem od dziadka wiele razy): „To ja dam dąb. Wstyd, żeby na wasze świętości brakowało drzewa”. Na posiedzeniu zapadła cisza. Po krótkiej naradzie dziadkowi kazano zgłosić się po dąb w nadleśnictwie Borek.

Nowy, zrekonstruowany krzyż w 1925 r., zgodnie z postanowieniem dziadka stanął naprzeciw domu w ogrodzie od strony traktu Krasnymstaw-Rejowiec, zachowując wiernie charakterystyczne cechy - z pełnego pnia i skośnie ścięte ramiona. Poświęcenia krzyża dokonał ksiądz prałat Bronisław Malinowski. W takiej postaci krzyż przetrwał okupację niemiecką.



Powyższa fotografia z 1942 r. przedstawia powstańcze charakterystyczne cechy. Z przekazu dziadka i ojca dowiedziałem się, że od dawna odbywały się przy nim poświęcenia pól i majówki. Ostatnie poświęcenie pól, w którym uczestniczyłem wraz z rodziną, miało miejsce w roku 1988.



W 1981 r. krzyż, zniszczony wiekiem czasu zaczął się przechylać. W obawie, że władze komunistyczne nie pozwolą postawić nowego, mój ojciec Wacław, wraz z bratem Franciszkiem oraz bratem stryjczym Wiktoorem (właścicielem posesji) krzyż w tajemnicy ucięli przy samej ziemi i wkopali głębiej, tuż przy samym pniu. Podczas tych prac krzyż w ogóle nie był kładziony na ziemi. W tym stanie krzyż pozostał do dziś.

Pomimo swej starości, krzyż robi wrażenie na przechodniach, którzy pochylają głowę, nie wiedząc nawet jak odległą ma on historię. W 1920 r., jeszcze przy starym krzyżu powstańczym pochylał głowę marszałek Józef Piłsudski podczas wizytacji II Dywizji Piechoty Legionów stacjonującej w Krasnymstawie, oraz szpitala z rannymi żołnierzami w drodze do Chełma.

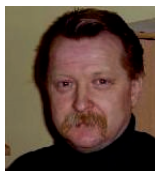
Jak podaje kronika miejscowości Bzite, 18 czerwca 1927 r. prezydent Ignacy Mościcki, jadąc na otwarcie Spółdzielni Mleczarskiej był witany pod tym krzyżem przez mieszkańców Gór. 6 lipca 1934 r. po raz kolejny lustrował województwo lubelskie i wieś Bzite, gdzie spłonęło około 30 gospodarstw. Tę informację przekazała mi bratanica mojego dziadka Helena Moryłowska, która jako 14-letnia dziewczynka wraz z mieszkańcami Gór witała kwiatami przejeżdżającego prezydenta.

Trochę faktów i przekazów nielicznych osób pamiętających tamte wydarzenia spisane na łamach „Nestora” ochroni od zapomnienia i przybliży przyszłym pokoleniom. Myślę, że w wykazie zabytkowych krzyży powinien być umieszczony również i ten, który może jest jedynym tego rodzaju w powiecie krasnostawskim.

Stanisław Ciechański

Henryk Sieńko

Start 1944



Przed wojną w Krasnymstawie w piłkę nożną grali żołnierze miejscowej jednostki wojskowej (łącznościowcy). Młodzi chłopcy „na Kołowrocie” kopali szmacyankę, usiłując naśladować wojskowych. Ci mieli paczkę jak się patrzy, bo w wojsku służyli żołnierze z całej Polski. Często byli to znakomici sportowcy. Celem wzmocnienia składu, jeden z działaczy sprowadził kilku zawodników ze Lwowa.

Podczas wojny, na tutejszych błoniach i skwerach młodzież najczęściej grywała w siatkówkę, a tylko nieliczni kopali piłkę. Kunszt wielu utalentowanych chłopców doceniali nawet niektórzy Niemcy, którzy tolerowali ich piłkarskie hobby, choć gra w futbol była zabroniona. Najeżdżca niemiecki doceniał znaczenie uprawiania sportu w podbitych państwach. 23 lipca 1940 roku ukazało się rozporządzenie generalnego gubernatora Hansa Franka, likwidujące wszystkie związki, stowarzyszenia i kluby sportowe oraz ich struktury organizacyjne. Rozporządzenie zostało poparte stwierdzeniem pełnomocnika d/s sportu dr. Georga Niffke mówiące o tym, że *uprawianie sportu przez polską ludność jest dopuszczalne, o ile jest to możliwe poza normami organizacji sportowych*. Uprawianie futbolu nie było możliwe. Jednak polscy piłkarze nigdy nie przestali grać, choć groziła za to kara śmierci. Właściwie tak zręcznie sformułowano zakaz, że nie za samą grę można było otrzymać wyrok śmierci - kara groziła za uczestnictwo w zajęciach nielegalnych stowarzyszeń, a za takie można było uznać nawet „dzikie” zespoły rozgrywające mecze na podmiejskich łąkach.

Kiedy Krasnystaw został wyzwolony, piłkarze sklecieli naprędce skład, aby rozegrać spotkanie z Izbicą. Większość drużyny tworzyli „chłopcy z Kołowrota”. Jeszcze przed meczem reprezentacji Krasnegostawu z żołnierzami Armii Radzieckiej zagrali w Izbicy, przegrywając 2:4. Natomiast wszystko, co związane ze Startem rozpoczęło się w chwili wyzwolenia. Tłumioną przez lata wojennej trwogi energią teraz można było zamienić na emo-

Start 1944



boisko

KOŁOWRÓT



cje w sportowej rywalizacji. Kiedy sportowcy przenieśli się do parku w środku miasta, zaczęto ich zauważać, a co niektórzy łakomie patrzyli na popisy przystojnych, wygimnastykowanych chłopaków. Nie tylko dorastające dziewczyny i ciekawskie dzieci. Szczególnie łakomie przyglądali im się radzieccy żołnierze, którzy stacjonowali w niedawno wyzwolonym miasteczku. Wystarczyło wymienić kilka spojrzeń z Rosjanami, aby zaiskrzył pomysł - trzeba zagrać mecz. Nie w siatkówkę, lecz w futbol. Przecież kopana była najpopularniejszą dyscypliną przed wojną, a kilka dni przed jej wybuchem Polska wygrała z wicemistrzami świata Węgrami,

którzy wystąpili w najlepszym składzie z Biro, Adamem, Zsengellerem, doktorem Sarosim na czele. Przegrywaliśmy już 0:2, gdy Wilimowski rozpoczął swój koncert. Wbił Sziklaiowi trzy gole, a jednego dołożył Piątek. Wygraliśmy 4:2, a skład reprezentacji zapamiętali wszyscy kibice: Krzyk, Szczepański, Giemsa, Góra, Jabłoński, Dytko, Jaźnicki, Baran, Spoida, Piątek, Cebula, Wilimowski, Cyganik. Ten sensacyjny wynik był między innymi efektem kilku miesięcy „doszkalania” polskich graczy przez słynnego wówczas Alexa Jamesa, czołowego napastnika Anglii i Arsenalu Londyn.



Piotr „Sasza” Zadrąg już przed wojną był najlepszym sportowcem Krasnegostawu i okolic. Jako uczeń szkoły średniej grywał z wojskowymi, bo to oni z grupy łącznościowców pokazali dzieciom i młodzieży futbol. Był piłkarzem o niespożytych siłach. Nie mogło być inaczej, gdyż trenował na słynnym Kołowrocie. Wspominał: - *Trenowaliśmy tam w każdej wolnej chwili. Ja zaczynałem od dyscyplin lekkoatletycznych: biegów, rzutu dyskiem, oszczepem, piłką palantową. Skakałem też w dal, bo do tego nie trzeba było żadnych przyrządów. No i przypatrywaliśmy się wojskowym, którzy mieli już drużynę.*

Pan Piotr chodził do szkoły, jako pierwszy z kolegów ukończył gimnazjum i zdobył małą maturę. Kiedy wybuchła wojna, liczyło się tylko prze-

trwanie. Najgorsze były bombardowania. Chłopcy budowali coś na wzór schronów, były to najczęściej wzmocnione drewnem piwnice. Po jednym z nalotów całkowicie spłonęły rodzinne zabudowania. Rodzina mieszkała w komornym w Krasnymstawie. Ponieważ ojciec pana Piotra miał ziemię w Kolonii Stężycy i zawsze pragnął się tam wybudować, przeprowadzili się na wieś. Wybudowali dom i zajmowali rolnictwem. Uprawiali głównie trawę nasienną.

Piotr Zadrąg, zagadnięty na okoliczność słynnego meczu z reprezentacją żołnierzy radzieckich, powiedział: - *Zapamiętałem, że pierwszego gola Rysio Opielak strzelił z mojego długiego podania. I zapamiętałem, że jakiś żołdat krzyczał za linią autową, że mnie zastrzeli, jak jeszcze raz tak zagram. Przez chwilę się nawet przestraszyłem, ale szybko minęło i też strzeliłem gola.*



Filigranowy, ruchliwy napastnik był postrachem przeciwników. Był najstarszy w drużynie Krasnegostawu, kierował zespołem i konstruował groźne akcje. Ci, którzy oglądali mecz, bez zastanowienia mówią, że był najlepszym zawodnikiem na boisku i to dzięki niemu padł tak wysoki wynik.

Imponował doskonałym startem do piłki i niesamowitym dryblingiem. Za najlepszych kumpli z tamtego okresu uznawał Mikołaja Stasiuka i Józefa Patyka. Przez kilka miesięcy pracował w Izbicy w klinkierni, ale szybko okazało się, że najpotrzebniejszy jest w domu.

Jego kariera nie trwała długo, ale jeśli pierwszą bramkę dla Startu strzelił Opielak, to pierwszym wielkim talentem błysnął Piotr Zadrąg. To od niego i treningu w drużynie wojskowej WKS Krasnystaw, rozpoczął się w ogóle piłkarski sport w mieście.

Podczas meczu zwykle przebiegał o wiele więcej kilometrów niż koledzy. Ambitny do granic wytrzymałości. A jeśli, ktoś myśli, że najlepszy i pierwsi mistrzowie wyrzutów piłki z autu to Anglicy, których sławę ugruntował słynny Martin Chivers (kilkudziesięciometrowe podania z autu) lub Tomasz Hajto w Polsce, to się grubo myli. Już przed wojną mistrzem takich wyrzutów był Piotr „Sasza” Zadrąg. Marian Basiński twierdzi, że potrafił przetrzucić boisko wszędy.

Po wojnie, już po meczu z Rosjanami, jako piłkarz Startu grywał niewiele. Do zespołu wchodził młodszy. Potrafił jednak zaprezentować im swoje umiejętności i klasę. Szkoda, że swojego talentu sportowego nie mógł rozwijać. Najlepsze lata piłkarskiej kariery zabrała mu wojna. Po wojnie, przez wiele lat był sołtysem w Stężycy. Zmarł w listopadzie 2007 roku.

Miłośnicy futbolu w Krasnymstawie pamiętali mecz reprezentacji z relacji prasowych.

- U Rosjan był pułkownik, który kochał sport - opowiadał później kronikarzowi sportu Franciszek Stępkowski. - Chętnie zgodził się na rozegranie spotkania piłkarskiego. Był pewny zwycięstwa. A my? Nam się, po prostu, okropnie chciało grać!...

Zakończenie wojny rozładowało w młodych ludziach potencjał przez lata magazynowanej w sobie energii i stresów. Wyzwolenie miasteczka stało się dla miłośników sportu rozkoszowaniem wolnością. Wystarczył impuls, aby wszyscy zbiegli się i wyrzucili z siebie nadmiar wigoru. Słowa Stępkowskiego wyrażają klimat tamtych dni: „Nam się okropnie chciało grać!”.

Jeszcze nie uzgodniono terminu meczu, a siostry Lucyna i Jagna Banaszkiewiczówny cięły stare spódnice i szyły spodenki dla piłkarzy. Na mie-



ście pojawiły się ręcznie zrobione plakaty wykonane przez artystę plastyka Edwarda Godlewskiego. Informowały o wielkim meczu międzynarodowym. W dniu spotkania, kto żył szedł na boisko, gdzie przygotowano piłkarską galę - były flagi, wyprasowane jak do służby oficerskie mundury, połyskująca w blasku słońca blacha instrumentów wojskowej orkiestry. Pogoda dostrzegła się do rangi zawodów, było słonecznie i radośnie. Wielki dzień, wielkie święto - starosta krasnostawski Wacław Żmudzki ze wzruszenia uronił kilka łez. Wrzawa, hałas, radość, słowem jesienny piłkarski piknik...

Problemu butów nie było, bo każdy założył takie, jakie miał, a niektórzy grali na bosaka, bo tak im było wygodniej. Miejscowi zagrali w najbardziej jak było to możliwe eleganckich biało-granatowych kostiumach i spodenkach przygotowanych przez wspomniane już Banaszkiewiczówny. Tak przygotowany team miasta Krasnystaw zgniótł buńczucznych czerwonoarmistów wynikiem wręcz sensacyjnym - 6:1.

Pierwszą bramkę dla miejscowych wbił Ryszard Opielak - piłkarz, na którego wołano „Suchmen”. Drobny, nawet mikry, ale zwinny jak jaszczurka i szybkostrzelny jak karabin maszynowy. Cieszyli się z tej bramki jak dzieci, choć nie mieli pojęcia, że jest to bramka historyczna, że piszą najnowszą historię nie tylko sportu w Krasnymstawie, ale także w Polsce. W tym niecodziennym meczu Krasnystaw grał w składzie: Jan Mirosław, Zbigniew Miarczyński, Feliks Basiński, Tadeusz Wysocki, Roman Banaszkiewicz, Ryszard Opielak, Zbigniew Terlikowski, Piotr „Sasza” Zadrąg, Stefan Marczak, Władysław Wiśniewski i Franciszek Stępkowski. Jeszcze przed meczem, niemal w biegu i z organizacyjnej konieczności, drużynie nadano nazwę „Start”. Przecież musieli się jakoś

nazywać. Wspomina Tadeusz Wojtał: - *Trudno ustalić, kto był pomysłodawcą. Po wojnie miłośnicy sportu szybko się odnaleźli, przecież znali się od lat, działali wspólnie w konspiracji. Duszą towarzystwa był Stefan Dąbrowa-Gładkowski, kiedys zapalony siatkarz, człowiek wielkiej witalności i inicjatywy.*

Doktor Stefan Gładkowski przed wojną mieszkał we Lwowie i był zawodnikiem Czarnych w siatkówce. Lubił być między ludźmi, szanował ich pomysły, emocje, przywiązanie do rywalizacji i zabawy. Społecznik i propagator ruchu na świeżym powietrzu. Był jednocześnie kronikarzem sportu. To on zapisywał na kartkach papieru fakty związane z powstaniem klubu, opisywał mecze, zdarzenia, anegdoty i opowieści. To dzięki niemu później miał kto spisywać historię sportu w Krasnymstawie. Był jednym z inicjatorów zawiązania klubu.

W swoich notatkach zapisał: - *W dniu 3 sierpnia 1944 roku zebrali się grupa byłych sportowców i działaczy, entuzjastów sportu, którzy przetrwali okupację hitlerowską. Postanowili założyć klub sportowy. Zebrani przyjęli nazwę „Start”. Miała ona być symbolem startu... za pięknem sportu, startu po radość i zdrowie. Dla powstającego klubu przyjęliśmy barwy biało-granatowe, a godło klubowe z dwoma rybami i koroną zaczerpnięte zostało z herbu naszego miasta. Pierwszą imprezą w mieście był mecz piłkarski z dywizją Armii Radzieckiej, która stacjonowała w Krasnymstawie. Mecz otrzymał uroczystą oprawę. Wiwaty, święto, wielki sukces - tak można opisać atmosferę w miasteczku po końcowym gwizdku sędziego Stefana Gładkowskiego. Goście nie mieli pretensji o złe sędziowanie. Przeciwnie - zachowywali się dżentelmeńsko. Radziecki dowódca w randze generała, choć przeżył sromotną porażkę, docenił przede wszystkim klasę przeciwnika. Jego komendy po końcowym gwizdku były zdecydowane: „- Rozebrać się! Stroje, nowe korki, zapas piłek przekazać Polakom. Na samochód i jazda do koszar. Jeden do sześcior!... (kręcił głową). Uczcie się grać nago i na bosaka!”.*

Piłkarze Startu obładowani sprzętem poszli na podwórko Franka Stępkowskiego, gdzie mieli szatnię. Ubrania porozwieszali na drzewach, a w wielkich misach mogli się umyć. Wodę kupo-

wali po złotówce za wiadro. Ale Gładkowski nie byłby sobą, gdyby nie pomyślał o wspólnym obiedzie. A i po kielichu wypili...

Tego samego dnia zebrali się w Domu Sejmikowym, siedzibie starostwa. Odbłyto się zebranie założycielskie pierwszego klubu sportowego w Polsce Ludowej. Było ich 24 i dziś można ich nazwać członkami założycielami. Pionierami przecierającymi szlaki...

Kronikarz Startu zapisał wspomnienia Tadeusza Wojtała, absolwenta Okręgowego Ośrodka Wychowania Fizycznego w Sierakowie koło Poznania z 1937 roku: - *Pierwszym prezesem wybraliśmy Wacława Krzyżana. W zarządzie działał przez 15 lat. Dokonywał cudów organizacyjnych i sportowych. Od handlującej na rynku Marszyckiej zdobył autentyczne piłkarskie korki...*

Henryk Sienko
cdn.

Lucjan Cimek

Karpie*



Był staw obszerny w szczekarzewskim grodzie.
W czystej, przejrzystej, pysznej wodzie
pływały karpie złotoluskie
chwaląc wiek złoty różnym pluskiem.
Idylla maleńka taka...

Aż tu ni z tego, ni z owego,
do stawu kazał pan karpiego
wpuścić dwie setki szczupaka...

„Zmłuj się, waćpan! - rzecze druh zgorszony -
co czynisz, czego spodziewasz się po nich?

Nie wiesz, jak szczupak ryby goni?

Z karpi zostaną ci ogony -
szczupak - żarłacz, każdą rybę rozszarpie!”

„Marudzisz - pan rzecze z uśmiechem -
ciekawym (gdy to nie jest grzechem),
skąd wiesz, że ja uwielbiam karpie?”.

* Trawestacja bajki Iwana Kryłowa pt. „Lescze”.

Stanisław Bojarczuk

O wschodzie

I

Pamiętasz ogromnego kręgu gigant brzeże?
Wschodziła bez promieni Drogi Mlecznej gwiazda.
Ponieważ wiosennego dnia wszczyła się jazda,
więc przeogromnym kołem swym horyzont rzeże.

A ty wciąż /czyż z wieśniaczek potrafi to każda?/
jak Westa, która ognia domowego strzeże,
zbrojna w szyszak rozsądku, w dwa piersi puklerze,
warujesz w Tusculum rodzinnego gniazda.

I, czy ci to przypadło w polu zboże sprzątać,
czy, jak Marcie biblijnej po izbie się krzątać,
troszcząc około wielu, jak to Chrystus prawil.

Zaś w centrum domowego cichego aquaria,
nie przeciwna szaleństwu, że miast u nóg Marta,
jam niebacznie u nóg tej część żywota strawił.

II

Skromna gminu dziewojo, wynioślej postaci,
z wzniesioną dumnie głową, niby rogi łosie,
z której pelzły warkocze jak dwa żytnie kłosie,
pełna godnej powagi - w gronie władczyń stać ci.

Przy męskim nieco typie kobiecości, w głosie
swobodna od wszelkiej wstrętnej egzaltacji,
więc poprzez ten doczesny życia typ prostaci,
trza przyznać, z jakąś dumą obok ciebie szło się.

Marto moja! Wieśniacza cnotliwa matrono!
Wysokaś, acz ma chata z niziutką powałą,
lecz równa w szczęśliwości pałacom i tronom.

Szara twoja doliczka. Za to dziatwy grono,
które się twą prześliczną piersią wychowało
stanie się, jak tuszymy, nad chlubą i chwałą.

2 II 1935

wybór dr Irena Kulik

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Mieszkańcy XIX-wiecznego
Krasnegostawu

W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego...” pisany pod koniec XIX wieku czytamy, że Krasnystaw był wówczas miastem powiatowym w guberni lubelskiej [...] *połączony z Lublinem szosą, [...] posiada kościół parafialny murowany, cerkiew, szpital na 20 łóżek, dom dla ubogich wdów, sąd pokoju, urząd powiatowy, urząd miejski, stację telegraficzną, stację pocztową, przystań wodną i składy zbożowe, straż ogniową ochotniczą, pięć szkół elementarnych. Z zakładów fabrycznych istnieje tu garbarnia i fabryka mydła i świec. W 1827 roku Krasnystaw miał 355 domów i 2952 mieszkańców, w 1860 było 534 domów i 3882 mieszkań (w tym 153 żydowskich).* Było 25 ulic, pod koniec stulecia 4 większe sklepy i 29 drobnych. Krasnystaw był wówczas miasteczkiem, które miało charakter usługowy.

Miasto tworzyli ludzie. Posiadali konkretne profesje, które dawały im możliwość utrzymania.

Doskonałym źródłem do poznania dziejów Krasnegostawu w XIX wieku są księgi metrykalne, w których oprócz danych osobowych - imię, nazwisko, wiek, status społeczny (parobek, wyrobnik, włościanin, mieszczanin, przedmieszczanin, stanu szlacheckiego), miejsce zamieszkania, odnotowywano także zawód osoby, której dotyczyła metryka, jak i świadków. W szerszym kontekście, krajobraz zawodowy może odzwierciedlić specyfikę danego miejsca - w tym przypadku Krasnegostawu, jego strukturę społeczną, rozwój.

Rozpoczynamy cykl prezentujący mieszkańców XIX-wiecznego Krasnegostawu. Skąd się wywodzili? W której części miasta mieszkali? Czym się zajmowali? W każdym z numerów czasopisma będziemy prezentować historię jednej rodziny, bądź jednej osoby z danej rodziny.

Henryk Heger

Krasnostawska rodzina Hegerów ma niemiecki rodowód. Pochodzili z Drezna. Przybyli na ziemię polskie sprowadzeni przez ordynata An-

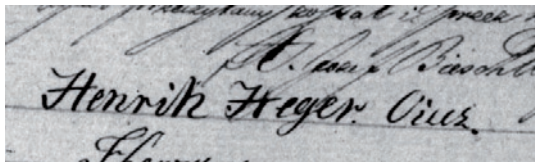
drzeja Zamoyskiego pod koniec XVIII wieku, wraz z kilkunastoma innymi. Cenieni za dokładność, rzetelność i porządek, najpierw osiedli w Zamościu. Nestorem rodu był Fryderyk, który w zamojskiej kolegiacie poślubił w 1786 roku urodzoną w Prusach Elżbietę z Sobutków. W stolicy państwa Zamoyskich utrzymywali kontakt z innymi kolonistami, m.in. Johnertami i Schneiderami. Mieli troje dzieci: urodzonego rok po ślubie Jana Grzegorza, Henryka Zachariasza (ur. 1790) i Karola Teofila (ur. 1792).

Henryk Zachariasz wykształcił się w Zamościu na mydlarza - wytwarzał mydło i inne środki czystości, być może też świece. Następnie je sprzedawał. W zamojskich metrykach występuje w latach 20. XIX wieku. Mieszkał na tzw. Nowym Mieście, w dzielnicy rzemieślniczej, wraz z małżonką Marią Konstancją z Zarzyckich, pochodzącą z zamojskich mieszczan zamieszkałych w mieście co najmniej od XVII stulecia. Tutaj urodziły im się dzieci - Wilhelm Romuald i Ewa Wilhelmina. Nadawane imiona świadczą o potrzebie podkreślenia swojej odrębności narodowej, pomimo że Henryk urodził się już w Polsce. Po 1824 roku zamieszkali Hegerowie w Krasnymstawie. Być może sprowadzili się tutaj (on - z dziada pradziada Niemiec i jego małżonka, „rdzenna” zamościanka wraz z dziećmi), z racji utworzonej w mieście fabryki mydła i świec. Z tym miejscem Henryk Heger mógł łączyć nadzieje na polepszenie warunków bytu swojego i swojej rodziny. Z zawodu był przecież mydlarzem.

Początkowo Hegerowie wynajmowali mieszkanie od Ożogowskiej. Tutaj urodził im się syn Stanisław Wincenty i córka Michalina Justyna. Gdy w 1828 roku zmarła jego pierwsza małżonka, poślubił w Krasnymstawie przed 1830 rokiem Teklę z Kołaczkowskich, której przodkowie mieszkali w pobliskim Jaślikowie, byli właścicielami części wsi. W 1830 r. urodził im się Adolf Alexy Ignacy, w 1831 Augustyn Kajetan, a w 1832 Henryk Rudolf. W 1832 roku zmarła druga żona Henryka Hegera, po kilku miesiącach zmarł roczny Kajetan, a Henryk jeszcze w tym samym roku, w wieku 45 lat wstąpił w związek małżeński z krasnostawianką - 25-letnią Teklą Ordynowską, córką Macieja i Jadvigi Hoffman. Miał przecież do wychowania małe dzieci, którymi szybko musiał się ktoś zająć. Ich

ślub odbył się w krasnostawskiej parafii w 1832 roku. Nadal utrzymywał się z pracy mydlarza.

Pozostawał w znajomości z krasnostawskimi kupcami Samuelem Natropen, Stanisławem Helmakiewiczem i Janem Reymanem. Zmarł w 1833 roku w Krasnymstawie. Owdowił żonę Teklę i troje dzieci Teofila, Romualda i Adolfa - czytamy w metryce jego zgonu.



Henryk Heger był wyznania rzymskokatolickiego, był piśmienny. Podpisywał się zmienioną wersją imienia: „Henrih”, pod koniec życia już jako „Henryk Heger”.

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

Literatura:

B. Chlebowski, *Krasnystaw*, [w:] F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewski (red.), *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, Warszawa 1883, T. IV, ss. 641-642.

Materiały źródłowe:

USC kolegiata w Zamościu, akta urodzonych, 1782 (brak paginacji); 1792 (brak paginacji); 1827, akt 37; 1828, akt 196.

USC parafia św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, akta urodzonych, 1824, akt 53; 1825, akt 195; 1830, akt 93; 1831, akt 126; 1832, akt 53.

USC parafia św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, akta zaślubionych, 1832, akt 93.

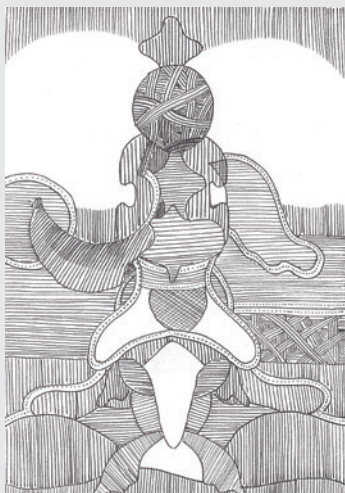
USC kolegiata w Zamościu, akta zaślubionych, 1784 (brak paginacji).

USC parafia św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, akta zmarłych, 1832, akty 16 i 46; 1833, akt 36.

USC kolegiata w Zamościu, akta zmarłych, 1828, akt 354.

**Laureaci XII Konkursu Twórczości Miłosnej
„Ja Cię Kocham, a Ty Pisz!” im. Mariusza Kargula 2019**

I nagroda - kategoria dorośli



rys. Robert Znajomski

Marek Kucak

marzyciele

Justyna w łazience zdejmuję majtki a ja karmię syna
rozmawiam z dziewczyną słucham hitu lata który jest do kitu
patrzę na muchy obsiadające banana i brzoskwinie
tyle głupot nas karmi że nie możemy być normalni

najchętniej przed szaleństwem uciekłbym w Bieszczady
Justyna jest z Cisnej mówi że jedzie do Portalegre
na wymianę studencką z ciepłem kojarzą mi się tylko
prawie nagie ciała młodych kobiet

codziennie oddają się tej samej kobiecie i jest mi z tym dobrze
kiedy ostatnio wracam z pracy na moim łóżku leżą dwie
młode kobiety w przyciętych szortach zwiewnych crop topach
leżą tyłem do mnie i się nie wstydzą (bo jest lipiec)

i ja wcale się nie wstydzę kiedy oglądam z nimi
film *Marzyciele* a Justyna się głośno śmieje

N.N. milczy ostatni raz

spacerowaliśmy gdy wokół latały bomby
ludzkie szczątki maszerowały wojska
Stanów Zjednoczonych Syrii Rosji Iranu
szalała inflacja szły do góry ceny paliw
w kościołach odbywały się kolekty kopertowe

patrzyliśmy sobie w oczy w świecie gdzie
domy nabierały brudu głęboko jak dziecko
pierwsze tyki powietrza aby je zaraz wypłakać
kiedy na salonach brylowały dziwki pieniądze
hity o koszeniu łąk z podtekstem erotycznym
nie było już wiary współczucia prawdy
szlam wylewał się na podłogi
wchodził między palce stóp dziewcząt i chłopców
moczył raczkujące niemowlęta

zakochiwaliśmy się kiedy nie było miłości
w kinach grali tylko horrory
patrzyłem jak przez palce szukasz
kawałka światła niczym dena ryba
cała się trzęsiesz a nie wybiegasz z sali
nasza miłość powiększała się równolegle
do dziury ozonowej średniej temperatury powietrza
sagi *Predatora* i napięcia na Bliskim Wschodzie

dziś mieszkam z tobą chociaż nie lubię
sonetów wolę zrobić śniadanie niż kupić kwiat
po męsku czyli po cichu bo nie znam szaleństwa
w głowie nawet ten wiersz milczę
(babki mówiły że mężczyzna powinien mówić
jak najmniej być niczym deszcz w środku lasu
delikatnie spływać i dawać to coś)

kocham cię chociaż nie umiem
(i mówię to tu ostatni raz)
od erotyków wolę tren od słów milczenie
dlatego mówię ciszą liter w szeregach na baczność
niech w tych literach będzie męski *ordnung*
i nawet mogę nie mówić do ciebie po niemiecku
(cieszę się że nasza miłość powiększyła się równolegle
do długu publicznego o dziecko)

wewnątrz

w tym domu nie ma wojny
kochamy się na krześle
na fotelu
na kanapie
czytamy Humeńiuka czytamy Murakamiego

w tym domu nie ma wojny
kochamy się na łóżku
na stole
na toalecie
a księżyc idzie spokojnie przez noc
księżyc wielki cyc z którego ciągniemy
bezsenność

w tym domu nie ma wojny
nigdy nie dotykałem karabinu
dotykałem piersi
nie spałem twarzą na ziemi
spałem twarzą na niej
nie czytałem *Mein Kampf*
jeden marsz widziałem w telewizji

w tym domu nie ma wojny
kochamy się we ant ryju
na bifyju
przy tyju
a księżyc zagląda do naszej sypialni
wielki cyc z którego ciągniemy
sny o wolności

w ogóle
odkąd nasz dom stał się
małą strefą zdemilitaryzowaną
co noc jest więcej miejsca
na wyobraźnię

(oddziały żołnierzyków poległy błogo
srebrną nitką
na twoim pośladku)

II nagroda - kategoria dorośli

rys. Robert Znajomski

Bartosz Konstrat**czasem tęsknię**

czasem tęsknię za tą miłością, która ma twarz letniego
wieczoru, gdy w zaparkowanym za miastem samochodzie
serwuje się pocałunki długie jak Long Island. czasami
zamykam
oczy i wyobrażam sobie, że naiwność jest lepsza od
rozsądku, że
codziennność można z łatwością rozsadzić młodzieńczym
okrzykiem, rozpaczą po raz pierwszy oszukanych ust. ale
najczęściej
patrzę na twoje zdjęcie na ścianie w przedpokoju, na tę
twarz odporną na działanie czasu. dotykam jej palcem
pobrudzonym
czekoladą i myślę o czymś nieokreślonym, o jakimś
nieistniejącym jeziorze, którego brzegi porastają
rośliny o kształtach przypominających ludzkie dłonie. moje
oszustwo nigdy się nie kończy, ale to dobrze, to dobrze.

i czego chciałeś wtedy

i czego chciałeś wtedy, w tamtym mieście w środku nocy,
w tamtej
chwili ciężkiej od sygnałów karetek i tramwajów hamujących
na pobliskim przystanku, czego chciałeś, gdy z
papierosem w ustach
mówiłeś o wyjeździe nad morze, o paryżu z przesłodzonej
pocztówki. miłość, mój drogi, to coraz częściej ciężar tych
wszystkich wspomnień, to spocone zwierzątko, które
przychodzi
we śnie, a nawet rano nie chce sobie odejść. więc po co
ciągle
dzwonisz, nie masz już przecież klucza do mojego
wnętrza, przemałowałam
ściany, a zamiast zamka mam teraz czarnego psa, jego wzrok
kaleczy, pamiętaj, a jego zęby zabijają jak twoje kłamstwa.

tyle razy byłam dla ciebie

tyłe razy byłam dla ciebie jak uma thurman ze strzykąwką w piersi. wiesz, jakie to poświęcenie? gdy zapomina się o sobie, a żyje tylko tym narkotykiem, którym jest wydychane przez ciebie powietrze? po upojeniu przychodzi rozpacz odwyku, więc stałam godzinami na wietrze jak zapomniana gwiazda filmowa, która próbuje wypłacić się ze swoich ról. teraz będę dla ciebie już tylko królową lodu, poczujesz mój zimny dotyk i przełkniesz się zemsty, obudź się, mój drogi, jest jeszcze szansa, już tyłu przed nami wydostało się na powierzchnię z matni oszustw, które wypowiadają zakłète złudzeniami języki.



rys. Robert Znajomski

III nagroda - kategoria dorośli



rys. Robert Znajomski

Dorota Nowak

obojętność

pęczniej rozrasta się między nimi kamienieje
nogi i ręce zbyt ciężkie by wstać - milczenie
wypuszcza pędy oplata włosy klatkę piersiową
dłonie barki tłumi oddech więźnie w krtani

po wspólnej modlitwie gdy podnoszą się z kolan kolejne paciorki tworząc wszechświat w którym tylko Bóg jeden wie ile mocy potrzeba by ciało stało się słowem i zamieszkało między nimi

codzienny telefon

mamo
masz białko w moczu podejrzane zgrubienie w pachwinie
bez pomocy kul leżałabyś nieustannie w łóżku rozdzielając
koperty - ta dla niej ta dla niego a ta na wszelki wypadek
na dzień w którym świat nie obudzi już w tobie głodu

znów odkładam rozmowę - telefon jak pępowina łączy
nasz ból
unikam rozmów o twoim czekaniu na miejsce w którym kule
zastąpisz skrzydłami a twój mąż zrozumie dlaczego trzeba
jeść
wychodzić na spacer pamiętać imiona własnych i cudzych
dzieci

po pierwszym naszym słowie rozpoznaję ile liści spadło w
ogrodzie
jak bardzo sąsiedzi skarżą się na dźwięki które
bezwiednie wydaje
twój mężczyzna - ten od sadzenia drzew i brawurowej
jazdy ten
od wzlotów i upadków od noszenia na rękach i od
milczenia
zadzwoń a ty odbierzesz

w kawiarni

to było przypadkowe spotkanie zapytałam „ile to już lat?”
a ona siedziała uśmiechnięta inaczej obecna światło
padało
na miejsce po złotych włosach obrzękłe ciało skrywane
pod bluzą
kurczyło się - skutki uboczne po sterydach ale to bez
znaczenia
po szóstej chemii wyniki badań nie pozwoliły na następną
więc teraz jej mąż częściej rozpala w kominku podaje kawę
ale dzisiaj chciała wyjść do ludzi do jesiennej mgły by
zapomnieć
że nie wszystko przed nimi wierzyć że to nie ostatnia
garść włosów
upewniła się czy pamiętam naszą uległość na kursie
asertywności
rozbawienie po wykładzie z analizy oraz to że „miłości nie
kupisz”
jej dzieci nie chcą rozmawiać o guzie łęku sierści na
poduszce -
sumiennie odrobiła z nimi lekcje teraz pomaga im w
wypieraniu



rys. Robert Znajomski

III nagroda - kategoria dorośli

Marcin Sztelak

Biuro porzuconych

Mając problemy z kompozycją traktuję cię dosłownie,
na ile pozwala zakurzony aparat
mowy. Więc przerastamy pomiędzy sekwencjami,
o ile chciałoby nam się uwierzyć w reinkarnację.

Jeśli chodzi o ciebie nie wiem, ale zawsze wierzyłem
w obietnice bez pokrycia, jak łot na księżyc,
czy szczęśliwego nowego roku.

Na marginesie: wieloryby nie płaczą,
z braku kanalików i nie istnieją świetne wiersze,
być może dlatego wypełniamy nieciągłości
spełnieniami, pewni, że stało się tuż przed

ostatecznym zatraceniem. Oczywiście z pominięciem
spóźnienia, ale błędzić jest rzeczą nieobcą.
Szczególnie po

nieprzemyślanych znaczeniach.

Pomiędzy nami

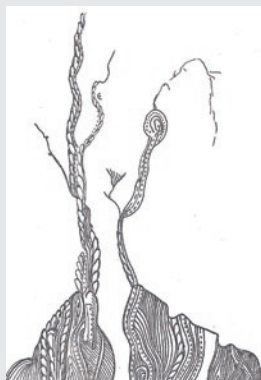
wciąż panuje niecna powtarzalność,
nanizany na cienką nitkę rzęsy zaplątanej
w na wpół przymknięte usta
boję się domknięcia. U

Być może to tylko senność
nadchodzącej zimy okrywa mgłą twoje zdjęcie.
Głos cichnie w zagęszczonym powietrzu,
kroję je o poranku w cienie plasty.

Chociaż to kicz, jednak w kształcie serca,
które tylko dla niepoznaki nazywam
kolorem w talii.

Przecież nie układam pasjansa,
zbyt zajęty zaczytywaniem śladów
po zewnętrznej stronie okna.

Przy którym wciąż wierzę w twoją
letnią sukienkę.



rys. Robert Znajomski

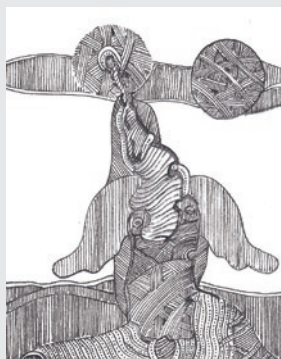
Wykreślanki

Kiedy zamilkną już sny
i splącą się ostatnie słowa
odejdziemy niewspólną drogą.

Na razie uwikłani w kłamstwa
wciąż irracjonalnie wierzymy
w dostępność życia poza
sferą szarości i błękitów.

A świat się ustawicznie chwieje
w naszych rękach, zajętych
wynajdywaniem coraz nowszych
pragnień.

Jednak, całkiem trywialnie:
zbyt mało nas na przeszłość,
za dużo na przyszłość.
W sam raz na trwanie.



rys. Robert Znajomski

Wyróżnienia - kategoria dorośli

Piotr Zemanek

Pani Dobrze Nic

w moim wieku nie będę mógł już pani zrobić tak dobrze
jak byłoby to możliwe
kiedys droga pani. kiedys to ja bym pani zrobił. jeszcze jak
bym zrobił. dobrze

wiem co mogę a czego nie. pani może dobrze robi make
up ale to mi nie pomoże.
my mężczyźni jesteśmy ciągle młodzi. dlatego kochamy
coraz młodsze kobiety.

pani się robi na bóstwo. pani robi się dobrze. pani to ma
dobrze. u pani wszystko
gra. a nawet gra wstępna. pani jest czujna. pani się dobrze
czuje. od tego dobrze

robi się niedobrze. dobrze że pani tego nie czuje co ja.
może pani na mnie nie
liczyć. dobrze. ja na nic nie liczę. leczę rany. o rany. nic
pani nie może. to nic.

Odklejanie

zbliz się do mnie. bądź blisko. ale tak żeby nie bolało.
gdy kamienie zanurzone w ciałach zaczną stygnąć.
mityczne ślady oblepiają je swoimi mackami. trawia.

odrywanie skleionej sensualną wilgocią skóry to będzie
ostateczny rytuał. na nic splatanie ud i toczenie piersi.

zamknij powietrze. dotykałaś skóry płynącą wodą
jakby pień nie był starym drzewem. mogłem mówić.

położyłem krople warg na płatkach powiek. zaśnieźdzały
jak monety które wkładamy pod język i na oczy umarłych.
teraz niosę na rękach milczące ciało. żegluję brzegiem.

Na odejście muzy

tak cicho
i pusto
że
ani słowa
ani ciała



rys. Robert Znajomski

Marzena Jaworska

na wznak

na wznak oświadczasz mi
 że mógłbyś tak leżeć do grobowej deski
 ale krakanie wron budzi upiory
 i czas wstawać
 obok ja zdjęta z krzyża
 opracowuję w głowie strategię
 zostania przy tobie
 bo wydaje mi się to bardziej bezpieczne
 niż patrzeć na innych z góry
 i codzienna walka z lękiem wysokości
 mógłbyś tak jeszcze czasami
 uklęknąć przede mną na grochu
 albo lepiej obok we wspólnej pokucie
 zamiast uparcie wkładać to jedno ziarno
 pomiędzy bajki o jakichś tam księżniczkach

tego dnia

młodzi mężczyźni
 którzy uporczywie dzwonią tego dnia
 starają się mnie zdobyć bankowym kredytem zaufania
 oferują też niezłą jazdę próbą
 wychodzącą właśnie z obiegu renault megan
 gdyby ich wszystkich połączyć w całość
 miałiby około siedemdziesięciu lat
 stary model opła i długie
 zaciągnięte na zapewnienie mi szczęścia
 dlatego w ten nowy rok postanawiam wejść pieszo
 z wyciszonym telefonem ale włączoną aplikacją
 wiary że żadne błędne vibracje
 nie zakłócają mi pracy rozrusznika serca
 teraz napęd dają mu dwie płaskie baterie
 których nie zamierzam wymieniać

po kolei

od pewnego czasu tworzymy sieć nowych połączeń
 poza ustalonym przez PKP rozkładem
 omijamy nieczynne magistrale
 i wchodzimy na nieznane dotąd tory
 nie ma stagnacji
 jest za to ruch świeżego powietrza
 które przenika i pcha nas do przodu
 jasne kolory które masz po swojej stronie
 przechodzą powoli na mnie
 i bardzo prawdopodobne że wkrótce
 być może na jakiejś bocznicy
 stanę się biała jak śnieg
 wtopię w ziemię i odtąd będę częścią
 nie takiej całkiem martwej natury
 mam w kieszeni weekendowy bilet
 i siebie więcej niż do poniedziałku



rys. Robert Znajomski

Agata Wesołowska

BDSM

przyśpieszasz mi oddech
 skrucasz sny
 nie wydłużasz rzęs
 (ten tusz miał być odporny na spermę)
 odkrawasz sutki cytryn
 wysysasz pomarańczową skórę ud
 robisz fisting w sercu

bezkarnie
 jak recydywista
 nawet się nie bronię

Mezuza

pocałuj
zanim wejdiesz
dotknij
palce prawej dłoni
chronię
twoje powroty

Cerkiew

otwieram
carskie wrota
wchodzisz
za ikonostas
ukoronowanie
płynę w cebulasto
wydętej halce
na sam
szczyt

Iwona Świerkula**Romeo**

czy mieszka we mnie jeszcze ta dziewczynka
która chce być ładniejsza o kokardkę na głowie

on jej nie widzi
a gdy się obudzi trzeba będzie mu zrobić jajecznicę na
boczku

jestem Julią
mam lat 53

a on chrapaniem wystraszył stado wskazówek
teraz bezsenne minuty trzepocą o szybę

nasza miłość o smaku kawy bez cukru
zapomniał że kiedyś śpiewał serenady pod balkonem

teraz tylko przez sen fałszuje o młodszej Julii
w obcej Weronie

O Tettigonii Cantans

od nagrzanego muru nie można ciepła oderwać
cisza mamrocze brzęczy komarami
ma szatę zwiewną za ciasne trzewiki
tam gdzie kamienie w mech zawinięte
muzykanci łąkę wynieśli
ale nawet tettigonia nie potrafi ukołysać świata
tylko pająki bezszelestnie tkają minuty
i pasikonik pijany od rosy pociera boki
a my aż do świtu w naszą bliskość zasluchani

Razem czy osobno

ile razy chcesz
tyle razy jestem
choć czasem bywam kolczasta

na obrusie rozlało się wino
w nieregularną piwonię
bo drżały mi ręce

kiedy Ciebie nie ma
podwójnieją pretensje
potrójnieją tęsknota

długo upodobałam się
jak lwica do Lwa
to będzie dobre małżeństwo mówiła swatka

do wrózek nie chodziliśmy
woleliśmy kino i filmy amore
teraz podwójnieją pretensje
potrójnieją wymówki

ale gdy wrócisz
to spoczwiorniej
przebaczenie

Wyróżnienia - kategoria młodzież

Aleksandra Majówka

Dworzec

pociągi w twoją stronę ruszały
nie z mojego peronu
nie w tym kierunku może
albo o innych godzinach niż moje rozkłady
szepotały kasjerce z nadętym uśmiechem

moje nogi ręce dusza odpoczywały w cudzych ekspresach
których progi pieczętował mój obcas
jedwabne motele przelotne romanse brud osadzał się
na czerwonym bagnie pod mostkiem

tłuste perony zmieniały się podobne i nudne
nie ogrzewała ciała aksamitna chusteczka prana tymi
samymi dłońmi
słaba kawa nie pobudzała ust do unoszenia kącików na
widok nowych wagonów
usiadłam na drewnianej ławce przed dworcem

czekam

autostop

samotny przechodzień po drodze
złapany w półścieżki
rozłożył nogi na moich siedzeniach
poplamiał błotem chodnik na podłodze
zabawił mnie rozmową o moim niczym i jego wszystkim
przestawił kanały w radiu
rozlał kawę na wykładzinie
opuścił szyby nie tak jak lubię
i wyjadł wszystkie landrynki ze schowka

trochę za szybko fotele zaczęły pachnieć jego perfumami

trochę za długo jego torby zapelniały mój bagażnik

bryza nie łyży

w portowym hotelu zostawiłam
na szafce nocnej kilka monet dwa banknoty
siedemdziesiąt siedem listów dla ciebie
otwarte szuflady w komodzie
ramkę z kurzu wokół miejsca gdzie stały moje bagaże
parę okruszków codzienności w pościeli

wchodzę na pokład mojego statku
sztyłem do kopert odcinam cumę
udaję że lubię ostry powiew we włosach
i gdy sól na ustach wróży podróż

w kajucie upycham niespisane pamiętniki
zakrywam luft ukrywając się przed
spojrzeniami z innych łodzi szukających przyjaznego portu
żeby nikt nie zauważył że ja
znowu dryfuję

Dominika Liszkiewicz

Słowa

niektóre z nich
gdy im się uważniej przyjrzeć
odkrywają
swoje inne
drugie znaczenia

wtedy te nawet najbardziej serdeczne
na przykład
krewni
niebo
Zbigniew
zaczynają brzmieć zgoła inaczej

a nawet
broczą krwią
przeczą nadziei
budzą gniew

nie dziwcie się więc
że trochę się boję
słowa na
m

bo wiem
że
że je też
można przeczytać
uważniej

Irena Iwańczyk

Podróż przez okrucy losów



Tytuł mojej książki „Człowieczy los” budzi pytanie dotyczące istoty losu człowieka. I tu są różne rozważania na ten temat. Jedni uważają, że los kieruje całokształtem życia. Inni, że dzieje życia człowieka składają się na los, albo że człowiek jest kowalem swego losu. Czyżby? Zastanówmy się, kto ma rację.

Najczęściej ludzie mówią, iż los jest zapisany w gwiazdach. Niektórzy twierdzą, że przychodzimy na świat, już ze z góry zapisanym losem i on decyduje o naszym życiu, przybierając postać wyroków boskich albo zwykłego przypadku. Są też tacy, którzy afirmując życie, uważają, że każdy powinien się cieszyć tym, co dostał od losu, bo jednak los obdarza nas i radością, i smutkiem, więc pomimo wszystko należy aprobować swój los.

Jeśli chodzi o mnie, od dawna interesowały mnie takie problemy jak los człowieka, a w nim szczęście, spełnienie, okrucieństwo, bo przecież zdarza się jakiś irracjonalny los, niezależny od nas samych, bywa, że szczęściem obdarza tych, którzy na to nie zasłużyli. Są też losy, które wynoszą pewnych ludzi wysoko i są ludzie, którzy wynoszą swoich. Idą więc za kimś, kto zapewnia im wygodne życie. Trudno nauczyć się sztuki życia, bo to ona tworzy los. Nikt jej nie zgłębił do końca. Jesteśmy nitkami, które splata życie w różne układy i wzory. Słabi, nadwrażliwi i wyczyszczeni przez innych wypadają z gry. Bywają takie upokorzenia, że jeśli w porę ktoś nie poda ręki - człowiek ginie.

Shczęście sprzyja śmiałym i rozważnym wybrańcom losu. Piętnaście procent ludzi rodzi się z genem szczęścia. Podobno ci ludzie nie dają się pokonać niczemu. Cechuje ich optymizm, pozytywne myślenie, impulsywność, skłonności do ryzykownych posunięć, ale i oni mają wadę - brak cierpliwości do długiego skoncentrowania się nad osiągnięciem celu.

Trzeba żyć i działać, jak się samemu rozumie. Wymagać od siebie, choćby inni nie wymagali. Odgrywać swoją rolę, swoje posłannictwo, również służąc innym, bo wiele w tym światła, piękna,

niezwykłości i poczucia spełnienia. Ale też należy pamiętać, że w dużej mierze mamy wpływ na własny los, bo już od najwcześniejszego okresu życia to jest od dzieciństwa i młodości powinniśmy się przygotować do właściwego życia, tak byśmy byli w wieku dojrzałym i późniejszym z niego zadowoleni, bo młodość rzutuje na całość losu.

„Życie nie jest łatwe dla nikogo z nas, ale co z tego? Musimy być wytrwali, a przede wszystkim wierzyć w siebie. Musimy wierzyć, że mamy do czegoś talent, i że to coś należy osiągnąć za wszelką cenę”. Tak mówiła o życiu Maria Skłodowska-Curie - jedyna kobieta dwukrotna noblistka. W jej rodzinie uzyskano, aż pięć Nobli: Maria dwa, i po jednym Noblu jej mąż Piotr Curie, córka Irena i zięć, mąż córki Ewy, która była dziennikarką.

Dla ks. prof. Czesława Bartnika „życie jest rzucone na ogień przemijania”, druga sentencja tego samego autora - „życie ludzkie jest jak błyskawica i co do tajemniczości, i co do przemijania, i co do krótkości...”. Dla Agnieszki Osieckiej „życie to bał”, dla innych „życie jest ciągłym targowiskiem i wojną”. Trzeba jednak wiedzieć, że ponad wszystkie okrucieństwa losu, człowiek, choć jest mały wzrostem, może być wielki duchem. Ta duchowa energia pozwala mu iść do granic wszechświata, bo człowiek zajmuje w nim centralne miejsce i jest ważniejszy od miliardów gwiazd, gdyż potrafi myśleć i kochać. Dalsze rozważania i refleksje dają do przemyślenia czytelnikom.

W mojej książce staram się przedstawić fragmenty losu różnych ludzi - i tych wielkich, i najmniejszego nawet człowieka, bo scenariusze ich dziejów przekraczają granice ludzkiej wyobraźni i zaskakują swoją niezwykłością i niespotykanym finałem. Obok wielkiej historii istnieje historia w ludzkich biografiach, przeżyciach i krzywdach.

Moje opowiadania są wędrówką przez życie własne, jak też ludzi, których znam i tych, których przypadkiem poznałam. Spośród różnorodnej mozaiki postaci i wydarzeń w mojej książce, na pierwszy plan wysuwają się postaci ludzi takich jak Jan Paweł II, który przekroczył próg człowieczeństwa i wzniósł się na wyżyny świętości, Jerzy Popiełuszko, kapłan „Solidarności” i Benedykt XVI.

Poruszam problemy dotyczące mieszkańców różnych miast, wzorce osobowe wyjątkowych postaci: kapłanów, lekarzy, nauczycieli i przypad-

kowo spotkanych ludzi w różnych miejscach. Ich relacje o meandrach losu dały mi materiał, którym staram się zainteresować czytelników. Dużo miejsca poświęciłam na afirmację życia, pomimo tragedii losu, egzotykę i piękno świata, podróże w nieznane, gorycz życia ojca i dziecka, spotkania po latach, pokonanie trudności, które wydają się nie do pokonania, a także wydarzenia z własnego życia i mojej rodziny. Są w tych opowiadaniach chwile radosne, tragiczne i smutne - różne.

Mam nadzieję, że czytelnicy odnajdą w nich siebie, zaczerpną szerszą wiedzę o człowieku i zdobędą nowe doświadczenia. Zachęcam do realizacji marzeń, pasji i doskonalenia siebie, a wtedy los odsłoni dobre oblicze. I na koniec przytaczam pieśń o losie, którą napisała Alina Nowak, a śpiewała ją Anna German:

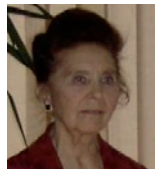
*Człowieczy los nie jest bajką ani snem.
Człowieczy los, jest zwyczajnym, szarym dniem.
Człowieczy los niesie z sobą żal i łzy.
Pomimo to, można los zmienić w dobry lub zły.*

*Uśmiechaj się,
do każdej chwili, uśmiechaj,
na dzień szczęśliwy nie czekaj,
bo kresu nadejdzie czas.
Nim uśmiechniesz się chociaż raz.*

*Uśmiech odsłoni przed tobą
siedem codziennych cudów świata.
Tęczowym mostem zaplonie nad dniem,
co ulata.
Marzeniom skrzydeł doda,
wspomnieniom urody.
Pomoże strudzonemu pokonać przeszkodę.
Uśmiechaj się, uśmiechaj się!*



Irena Iwańczyk



Gorycz życia dziecka

Dzisiejszy reportaż poświęcam trzem pokoleniom dzieci, których los okazał się tragiczny.

A oto wydarzenia z początku XX wieku. Opowiedział mi je Michał Malczewski - 85-letni mężczyzna. Oddaję mu głos. - *Proszę pani, teraz dzieciom jest bardzo dobrze. Rodzice rozpieszczają je, stroją, kształcą, zabiegają o nie. Za moich lat było zupełnie inaczej. Gdy miałem 5 lat, pasłem krowy. Później chodziłem do pracy w pole. W szkole byłem najlepszym uczniem. Nauczyciele namiętni ojca, by oddał mnie do szkół, ale nie było pieniędzy. Nie było też co jeść, ani w co się ubrać. W wieku 11 lat chodziłem do pracy zarobkowo. Jednak, dzięki Bogu, przeżyłem do dziś.*

Gorzej było z moim kolegą Józkiem Kociółkiem, który chorował na gruźlicę. Na wsi uważano, że chory nie powinien nic jeść, straszne było zaco-fanie. Pamiętam, kiedyś poszedłem go odwiedzić. W domu był tylko Józek. Zastałem go ledwie trzymającego się na nogach przy kuchni. Wziął łyżkę i zaczął szukać w garnkach jedzenia. Na to wszedł jego ojciec. Jak nie wrzaśnie: „- Do łóżka, ty gamoni-u, a nie szczelękać mi po garnkach! Chory ma leżeć, a nie jeść!”. - Biedny, wychudzony chłopiec, ze łzami w oczach, wgramolił się na łóżko. Podczas następnych odwiedzin Józek ożywił się nieco. Z trudem wstał z łóżka i mówi: „- Michaś, ojciec kupił mi w mieście garnitur na śmierć i papierowe pantofle. Pomóż mi, to przymierzę. Zobaczysz, czy mi ładnie.” - Przytrzymałem go, a on z trudem wkładał spodnie i marynarkę, później pantofle. Był to w jego życiu pierwszy i ostatni garnitur. Oparł się o ścianę i zapytał: - No, jak? Ładnie wyglądam?” „- Bardzo ładnie. Jak jakiś święty” - odpowiedziałem. Józek wcale nie rozpacział, pogodził się, że w wieku 11 lat umiera. Po dwóch tygodniach zmarł. Myślę, że do jego śmierci przyczyniła się nie tylko choroba, lecz głód. On zmarł z głodu. Rodzice Józka nie płakali, mieli jeszcze pięcioro dzieci. A mnie się serce z bólu krajało, bo od dziecka byłem wrażliwy. Minęło tyle lat, a mój kolega na zawsze pozostał mi w pamięci.

Autorka

Chłopcem, którego dzieciństwo i młodość przypadły na lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia jest Wacław Czeremski. Jego rodzina składająca się z 4 osób - rodziców i starszej siostry Marysi, zajmowała jednoizbowe mieszkanie, gdzie zamiast podłogi było klepisko. Ojciec - szewc miał przytępiony słuch i bardzo mało zarabiał. Matka najmowała się do pracy w polu. Idąc na zarobek, zabierała ze sobą do koszyka podstawowe produkty spożywcze, aby coś zostało do zjedzenia na następny dzień. Gdy inni szykowali na święta ciasto i wędliny, Czeremscy zadawali się tym, co przyniosła któraś koleżanka córki. Marysię karmiły jej przyjaciółki, natomiast Wacek był najczęściej głodny. Z wyдутym brzuchem zupełnie przypominał Janka Muzykanta. Choć w domu nie było stołu, dzieci bardzo dobrze się uczyły. Wacek miał same piątki, nauczyciele i koledzy byli nim zachwyceni. Świetnie zdał egzamin do szkoły średniej. W I klasie liceum dość dobrze sobie radził. Chodził do szkoły pieszo z miejscowości odległej o 6 km. Gdy był w II klasie, jego siostra, już mężatka, urodziła dziecko, a że pracowała zawodowo, więc matka zamieszkała u córki, by bawić wnuka. Wacek został z głuchym i biednym ojcem. Zdani byli na własne siły. Nadal uczęszczał do szkoły, był jednak bardzo słaby fizycznie, a nauczyciel wychowania fizycznego miał bzika na punkcie swojego przedmiotu. Wymagał forsownych ćwiczeń, którym Wacek nie mógł podołać. Wuefista wyzywał się nad nim, drwił i kpił z chłopca, podchwycili to rówieśnicy, zrobili z niego ofiarę. Ambitny i zdolny uczeń załamał się. Zamknął się w sobie do tego stopnia, że w ogóle nie odzywał się, unikał ludzi. Przestał chodzić do szkoły, siedł w pole lub do lasu. Przez kilka lat do nikogo nie odzywał się. Wkrótce zmarł.

Ostatnia historia losu dziecka dotyczy bardzo bliskich nam wydarzeń, a było ich kilka w naszym mieście i okolicy. I choć obecna troska o dzieci, jak mówił pan Michał Malczewski, jest wielka, a i warunki lepsze, świadomość także wysoka, nawet dzieci ze szkoły podstawowej popełniają samobójstwa. Tomek chodził do VI klasy, dobrze się uczył, ale po dyskopatii wyrósł mu garb. Wszyscy przezywali go Garbusiem. Nie miał przyjaciół, uciekał w świat książek. Nawet rodzice nie okazywali mu serca, wprost przeciwnie,

gardzili nim, nie nazywali go po imieniu, lecz tak, jak wszyscy zwracali się do niego „Garbus”. Trzynastoletni chłopiec nie wytrzymał napiętnowania, drwin, przezwisk i samotności. Choć dookoła byli ludzie - powiesił się.

Z powyższych przykładów wynika, że choć mijają epoki, dramat trwa, a nawet się pogłębia. Dawniej dzieci umierały z chorób i głodu, ale nie popełniały samobójstw. Dziś dzieci same z premedytacją popełniają desperackie czyny. Przyczyny są różne, czasem zbyt wielkie wymagania stawiane przez rodziców w stosunku do nauki dziecka, innym razem brak zainteresowań dzieckiem ze strony rodziców albo panujący alkoholizm w rodzinie. Bywa też, że sukcesy rodziców przerastają dzieci. A samotność i bieda towarzyszą wszystkim okresom. Swoją reportaż poświęcam pamięci Józka, Wacka, Tomka oraz tym wszystkim, których spotkał podobny los. A przecież i dla nich świeci słońce, rozkwita kwiat, śpiewa ptak, ale ich już nie ma. Odeszli... Apeluję przede wszystkim do rodziców. Bądźcie przyjaciółmi swoich dzieci na dobre i na złe, bo dzieciństwo i młodość rzutują na całe dorosłe życie. Nigdy nie traćcie z nimi kontaktu duchowego. Przypominam też nauczycielom, że młodzież jest przyszłością narodu. Ważne jest jej zdrowie fizyczne i psychiczne, chrońmy ją od stresów.



Wacław Czyżewski i jego siostra Maria Czyżewska-Bryk.

Irena Iwańczyk

Miroslaw Iwaniczuk



Herosi wyklęci

Wychowani w miłości do Polski,
wybrali wierność ideałom,
na relikwie ojczyste przysięgali.
Rycerze wolności i honoru,
charyzmatem bohaterstwa
namaszczeni,
za cenę życia walczyli o wolną Polskę.
Zrywali z niej pęta czerwonej niewoli,
rzucali rękawice sowieckiej przemocy.
Bronili wsi, miasteczek
przed czerwoną zarazą.
Tropieni, odstrzeliwani jak dzikie zwierzęta,
żyli w lasach prawem wilka.
Zakopywani warstwami w bezimiennych dołach,
zabijani słowem,
rugowani z narodowej pamięci,
przez lewackich zbrodniarzy wyklęci.
Ich groby w końcu przemówiły
i prawdą o katach krzyczą.
Dziś herosów niezłomnych
zmarłych wstają cienie,
maszerują w tyralierze na rajskich wrzosowiskach.

Zapora nieulekły

(Major Hieronim Dekutowski)

W cichociemną noc
zrzucony,
za ojczyzną stęskniony,
spadł na spadochronie
w Polsce zniewolonej,
by jej ziemi bronić,
przeciw Trzeciej Rzeszy
zbrojny opór stworzyć.
Walczył dzielnie
Jak szalony,
nacierał z każdej strony.
Dwustu chłopców uzbrojonych,
poszło za nim na bastiony.
W boju był opanowany,
rozbił Niemców wiele razy.
Później Sowieci się pojawiali,
z nim się major też rozprawił.
Hordy czerwonych
były coraz większe,
lecz on walczył nieulekłe.

Atakował w kilku
miejscach naraz.
Odskakiwał od wroga,
by uderzyć zaraz.
Z obozów ubeckich
więźniów wyzwalał
zdrajców chłostą karał.
Oddział Zapory długo
był niepokonany,
póki major nie został
podstępnie schwytany.
W katowni ubeckiej
zachował męstwo,
przed śmiercią powiedział:
przyjdzie zwycięstwo!

Łupaszko nieustraszony

(Zygmunt Szendzielarz)

Mknie galopem na wronym koniu,
na czele swego szwadronu,
prowadzi go w bój szalony,
gromi sowieckie bataliony.
Nagle w leśne ostępy zapada,
by ruszyć na wroga z rana.
Nieuchwytny, jak Hannibal sprytny,
sieje grozę wśród czerwonych,
przed ubecją ludzi broni.
Rozbija garnizony wroga,
zdaje się, że nikt go nie pokona.
Każdego zdrajcę, co rodaków morduje,
bezwzględnie, tropi, ściga i likwiduje.
Łupaszkiem żołnierze go nazywali,
za czyny bohaterskie ubóstwiali.
Był dla nich nieustraszony,
szły za nim w ogień szwadrony.
Gdy z rąk zdrajców zginać mu przyszło,
on tylko czapkę mocno nacisnął
i rzekł do żołnierzy: „Panowie, z Bogiem”
i wyszedł z celi.
Stanął ze spokojem przed egzekucyjnym plutonem.
Tak Łupaszko poległ, za Polskę z honorem.

Mężna Inka

(Danuta Siedzikówna)

Jak Dziewica Orleańska
przed zbrodniczym sądem,
samotna i bezbronna,
naprzeciw
ubeckich demonów.
Torturowana
przez czerwone bestie
nie powiedziała nic.
Do babci napisała:
Zachowam się
jak trzeba.
W myślach
powtarzała bezustannie:
Za Polskę, za Łupaskę,
za żołnierski honor
ścierpię każdą mękę,
muszę przetrwać kaźń,
nie wydam przyjaciół,
co walczą o wolność
z komuną czerwoną.
Biczowana, kopana
milczała z uporem.
Wyrok śmierci
ją nie strwożył.
I stanęła hardo
przed ubeckim plutonem,
bohaterska dziewczyna,
prawie dziecko,
w letniej sukience
zakrwawionej.
W swej odwadze
była wielka,
niemal święta.
Spojrzała z pogardą
w ślepią zgrai.
Przed strzałem krzyknęła:
Niech żyje Polska!
Niech żyje Łupaszko!
I skoła mężna Inka
za ojczyznę z honorem.

Rotmistrz heroiczny

(Witold Pilecki)

Rotmistrz tajnej armii
dobrowolnie
poszedł do Auschwitz.
Dał się aresztować,
by bliźnich ratować,
by powstrzymać Holocaust
Żydów bezradnych.
W piekle kaźni konspirował,
o niemieckim bestialstwie,
raport światu ofiarował.
Natchniony własnym męstwem
na barykadach Warszawy
zapłonął bohaterstwem,
reduę Woli obronił.
Odwagą szacunek zdobył,
w walce był zawsze sobą,
jego dewizą był honor.
Odważny do szaleństwa
skoczył w tygiel komuny,
w czerwonych matecznik ponury,
by Polski bronić,
swych przyjaciół chronić.
Wziął na siebie ich kary,
okrutnie torturowany.
Niczym Chrystus cierpiał mężnie,
każń swą przetrwał
dzielnie i chwalebnie.
Najdzielniejszy człowiek świata,
wierny Bogu i ojczyźnie.
Zwyciężył oprawców heroizmem.



rys. Robert Znajomski

Mikołaj Kalisz



Uczeń klasy VII Szkoły Podstawowej im. ks. Jana Twardowskiego w Siennicy Nadolnej (ur. w roku 2005). Wszechstronnie uzdolniony, interesuje się literaturą, czyta głównie książki o tematyce fantastycznej. Zainteresowany sztuką plastyczną (sam rysuje i maluje) i grafiką komputerową. Ma bogatą wyobraźnię, lubi opisywać rzeczywistość. Pisanie sprawia mu przyjemność. Interesuje się możliwościami języka, lubi gry i zabawy słowne.

Mikołaj Kalisz

Wieżenie bez krat. Dzień z życia Sybiraka

Ze snu wybudziła go wysoka gorączka. Czuł okropne pulsowanie w czaszce, jakby jego głowa miała zaraz wybuchnąć. Za nic nie chciał wstawać. Wolał leżeć na łożu pełnym pluskiew, niż wyjść na zewnątrz. Tutaj przynajmniej było mu ciepło. Mały piecyk wystarczająco ogrzewał pomieszczenie, by w nocy nie musiał kulić się z zimna. Ale wiedział, że musi. Wiedział, że choroba wcale go nie usprawiedliwia. Zdążył się do tego przyzwyczaić.

Niechętnie usiadł na zbutwiałym materacu i złożył ręce do modlitwy. Każdego dnia od czasu, kiedy tu przyjechał, prosił o to samo. Chciał, by jego męka się skończyła. Chciał opuścić to miejsce i nigdy już tu nie wrócić. Nie obchodziło go, jak to się stanie. Wszystkie sposoby były dobre. Nawet śmierć.

Po kilku minutach wyrwał się z zamyślenia. Spojrzał na gliniane ściany, które, gdyby nie piecyk, byłyby marną ochroną przed zimnem. Popatrzył na rozpadającą się szafę, stół i dwa w podobnym stanie krzesła, które stały na wyłożonej deskami podłodze. Były to jedyne elementy wystroju całego domu. Nie potrafił, a nawet nie chciał sobie przypomnieć, jak wyglądało jego dawne mieszkanie. Wiedział, że sprawiłoby mu to tylko niepotrzebny ból. Wstał. Powoli udał się w stronę miejsca, gdzie trzymał resztki żywności. Nie było tego wiele. Zjadł śniadanie składające się z dwóch czerstwych kromek chleba, które popił wodą z roztopionego śniegu. Nie mógł sobie pozwolić na więcej, inaczej nie miałby co jeść przez resztę dnia. Po posiłku podszedł chwiejnym krokiem w stronę szafy. Otworzył skrzypiące drzwi i zaczął na siebie nakładać kolejne warstwy ubrań. Mdlilo go na samą myśl o wyjściu, lecz nie miał wyboru.

Otworzył drzwi i poczuł na twarzy uderzenie mroźnego wiatru. Powoli zaczął iść wydeptaną ścieżką w stronę lasu, gdzie codziennie chodził, by pracować przy wycince drzew. Przed sobą zobaczył jakąś postać idącą w tym samym kierunku, co on. Spojrzał za siebie - nie zobaczył nikogo. Wiedział, co to oznacza: wyszedł jako ostatni. W przeciwnym razie zobaczyłby niedaleko innych ludzi idących do pracy.

Osada, w której mieszkał, składała się z kilkunastu wybudowanych niedaleko od siebie domków podobnych do jego. Otaczały ją jedynie wzgórza i pojedyncze drzewa, nic więcej. Jedyne w odległości około pół kilometra rósł wielki las. Wszystko to razem wzięte stanowiło dość ubogi w szczegóły, ale malowniczy pejzaż zniszczony jedynie przez ludzkie cierpienie.

Po blisko półgodzinie dotarł na miejsce. Poczuł unoszący się w powietrzu zapach sosny. Uwielbiał ten zapach, te wysokie drzewa tworzące piękny las. I gdyby nie fakt, że przychodził tu codziennie, by pracować, uważałby to miejsce za swój drugi dom.

- Ty, Piotrek, co tak późno? - głos kolegi wyrwał go z zamyślenia. Dopiero teraz zauważył tych wszystkich ludzi poruszających się tam i z powrotem. Jedni nosili kilkumetrowe kłody, inni w parach wycinali drzewa. Zobaczył dzieci noszące o wiele od siebie większe deski, co sprawiało

im ogromną trudność i widoczny ból. Właśnie za to najbardziej nienawidził Syberii. Rosjanie zmuszali do pracy każdego. Nie obchodził ich ból, czy czyjeś cierpienie. Nie wyglądało na to, żeby w ogóle mieli dusze.

- Ej, pomożesz mi, czy nie? - spojrzał na kolegę i lekko kiwnął głową. Podeszedł do drzewa, przy którym stał i razem podnieśli dużą piłę.

- Dobra, to zaczynamy.

Pociągnął piłę w swoją stronę i od razu złaapał się za głowę. Oparł się o drzewo i stanął w bezruchu z pochyloną głową.

- Nic ci nie jest? - zapytał towarzysz niedoli.

Wziął kilka oddechów i spojrzał na kolegę.

- Nie, nic - odpowiedział cicho. - Zetniemy w końcu to drzewo.

Skłamał. Nie chciał powiedzieć, co mu tak naprawdę jest. Wołał to zatrzymać dla siebie. Nie zastanawiał się ani chwili, czy dobrze postępuje. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział o jego słabościach... By ktokolwiek okazywał mu współczucie.

Każdy kolejny ruch piłą wywoływał następne fale bólu. Starał się tego nie okazywać. Dalej wykonywał swoją pracę, nie zważając na pytające spojrzenia kolegi. Nagle usłyszał jakiś całkiem odmienny dźwięk. Nie wiedział, czy to złudzenie wywołane chorobą, czy coś prawdziwego. Podniósł wzrok na kolegę, który zaprzestał cięcia drzewa i patrzył na coś, co było daleko przed nim. Po chwili zrobił to samo.

Zobaczył kilka jadących w szeregu powozów ciągniętych przez konie. Z dali dało się słyszeć okrzyki w obcym języku.

- Rosjanie? - zdziwił się wysoki mężczyzna niosący długie deski.

- Wywożę kolejną partię w głąb Syberii - rzekł drugi.

- Zapewne zatrzymają się u nas na krótki postój - powiedział kolega Piotra, który odszedł od niego, by lepiej przyrzeć się wozom.

Było to bardzo prawdopodobne. Rosjanie często zatrzymywali się w tych okolicach na krótki postój. Gdyby wywożeni ludzie mieli trafić akurat do ich wioski, wozy jechałyby z zupełnie innej strony, o czym wiedzieli wszyscy mieszkańcy. W pewnym momencie wszystkie wozy stanęły. Pracownicy, kuszeni ciekawością, podeszli bliżej. Stanęli między drugim i trzecim wozem i w milczeniu przy-

glądali się całej scenie. Z konia z samego przodu zsiadł pulchny Rosjanin i zawołał coś do swoich towarzyszy. Ci rozproszyli się jak mrówki i zaczęli chodzić między wozami.

- Wsie żywi? - zawołał po chwili jeden z nich.

To samo pytanie dało się słyszeć z wnętrza każdego wozu. To była ich podstawowa czynność. Podczas trwania wywózki wcale ich nie obchodziło, że ludzie głodują, czy chorują. Chcieli tylko wiedzieć, czy ktokolwiek zmarł, by nie wieść niepotrzebnie zwłok.

Dotąd żaden Rosjanin nie znalazł w żadnym wozie martwych ludzi. Dopiero, gdy jeden z nich wszedł do wozu, przed którym stali mieszkańcy osady, z jego wnętrza dało się słyszeć pełen rozpacz kobiety płacz. Rosjanin zmarszczył brwi i wszedł głębiej. Chwilę potem z wozu wydarł się głośny krzyk kobiety.

- Nie, proszę!

- Uspokujtes! - wrzasnął Rosjanin.

Wtem krzyk kobiety się nasilił, a Rosjanin wyszedł z wozu, trzymając pod pachą zawiniątko. Kobieta wybiegła za nim i starała się odebrać mu to, co siłą jej zabrał. Lecz on nie reagował, tylko szedł w kierunku swojego szefa.

- Adin nieżywy! - krzyknął. Dopiero wtedy wszyscy zauważyli, dlaczego kobieta płakała. Rosjanin trzymał w rękach jej dziecko. Zmarznięte niemowlę daremnie chowane przez matkę w wielu warstwach tkaniny.

- Oddaj mi je! - krzyknęła z bólem kobieta i rzuciła się na mężczyznę.

- Kaniec! Migom! - krzyknął. Lecz zrozpaczona matka nie przestała. Zaczęła szarpać Rosjanina za rękaw i zaniósła się jeszcze większym płaczem.

Wtedy ten odepchnął kobietę, tak że ta upadła na ziemię. Wyciągnął pistolet i strzelił do skulonej postaci zalanej łzami. Jej ciało upadło bez ruchu, a na śniegu pojawiła się duża plama krwi.

Ludzie zaczęli poruszać się niespokojnie, powoli odsuwali się do tyłu.

- Szto widitie? Zakopat! - krzyknął do ludzi Rosjanin, po czym rzucił dziecko w stronę jego matki. Podeszedł do swojego szefa i po złożeniu raportu wsiadł na konia. Wozy odjechały.

Ludzie zebrali się wokół bezwładnych ciał. Jedni odmawiali modlitwy, inni płakali, a niektórzy

po prostu wpatrywali się z osłupieniem w ciało niemowlęcia leżące w ramionach załzawionej matki.

Piotr czuł, że robi mu się coraz bardziej niedobrze. Mdlilo go na ten widok. Jeszcze bardziej rozboleła go głowa. Cały świat zaczął jakby wirować. Powoli zamknął oczy. Potem upadł. Jedyne, co zdołał zapamiętać z tamtego wydarzenia to okropny ból i przerażone spojrzenia ludzi, którzy nie mieli pojęcia, co robić.

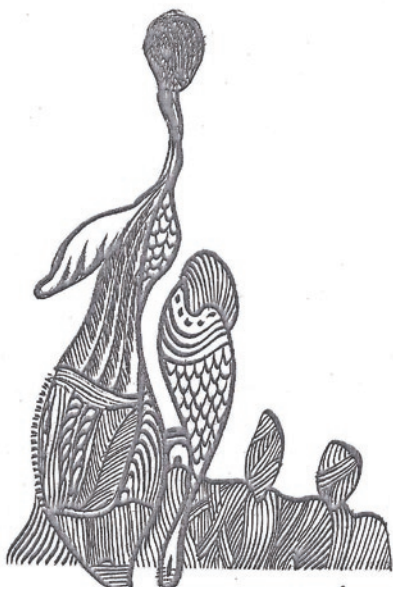
Wieczorem obudził się w swoim łóżku. Pomyślał o wszystkim, co przytrafiło mu się w tej okropnej krainie... co spotyka wszystkich, którzy tu trafiają... Zamknął oczy i cicho zapłakał.

Mikołaj Kalisz

*Uczeń klasy VII Szkoły Podstawowej
im. ks. J. Twardowskiego w Siennicy Nadolnej*

Inspiracja: Instytut Pamięci Narodowej, Na nieludzką ziemię - sowieckie deportacje Polaków na Sybir.

Norbert Ziętał, *Jak Sowietci wywieźli nas na Sybir* [w:] „Reportaże 78. rocznica masowej deportacji obywateli polskich w głąb Związku Sowieckiego” [w:] dzieje.pl/aktualności/rocznica-masowej-deportacji...



rys. Robert Znajomski

Grzegorz Pelczyński

Numer 526134

Wiele różnych rzeczy znaleźć można na starych strychach. Ilona znalazła pudło na kapelusze, a w nim poślódką karteczkę zapisaną po niemiecku, z numerem 526134.

Od razu domyśliła się, co to jest. Los loteryjny prababki. Rok wcześniej odnalazła jej dziennik, w którym pisała o podróży do Hesji, o nabyciu losu i wygraniu 100 talarów. Okoliczności zmusiły ją jednak do szybkiego opuszczenia Hesji, więc nie zdążyła odebrać wygranej.

Jakis czas potem Ilona opowiedziała o tym znajomemu adwokatowi.

- Powinnaś koniecznie zwrócić się do Międzynarodowego Trybunału Rewindykacji Nagród Loteryjnych - poradził szczerze. - Może uda ci się coś zyskać.

Skorzystała z jego rady. Po dwóch latach przybył z Genewy, gdzie Trybunał miał swą siedzibę, specjalny wysłannik. Ten przesłuchał ją dokładnie, a po za tym zrobił kopie losu i dziennika, których autentyczność potwierdził ekspert i dwóch notariuszy.

- To bardzo trudna sprawa - powiedział na odjeźdnym. - Nie ma już Księstwa Hesji, nie ma loterii, na której zmarła krewna wygrała. Musi pani uzbroić się w cierpliwość.

Ilonie nie brakowało cierpliwości. Ale też w ciągu następnych lat miała mnóstwo problemów, którym musiała sprostać. Zdarzało się, że przez długie miesiące ani razu nie pomyślała o rzeczonym losie. Jednakże w mniej absorbujących czasach znowu sobie o nim przypominała.

Była już starą kobietą, kiedy Trybunał Rewindykacji Nagród przysłał do niej kolejnego wysłannika.

- Pani starania zostały uwieńczone sukcesem - oznajmił uroczyście. Oto wygrana, którą pani dziedziczy.

Ilona dostała 700 złotych, tyle teraz było warte dawne 100 talarów. Jednakże bardzo się ucieszyła. Właśnie zbliżały się urodziny jej prawnuczki. Dziewczynka marzyła o dużej lalce, która kosztowała właśnie 700 złotych.

Bažantowski

- Dzień dobry. Nazywam się Bažantowski
 - przedstawił się młody człowiek.
 - Bažantowski? - dyrektor cyrku zmarszczył brwi. - Czy pan jest z rodziny tych słynnych...
 - Artystów? - dokończył przybyły. - Tak, należę do tej rodziny.
 - W młodości występowałem z Adamo - pochwalił się cyrkowiec.
 - To był mój dziadek.
 - Znakomity akrobata. A później także trener.
 - Ale już nie tak znakomity - stwierdził ze smutkiem wnuk rzeczzonego.
 Dyrektor nic nie powiedział, nie chcąc kontynuować przykrego tematu. Starego Bažantowskiego podczas występu rozszarpały lwy.
 - Natomiast nie miałem okazji poznać pana ojca. Słyszałem, że wyjechał do Ameryki.
 - Wyjechał, z woltyżerką.
 - Pana matka była woltyżerką?
 - Nie, moja matka była asystentką prestidigitatora.
 - Już sobie przypominam! - dyrektor miał pomysł na zmianę tematu. - Jej brata, skutego kajdanami, zamykano w beczce, którą wrzucano do akwarium pełnego piranii. A on, mimo to, się uwalniał.
 - W zeszłym roku się nie uwolnił - w głosie młodzieńca znów zabrzmiał smutek.
 Dyrektor ponownie nie wiedział, co powiedzieć.
 - Kiedyś, w naszym cyrku - zaczął nieśmiało - pracowała jedna Bažantowska. Nie była jednak artystką, tylko kasjerką.
 - To cud, że lekarzom udało się poskładać ciocię, gdy spadła z trapezu.
 - Ma pan rację, ma pan rację - powiedział dyrektor, pewny, że znowu powiedział coś, czego nie powinien. Ale zaraz potem wydało mu się, iż nareszcie wie, jak wybrnąć z trudnej sytuacji:
 - A pan w czym się specjalizuje? - zapytał.
 - Ja, proszę pana...
 - Nie! Niech pan nie mówi. Sam zgadnę: Wysoki, smukły, o mocnych dłoniach. Jest pan bez wątpienia akrobatą. Prawda?

Na krótko zapadła cisza.

- Niestety, nie - Bažantowski rozłożył ręce.
 - Nie jestem wcale artystą. Jestem agentem ubezpieczeniowym i chciałbym przedstawić niezwykle korzystne oferty ubezpieczeń od nagłych wypadków.

Zoo

Wychowałem się w pobliżu ogrodu zoologicznego, który mieścił się tam, gdzie potem park miejski. Dwadzieścia lat temu ówczesny burmistrz zlikwidował zoo, a właściwie przekształcił w zwykły park. Sprzedano wtedy wiele zwierząt, wiele też rozdano, niektóre zaś wskutek tej rewolucji poumierały. Pamiętam martwego wielbłąda, którego wywożono na ciężarówce.

Zeszłej jesieni, pewnego wieczoru szedłem przez park miejski. Niespodziewanie minął mnie jakiś starzec. Kiedy byłem już w domu uświadomiłem sobie, że miał on na sobie uniform pracowników nieistniejącego od dawna ogrodu zoologicznego. Gdyby przed laty burmistrz nie podjął kontrowersyjnej decyzji - pomyślałem - ów pan może jeszcze by pracował w zoo, a w każdym razie nie błądził smutny po parku, który je zastąpił.

Wkrótce w tym samym miejscu znów spotkałem tego człowieka. Bynajmniej nie błądził po parku, tylko szedł szybko, patrząc przed siebie. Podążyłem za nim. Staruszek wszedł między kilka rozłożystych dębów i spojrzał w górę. Potem wyciągnął rękę, na którą po chwili sfrunęła sowa śnieżna. On pogłaskał ją czule, po czym wyciągnął z kieszeni jakiś smakołyk i podał jej wprost do dzioba.

A więc ogród zoologiczny nie całkiem został zlikwidowany. Przetrwało jeszcze jedno zwierzę i jego opiekun.

Wiosną wygrałem wybory na burmistrza naszego miasta. Niebawem wydałem rozporządzenie o odbudowie zoo, które w pełni zaakceptowała rada miejska. Opiekuna sowy śnieżnej mianowałem dyrektorem.

Mucha

Właśnie kończyła się kolacja, gdy nad stołem coś zabzykało.

- Co to? - spytał syn.

- Mucha - odpowiedziała córka.

- Zimą?

- Tak, tak - podjęła się wyjaśnienia żona. -

Muchy zimą zapadają w sen i czasami się budzą.

Mucha zniżyła lot, a potem nagle wylądowała na talerzu syna. Zainteresowały ją resztki jedzenia. Lecz po chwili przeniosła się na talerz żony. W końcu odleciała nie wiadomo dokąd, pobzykując radośnie.

Odtąd zjawiała się co wieczór, zawsze chętnie przyjmowana. Każdy zostawiał jej odrobinę stawy i był zadowolony, jeśli zwróciła na nią uwagę.

Niestety, pewnego razu nie przyleciała. Nikt na to nie zareagował, choć zauważyli wszyscy. Ale jej absencja powtórzyła się następnego dnia. Gdy zaś po tygodniu muchy wciąż nie było, wywiązała się dyskusja.

- Jak myślicie, co się stało z naszą muchą?

- zadała pytanie córka.

- Przecież zaczęła się wiosna. Mucha mogła wylecieć przez otwarte okno. Środowiskiem życiowym much nie są siedziby ludzkie.

- Może postanowiła założyć własną rodzinę.

- Albo zestarzała się i zdechła.

Przedstawiano różne poglądy na tę sprawę. Niektóre były zupełnie nierozsądne, nikomu to jednak nie przeszkadzało. Tak czy owak cała rodzina miała nadzieję, że mucha jest teraz szczęśliwa, bo wszyscy bardzo ją pokochali.

Wiarołomstwo

Arnold z niecierpliwością przemierzał pokój hotelowy. Czekał.

Wreszcie usłyszał stukanie do drzwi. Serce zabiło mu mocniej, niezwłocznie poszedł otworzyć. Ale na progu stał jakiś mężczyzna w uniformie, jaki nosiła tutejsza obsługa. Jego podniecenie od razu osłabło.

- Nie powinien pan czekać na tę kobietę - odezwał się przybyły. - Przecież ona ma męża, a pan ma żonę.

- Kim pan jest? - zapytał zdziwiony, a jednocześnie przestraszony. Był bowiem pewien, że nikt nie wie, na kogo czeka i w jakim celu.

- Jeszcze jest czas, by się wycofać. Potem będzie za późno - nie dodawszy już nic więcej, odszedł pozostawiając Arnolda w osłupieniu.

Tymczasem Cecylia dojeżdżała taksówką do hotelu. Wydawało jej się, że taksówkarz jedzie wyjątkowo wolno.

- Nie powinna pani spotykać się z tym facetem - powiedział niespodziewanie kierowca - on żonaty, pani mężata.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem. Z budynku wyszedł Arnold. Przez chwilę stał bez ruchu, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym spieszenie zaczął się oddalać.

- Proszę spojrzeć - uśmiechnął się taksówkarz - on też tak sądzi.

Wynalazek Kosmy

Wynalazki, wynalazki! Wielu chciałoby coś wynaleźć, ale im się nie udaje. Kosmie się jednak udało.

Pewnej nocy Kosma nie mógł zasnąć. Różne myśli przychodziły i odchodziły. Aż wreszcie jedna okazała się wspaniałą ideą, która nie pozwoliła już zasnąć do rana.

Obudziwszy się około południa, Kosma od razu przypomniał sobie, że wymyślił wynalazek. Przemyślał tedy jeszcze raz swą koncepcję - nadal wydawała się znakomita.

Potem zatelefonował do znajomego inżyniera.

- To świetny pomysł - powiedział inżynier. - Serdecznie panu gratuluję.

Nie omieszkął zwrócić się także do spokrewnionego z nim właściciela fabryki.

- Opisz swój wynalazek, a ja każę wykonać prototyp. Jeśli będzie działał dobrze, natychmiast rozpocznie się produkcja.

Wszystko zakończyło się pomyślnie. Produkcja wkrótce więc ruszyła.

A wynalazek Kosmy to właśnie znana powszechnie kosma, bez której nie może się dziś obejść żaden elegancki mężczyzna.

Miłośnik opery

Od czasu, gdy oglądał w telewizji fragment wywiadu z Luciano Pavarottim, stał się miłośnikiem opery. Czytał na jej temat książki. Prenumerował „Przegląd Operowy”. Swoim krewnym i znajomym wciąż dawał płyty z nagraniami najsłynniejszych arii. Lecz, choć w jego mieście był jeden z największych teatrów operowych na świecie, ani razu nie miał ochoty zobaczyć jakiegokolwiek przedstawienia.

Kiedys wezwał go dyrektor przedsiębiorstwa, w którym pracował.

- Przyjeżdżają nasi partnerzy z Francji. Musimy im zorganizować pobyt. Czy poszedłby pan z nimi do opery? Z panem spędzą tam z pewnością niezapomniany wieczór.

- Oczywiście, pójdę - odpowiedział, tak jak się odpowiada szefowi.

W sali teatru męczył się okropnie. Panowała tam wyjątkowa duchota. Muzyka była za głośna. Ale najgorsze były śpiewy: niezrozumiałe i denerwujące. Dziwił się, jak inni mogą to wytrzymać.

Od połowy spektaklu czekał na Francuzów w bufecie.

Wbrew temu, co by mogło się wydawać, po tym doświadczeniu nie zmienił on stosunku do opery. Nadal pozostał jej admiratorem. Tylko teraz zapewne nie nakłoniłby go już nikt, aby poszedł na przedstawienie.

Skrzypek

Pewien księgowy idąc ulicą Centralną, nagle zatrzymał się. Wydawało mu się, że ktoś lub coś tu powinno być, a nie było. Zamiast tego nieokreślonego, naprzeciwko przystanął jakiś listonosz i patrzył niepewnie przed siebie.

Następnie między nimi zjawiła się ruda kobieta, nerwowo rozglądająca się na boki. A potem zakonnica. Kilku studentów. I jeszcze ktoś. I jeszcze ktoś. Aż w końcu utworzył się spory tłum.

- Zawsze stał w tym miejscu i grał na skrzypcach - powiedział jeden z zebranych.

- Dlaczego dzisiaj go nie ma? - zapytał inny.

- Może zachorował?

- A tak pięknie grał!

Zgromadzeni ludzie rozprawiali o ulicznym skrzypku, który w tym miejscu umiał czas przechodzić. Ale dzisiaj, niestety go zabrakło.

- Panie i panowie - zawołała gromkim głosem barmanka z pobliskiego baru - niepotrzebnie się martwicie. Skrzypek gra na placu Bankowym.

Powstał ogromny rwetes, bo tłum spontanicznie skierował się w stronę placu Bankowego.

Tam rzeczywiście był grajek. Stał i grał, zaś wokół gromadziło się coraz więcej ludzi idących z ulicy Centralnej. Co chwilę któryś doń podchodził i do jego futerału wrzucał pieniądze.

Dobrze, że przestałem występować na tamtej ulicy - pomyślał - tutaj mam o wiele większą publiczność.

Nie

Agata, kobieta bogata i postępową, przejeżdżając autem przez to miasto, zdziwiła się, że wszystkie domy są tu dość stare, choć w dobrym stanie. Zaintrygowana, postanowiła pobyć tutaj godzinę albo dwie.

Zwiedzwszy śródmieście, powzięła zamiar zbudowania kilku nowoczesnych budynków. Niedaleko zauważyła duży, pusty plac, znakomicie do tego się nadający. Wkrótce udało się jej znaleźć właściciela.

- Nie mogę sprzedać tego placu - powiedział. - Rokrocznie zatrzymuje się na nim cyrk, a także lunapark. Odbывают się też festyny parafialne.

- Drogi panie! - zawołała Agata - ja wam zbuduję kino z sześcioma salami. W pierwszej będą wyświetlać komedie, w drugiej kryminały, w trzeciej horrory, a w szóstej... Rozumie pan?

- Rozumiem, więc nie chcę - odpowiedział stanowczo.

Agata poczuła się urażona, lecz nie pozostawiła jej nic innego, tylko opuścić miasto.

Jadąc szosą, minęła wolno sunące wozy cyrkowe.

Pięćdziesiąt słoików dżemu

Co roku pani Grażyna telefonowała do pani Balbiny w tej samej sprawie. W tym roku uczyniła to po raz ostatni.

- Moja droga - mówiła Grażyna - wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu nad morze. Czy zechcesz zaopiekować się naszymi zwierzętami?

- Oczywiście - entuzjastycznie odpowiedziała Balbina. - Nie mogę sobie wyobrazić lipca bez tych przesłodkich stworzeń.

Kłamała bezczelnie. A naprawdę ich nienawidziła. Pies był według niej głupi, papuga wulgarna, chomik obleśny, a rybki nudne. Nienawidziła też Grażyny, jej męża i dzieci. Z tych uczuć zaś powstał plan zbrodni.

Balbina postanowiła otruć psa. Poszła więc do sklepu i kupiła pięćdziesiąt słoików dżemu wielowocowego „Superfrukt”, by wydestylować z niego pewien konserwant, w większej ilości bardzo toksyczny.

W sklepie był akurat pan Janusz, plutonowy policji. Kupowanie takiej ilości dżemu wydało mu się wielce podejrzanе.

Odtąd zaczął dyskretnie obserwować Balbinę. Lecz w ciągu kilku dni jej zachowanie było całkiem zwyczajne. Nie mogło niepokoić zamieszkanie u niej kilku zwierzątek. Pan Janusz przestał zatem się nią interesować.

Któregoś wieczoru przechodził jednak obok jej domu. I wtedy usłyszał przeraźliwy wrzask papugi. Musiał sprawdzić, co się tam dzieje.

Papuga uwięziona w klatce nadal wrzeszczała. Chomik próbował wyleźć ze słoika po dżemie. Pies w kagańcu, na krótkiej smyczy był przywiązany do nogi od stołu. Natomiast Balbina stała ze strzykawką w ręce.

- Co pani tu robi? - zapytał spokojnie.

- Co to pana obchodzi? - odparła opryskliwie.

- Jest pani aresztowana!

Pokerzyści

Zebrało się kilku mężczyzn - tym razem u Romana - ażeby pograć w pokera. Roman, Wojtek i Jacek wielokrotnie już ze sobą grali. Tomasz dołączył do nich po raz pierwszy.

Gospodarz postawił przed każdym butelkę piwa. A gdy wszyscy mieli karty w dłoni, zapytał: - Jakie dziś stawki?

- Odziedziczyłem niedawno plantację kawy w Hondurasie - powiedział Wojtek. - Jest warta co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mogę więc zacząć od pięciu.

- Ja też mogę na tyle sobie pozwolić - odezwał się Jacek.

- Trudno mi będzie wam dorównać. Są jeszcze nie ustalili, jakie będą moje udziały w tej kopalni złota koło Johannesburga - z zalem stwierdził Roman. - A ty? - zwrócił się do Tomasza.

- Panowie, ja nie wiedziałem, że wy gracie o takie stawki. Nie jestem tak bogaty. Mógłbym jedynie postawić moje dwupokojowe mieszkanie, ale jego współwłaścicielką jest żona. A właściwie w większości należy ono do banku, który pożyczył nam pieniądze na jego zakup.

- A nie masz jakichś wartościowych przedmiotów? Na przykład biżuterii po matce.

- Moja matka ma tylko obrączkę i wisioręk z bursztynami, chyba nawet sztucznymi. A prócz tego ona jeszcze żyje.

- Opowiadałeś kiedyś o wujku we Francji. Mógłby on być właścicielem zamku nad Loarą.

- Nie, to bardzo biedny człowiek.

Gracze nie spodziewali się, że Tomasz będzie miał tak ubogą wyobraźnię. Zaczęli się obawiać, że w ogóle nie rozpoczną dzisiaj pokera.

- Ty wcale nie umiesz grać? - niespodziewanie stwierdził Wojtek.

- Ja nie umiem grać? - poczuł się obrażony. - Zeszłej soboty ograłem teścia i szwagra na czterdzieści złotych!

Pozostali roześmiali się z politowaniem.

Tomasz nie zamierzał z nimi dyskutować. Rzucił karty na stół i wyszedł.

Stojąc później na przystanku tramwajowym, zastanawiał się, dlaczego tak bogaci ludzie pracują w fabryce jako zwykli robotnicy. Wszyscy milionerzy to podobno dziwacy.

Dobry klej

W czasach mego dzieciństwa były bardzo dobre kleje, brakowało natomiast skutecznych rozpuszczalników, jakich dziś jest wręcz nadmiar.

Nasza sąsiadka, panna Elwira, pewnego razu wklejała fotografie do albumu. Zlekceważyła jednak zalecenie umieszczone na słoiku z klejem, by rozprowadzać go po powierzchni klejonej za pomocą patyczka. Używała do tego palca wskazującego i środkowego. Zagłębiając je w słoiku, za którymś razem już nie mogła ich wyciągnąć.

Pamiętam ją na progu naszego mieszkania z przerażoną miną i z palcami tkwiącymi w słoiku.

- Niech mnie pani ratuje! - zawołała do mojej matki.

Moja matka zastanawiała się przez chwilę, po czym zatelefonowała do znajomej, której syn studiował chemię. Po dwóch albo trzech godzinach przybył młody człowiek. Przyniósł ze sobą dwie butelki z rozpuszczalnikami. Odrobinę z jednej wlał do słoika z klejem i paluszkami panny Elwiry. Ale tymże paluszkom to nie pomogło.

- Boję się użyć tej drugiej substancji, bo może wyžreć ciało do kości - powiedział bezradny chemik. - Spróbuję zadziałać fizycznie.

Działanie fizyczne polegało na jakichś manipulacjach przy rzeczonym słoiku, czemu towarzyszyły jęki biednej dziewczyny. Lecz to nic nie dało. Gorzej - palce studenta, i to obu dłoni, utkwiły również w słoiku z klejem.

- Co my teraz zrobimy? - powiedzieli jednocześnie.

Rodzice zawieźli nieszczęśników do szpitala. Tam poddano ich narkozie, a następnie w jakiś sposób oswobodzono.

Te wydarzenia bardzo zbliżyły ich do siebie. Nic więc dziwnego, że zaczęli się spotykać, a wkrótce nawet zaręczyli. Wszyscy się śmiali, że choć narzeczeni, chodzą, nie trzymając się za ręce. Klej głęboko wniknął w skórę ich dłoni, czyniąc je nadzwyczaj lepkimi.

Niedawno ich znów widziałem. Starsi państwo szli z godnością ulicą, w jakimś oddaleniu od siebie, bo ich dłonie wciąż nie mogą się dotykać.

Spotkanie w cyrku

Tego dnia profesor Słojewski skończył wykład wcześniej niż zazwyczaj. Do miasta przyjechał cyrk „Bravo”, i on chciał zdążyć na przedstawienie.

Przed trzydziestu laty był gwiazdą tego cyrku. Jego akrobacje podziwiali tysiące ludzi. Aż raz wskutek drobnej nieuwagi spadł z trapezu. Natychmiast przeprowadzona operacja uratowała mu życie, nie mógł już jednak występować. Ukończył studia historyczne. Wreszcie stał się znanym uczonym.

A teraz siedział wśród innych widzów i patrzył na popisy artystów. Ciekawiło go, czy występuje tu jeszcze ktoś z jego dawnej trupy.

W pewnym momencie rozpoznał klauna. Ale gdy mu się dłużej poprzyglądał, stwierdził, że to nie on. Ten powtarzał tylko dowcipy tamtego.

Lecz gdy na arenę wbiegły konie, a za nimi ich treser, profesor nie miał wątpliwości, że to jego dawny kolega.

Zaraz po spektaklu poszedł między wozy cyrkowe, by się z nim przywitać.

- Andrzej! - zawołał ujrzawszy go przed zagrodą dla koni.

Treser spojrzał na niego, ale wyraźnie nie wiedział kim on jest.

- Nie poznajesz mnie? Występowaliśmy razem w „Bravie”. Potem miałem wypadek i odszedłem z cyrku.

- Ze mną na pewno pan nie występował. Prawdopodobnie z moim tatą. Jestem do niego dość podobny i też tresuję konie.

Profesor nie wiedział, co powiedzieć. Jednak nie chciał też zaraz odchodzić, to spotkanie nie było przecież zwykłą pomyłką.

- A Andrzej... - zaczął wolno formułować pytanie.

- Rodzice mieszkają koło Przemysła w pięknym domku z ogródkiem i zajmują się wnukami. Dam panu adres.

W nocy, zasypiając już, profesor przypomniał sobie, że kiedyś, gdy był cyrkowcem, nosił synka Andrzeja na barana. I że miał on na imię Bruno.

Pani Mariola prowadzi śledztwo

Pasją pani Marioli była kryminalistyka, przeczytała setki powieści kryminalnych. Ale mieszkając w N., cichym spokojnym miasteczku, nie miała jakiegokolwiek możliwości wykorzystania swej ogromnej wiedzy. Kiedyś jednak nadarzyła się okazja.

Tego dnia po raz ostatni pociąg kolejki wąskotorowej wjechał na stację w N. Wysiadło kilku licealistów wracających ze szkoły w powiatowym mieście oraz dwie panie, które tam zrobiły zakupy.

Maszynista, jak zwykle po końcowym kursie, musiał jeszcze obejść wagony, by sprawdzić, czy ktoś czegoś nie zapomniał. W ostatnim, trzecim wagonie siedział i spał jakiś mężczyzna.

- Panie, koniec jazdy. Wstawać! - zawołał.

Tamten ani drgnął. Kolejarz więc potrząsnął jego ramię. I wtedy ten osunął się na ławkę, a z jego ust wypłynęła strużka krwi. Najprawdopodobniej został zastrzelony.

Wieść o morderstwie w kolejce natychmiast obiegła całe miasteczko. Oczywiście nie ominęła również pani Marioli, jedynej osoby w N., która mogła znaleźć mordercę.

W niecałą godzinę po odkryciu zbrodni rozpoczęła śledztwo. Najpierw zatrzymała się na rynku przy grupce słuchającej jednej z pasażerek.

- Na przedostatniej stacji wsiadło dwóch panów - mówiła przejęta. - Nie byli z naszych stron, bo wsiadli do trzeciego wagonu, który, jak wiecie, jest nieogrzewany. Żaden z nich nie wysiadł w N.

- Jak wyglądali? - rzuciła pytanie Mariola.

- Nie przyglądałam się im - odpowiedziała z żalem. - Chyba niczym szczególnym się nie wyróżniali.

Kobieta po raz kolejny zaczęła mówić to samo. Mariola stwierdziła zatem, że nic więcej ona nie wie. W takim razie poszła dalej.

Dogonił ją jeden z licealistów.

- Proszę pani, oni naprawdę wyglądali dość pospolicie. Ale jeden pod płaszczem krył małą walizkę.

- Dobrze, że mi to powiedziałaś. To bardzo ważne.

Potem poszła na stację. Wokół maszynisty stało kilka osób i głośno rozmawiało.

- Czy przy zabitym znaleziono jakiś bagaż?

- zadała pytanie maszyniście.

- Nie, nic nie znaleziono.

Mariola domyślała się już, jak doszło do zbrodni. Dwaj bandyci zrabowali pieniądze albo biżuterię. Uciekali kolejką. W wagonie, korzystając z odosobnienia, jeden z nich zamordował drugiego. Zabrał walizeczkę z łupem i wyskoczył podczas jazdy.

- Słuchajcie - przemówiła Mariola - morderca ukrywa się w lasach wokół naszego miasteczka. Potrzebuję dziesięciu ochotników, by go złapać.

Wszyscy się potem dziwili, że pani Mariola tak sprawnie poprowadziła śledztwo. Najbardziej dziwił się komisarz policji, który następnego dnia przyjechał zabrać ze sobą mordercę.

Cukiernia

Pierwszy raz był w tym miasteczku przypominającym jednak wiele innych. Więc gdy nabrał ochoty na coś słodkiego, powiódł wzrokiem po domach na rynku. Na jednym widniał szyld z napisem „Cukiernia”.

Przy ladzie stała ładna dziewczyna. Poprosił ją o napoleonka, bezę i pączka oraz kawę ze śmietanką.

- Pani jest pewnie wnuczką? - zapytał w połowie napoleonka.

- Wnuczką? - zdziwiła się.

- Tę cukiernię założył pani dziadek. Obecnie prowadzi ojciec. A kiedyś przejmie pani.

Sprzedawczyni roześmiała się.

- Nie zgadł pan. Założyłam ją z mężem trzy miesiące temu.

Kilku okruszków bezy spadło mu na spódnie.

- Czy przedtem była tu też cukiernia?

- Była księgarnia. A myśmy na zapleczu urządzili pracownię. W sklepie zaś ustawiliśmy meble ze zlikwidowanej restauracji.

Przez chwilę jadł w milczeniu pączka.

- W takim razie stanie się tak: będziecie ciężko pracować i rozwinięcie firmę. Potem zastąpi was syn albo córka. I któregoś dnia znów tu przyjdę, a pani wnuczka poda mi ciastka.

Bilet do kina

Do tego kina chodziłem, będąc jeszcze dzieckiem, a także jako nastolatek. Potem wyprowadziłem się z tej dzielnicy i niemal o nim zapomniałem.

Przypomniałem sobie wczoraj, gdy po raz pierwszy od ćwierćwiecza musiałem coś załatwić w tamtej części miasta. Od razu zauważyłem, że wiele się tam zmieniło. Ale kino ani trochę.

W gablocie przed wejściem był plakat reklamujący film, który z pewnością tu kiedyś oglądałem. A w hallu zdjęcia gwiazd filmowych sprzed wielu lat. W kasie natomiast siedziała ta sama kasjerka co dawniej, choć znacznie starsza.

- Ósmy rząd, czwarty fotel - to było moje ulubione miejsce, więc również teraz o nie poprosiłem.

- Służę uprzejmie - uśmiechnęła się, podając bilet.

Ponieważ seans miał się zacząć za kilka minut, wyszedłem na zewnątrz.

Ulicą przechodził jakiś pan z psem na smyczy.

- Kupił pan bilet - stwierdził przystając.

- Tak.

- Filmu oczywiście nie będzie.

- Dlaczego? - zdziwiłem się.

- Kino już od dziesięciu lat nie istnieje. Tylko ta stara dziwaczka przychodzi niekiedy i sprzedaje bilety. Proszę pana jednak: niech pan nie żąda zwrotu pieniędzy.

- Kiedyś chodziłem do tego kina - czułem się w obowiązku wyjaśnić. - Lecz nie wiedziałem, że już go nie ma.

- Już go nie ma - powtórzył wzdychając i poszedł dalej.

Ja zrobiłem to samo.

Zjazd absolwentów

Posel Roman Słomski jechał na zjazd absolwentów liceum w M., do którego uczęszczał ponad trzydzieści lat temu. Wiele spodziewał się po tym spotkaniu. Ostatnio nie wiodło mu się najlepiej. Nie wybrano go przewodniczącym jednej z komisji sejmowych, przestano zapraszać do telewizji, a w dodatku opuściła go kobieta, z którą żył od dwóch lat. Ale jego szkolni koledzy i koleżanki o tym nie wiedzieli. Był przekonany, że dla nich jest człowiekiem wybitnym i szczęśliwym. I chciał to od nich usłyszeć.

Usłyszał to od obecnego dyrektora liceum, który przemawiając w auli do absolwentów, powiedział, iż uczyło się w nim wiele słynnych dziś osób i jego wymienił w pierwszej kolejności.

Po oficjalnych przemówieniach odbyło się przyjęcie. Posel z kieliszkiem wina w dłoni przemieszczał się wśród tłumu, poszukując swych dawnych kolegów. Ten i ów zerkał na niego z zaciekawieniem - znano go z telewizji. Sprawiało mu to oczywiście spodziewaną satysfakcję.

- Roman! - pojawiła się przed nim korpulentna dama w okularach. - Poznajesz mnie? Jestem Zosia.

- Poznaję, poznaję. Niewiele się zmieniłaś - ucałował ją w oba policzki.

Potem na chwilę zamilkli. On oczekiwał jakiegoś pytania, dzięki któremu by mógł dyskretnie wyrazić, jak znakomitym jest człowiekiem.

- Dwa tygodnie temu zostałam babcią - powiedziała niespodziewanie Zosia. Ale nie poprzestała na tej informacji. O swojej wnuczce rozgadała się tak bardzo, że on nie był w stanie zadać nawet krótkiego pytania.

- Roman, Zosia - przerwała im, a właściwie jej, inna koleżanka, jak się później okazało, Marylka. - Muszę wam coś pokazać. - Trzymaną w ręku komórkę podniosła na wysokość ich oczu. Na ekraniku była czwórka jakichś dzieci. - To moje wnuki.

- A ja na swoje będę musiał poczekać - właśnie podszedł do nich Marian. - Mój syn dopiero na Wielkanoc będzie się żenił.

- Doczekasz się prędzej niż myślisz - powiedziała Marylka.

- Różnie z tym bywa - odezwała się inna pani. - Myśmy mieli dzieci sześć lat po ślubie.

- A macie już wnuki?

- Dwoje. Julka skończyła dwa lata, a Marcin dopiero miesiąc...

Kilka dni potem poseł Słomski spotkał się ze swoim psychoanalitykiem.

- Nie mogłem tego wytrzymać - mówił.

- Wszyscy opowiadali o swoich dzieciach i wnukach, siostrzeńcach i bratankach. A ja nie mogłem nic powiedzieć o mojej córce. Ostatnio widziałem ją wiele lat temu i zupełnie nie wiem, co się z nią dzieje.

Cnota dyskrecji

Zjawił się dosłownie znikąd. W miasteczku nikt go nie znał. W lodziarni Silskiego kupił porcję lodów pistacjowych. Wychodząc, zauważył ogłoszenie przypięte do drzwi: „Zatrudnię sprzedawcę lodów”.

- Szukam pracy - wskazał na ogłoszenie.

- Brakuje mi pracownika do lodziarni nad jeziorem - powiedział Silski.

Pojechali tam samochodem. W czasie jazdy przybysz nieco o sobie opowiedział. Na miejscu szef wyjaśnił, na czym będzie polegać jego praca. Zrozumiał wszystko w mig.

Odtąd sprzedawał lody. Waniliowe, wiśniowe, czekoladowe... różne. Bardzo mu się to podobało. Robota dosyć lekka i dająca ludziom trochę radości.

Raz, idąc do pracy i chcąc skrócić sobie drogę, przeszedł środkiem skrzyżowania. Z naprzeciwka jechało auto z nadmierną szybkością. Kierowca nie zdążył zahamować. Pojazd uderzył w niego i po nim przejechał. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Ponieważ znano go tylko jako sprzedawcę lodów, resztę próbowano sobie wyobrazić.

- Naraził się mafii - mówili jedni - i ukrywał się w naszym miasteczku. Ale go znaleźli i ukatrupili.

- Zakochał się - twierdzili drudzy. - Ona go nie chciała, więc rzucił się pod samochód.

Ani jedno, ani drugie nie było prawdą. Prawdę znał jedynie Silski, lecz nie zamierzał jej ujawnić.

Życie sławnych ludzi

Uwielbiała czytać tygodniki donoszące o życiu sławnych ludzi. Pragnęła również być sławną i takie życie prowadzić.

Na razie jednak była zwykłą kasjerką w barze szybkiej obsługi. Ludzie podchodzili do niej z jedzeniem na tacy, a ona pobierała za nie pieniądze. Doprawdy, nic ekscytującego.

Spodziewała się jednak, że kiedyś do baru przyjdzie wielki reżyser filmowy.

- Tylko pani może zagrać w moim najnowszym filmie! - zawoła, ujrawszy ją.

Albo jakiś arystokrata.

- Pragnę pojąć panią za żonę i zamieszkać z nią w moim zamku.

W końcu ktoś taki się pojawił. Miał czarne, faliste włosy i hipnotyzujące spojrzenie. Siedział przy stoliku przez kilka godzin i wpatrywał się tylko w nią. Gdy skończyła pracę, śmiało do niej podszedł.

- Chciałbym panią zaprosić na kolację.

Zawiózł ją ekskluzywnym autem do najdroższej restauracji w mieście, gdzie serwowano wymyślne potrawy o francuskich nazwach. Spełniały się marzenia.

Potem pojechali nad morze. Jakiś czas spacerowali wzdłuż brzegu, a następnie usiedli na plaży.

- Wiem, o czym marzysz - powiedział nagle.

Była przekonana, że tak właśnie jest.

- Mogę ci dać wszystko, co zechcesz - westchnął głęboko. - Mogę ci dać wszystko, ale pod warunkiem, że za kilkadziesiąt lat będziesz całkowicie do mojej dyspozycji. Musielibyśmy w tej sprawie zawrzeć umowę. Przepisy wymagają, abyś podpisała ją własną krwią.

- Czytałam taką bajkę...

- Teraz jesteś jej główną bohaterką.

Zapadło milczenie. Wyraźnie słyszała bicie swego serca.

- Czy wszyscy sławni ludzie podpisali taką umowę? - zapytała drżącym głosem.

- W większości.

- A James Lombardi?

- Tak.

- A Beatrice Blanche?

- Też.
- A Robert Ort?
- Ten akurat nie.
- Ja też nie podpiszę - powiedziała zdecydowanie.

Skierował na nią wzrok pełen nienawiści. Miała wrażenie, że zupełnie z kimś innym była na kolacji. Bezwiednie wzięła nieco piasku i sygnęła mu prosto w oczy. Zaryczał z bólu, ona zaś uciekła.

Kilka dni później, nie wiadomo z jakiego powodu, zwolniono ją z pracy. A potem ciężko zachorowała. Do dziś jest zresztą w szpitalu, lecz może wyjdzie w przyszłym tygodniu. Jednego jest pewna: nie chce być już sławna.

Mysz i ja

Mówi się, że słonie mają dobrą pamięć. Z moich obserwacji wynika, że także myszy.

Dwa lata temu, w styczniowe popołudnie otwarłem drzwi mego domu. Już chciałem wejść do środka, gdy zauważyłem przy progu małą, szarą mysz trzęsącą się z zimna.

- Niech koleżanka wejdzie - zaprosiłem ją.
- Na dworze koleżanka tylko nabawi się grypy albo zapalenia płuc.

Mysz spojrzała na mnie z ufnością, po czym czmychnęła do wnętrza.

Spotkałem ją dopiero następnego roku latem. Siedziała na parapecie w moim pokoju. Podszedłem do niej, a wtedy ona wyciągnęła przednią łapkę i pokiwała mi. Podobny gest wykonałem swoją kończyną.

Gryzoń więc pamiętał, że to ja w mroźny dzień udzieliłem mu schronienia, dzięki czemu nie zamarzył na śmierć.

- Nie, nie, to zupełnie niemożliwe - rzekła jedna dama podczas przyjęcia w Ambasadzie Zakonu Maltańskiego, gdzie opowiedziałem tę historię. - Mysz ma kiepską pamięć. A poza tym żyje tylko rok. Zatem mysz, którą pan wpuścił do domu i mysz na parapecie to dwa różne osobniki.

Niewątpliwie zazdrościła mi pięknej przygody z małym zwierzątkiem i dlatego powiedziała to, co powiedziała. Sądzę, że nikt jej nie uwierzył. Wszyscy bowiem uśmiechali się do mnie.



rys. Robert Znajomski

Najmłodszy ogrodnik

Dyrektor ogrodu botanicznego, jak zwykle na początku roku, rozdawał pracownikom zadania.

- Ty, Wojtku - zwrócił się do najmłodszego ogrodnika - zajmiesz się perykozami.

Pozostali z cicha zachichotali. Perykozy to niskopienne drzewa z różnobarwnymi kwiatami rosnące w Amazonii. W Polsce wymagają wielu żmudnych zabiegów, aby wydać nieliczne listki.

Wojtek postanowił, że z perykozami pod jego opieką będzie inaczej. Że pokryją się bujnym listowiem i zakwitną. Zaczął więc chodzić do biblioteki Instytutu Botaniki. W jakiejś książce przeczytał przepis na doskonały nawóz, dzięki któremu perykozy dobrze rosną nawet w chłodniejszych klimatach.

By sporządzić ów nawóz, zdobyć musiał kilka dość rzadkich składników. Następnie pomieszać je w odpowiedni sposób. I skrupulatnie nadzorować ich fermentację. Sporo zatem się natrudził, zanim obłożył nawozem egzotyczne drzewka.

Wreszcie pozostało tylko czekać na kwiaty i zdziwioną minę dyrektora, a także innych ogrodników.

Minął marzec, kwiecień, maj. Pod koniec czerwca pojawiło się kilka listków. A potem już nic więcej.

Gdy dyrektor w środku lata lustrował ogród, Wojtek stał przy perykozach ze spuszczoną głową.

- Powinienem powiedzieć ci coś mądrego - uśmiechnął się dyrektor - ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Samobójca w parku

Mając już dość swego życia, postanowił je zakończyć. Stwierdził, że najlepiej będzie zawisnąć na jakimś drzewie. Poszedł zatem do parku, aby znaleźć odpowiednie.

Ledwie przekroczył parkową bramę, a zaczęło się ściemniać i wiać. Wkrótce spadły pierwsze krople deszczu, potem lało jak z cebra. W takich warunkach trudno wyszukać drzewo nadające się do powieszenia. Ale on nie ustawał.

Wreszcie ujrzał klon, a może jesion z mocnymi, poziomymi gałęziami, zwłaszcza jedną, wprost wymarzoną do jego zamierzeń.

Stał i patrzył na nią ukontentowany. I wtedy w ten klon czy jesion strzelił piorun. Wymarzona gałąź spadła na ziemię.

Takie jest całe moje życie, pomyślał z goryczą, gdy zbliżam się do celu, ten zaraz oddala się ode mnie.

Przygnębiony i w dodatku mokry, skierował się do wyjścia.

Na ulicy nie padało, przygrzewało łagodnie wiosenne słońce.

- Gdzie pan tak przemókł? - zapytał go jakiś przechodzień.

- W parku.

- Musi pan szybko założyć suche ubranie, bo się przeziębii.

- Ma pan rację - powiedział i poszedł dalej, myśląc o gorącej herbacie z odrobiną rumu.



rys. Robert Znajomski



rys. Robert Znajomski

Morderstwo w parku

Konstanty każdego ranka obiegał cały park. Czynił to, by zachować fizyczną sprawność i młodzieńczy wygląd. Ale biegi też pobudzały jego wyobraźnię.

Wyobrażał sobie zatem, że pośród krzaków jałowca ujrzał leżącą kobietę. Zatrzymał się, podszedł do niej i ze zgrozą stwierdził, że nie żyje. Świadczyła o tym krwawa rana na piersi.

Niezwłocznie sięgnął po telefon komórkowy i wezwał policję. Po kilku minutach przyjechało kilku funkcjonariuszy.

- Czy znał pan denatkę? - zapytał komisarz.

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- A czy zauważył pan coś podejrzanego?

- Raczej nie.

- Gdyby cokolwiek pan sobie przypomniał, proszę do mnie zatelefonować. Oto moja wizytówka.

Cały dzień myślał o tej sprawie. Udało mu się odtworzyć w pamięci każdą chyba minutę poranka. Także mężczyznę w szarym prochowcu i kapeluszu nasuniętym na czoło, którego minął w jednej z parkowych alei. Musiał o tym powiadomić komisarza.

- Drogi panie Kostku - powiedział policjant - to znowu ta bujna wyobraźnia. Nic złego się dziś nie stało.

- Rzeczywiście! - poczuł ogromny wstyd. - Znów się wygłupiłem.

- Tylko proszę się nie przejmować. Nikogo przecież nie zamordowano.

Chirurg

Jestem aktorem. Nieustannie udaję kogoś, kim nie jestem. Czasami, niestety zapominam, kim jestem naprawdę.

Kiedys dostałem tytułową rolę w filmie „Genialny chirurg”. Aby go zagrać, musiałem poznać jakiegoś genialnego chirurga.

George był właśnie kimś takim. Zaczęłem się z nim spotykać, by dowiedzieć się wszystkiego, co tyczy się jego zawodu. Słuchałem też jego wykładów wygłaszanych dla studentów medycyny. Przede wszystkim zaś asystowałem przy kilku operacjach, które przeprowadzał w Szpitalu Miejskim.

Pewnego razu, gdy zaszedłem do szpitala, nieznana mi urzędniczka podbiegła do mnie wielce podekscytowana.

- Panie doktorze, proszę się pospieszyć! Za chwilę operuje pan w sali numer cztery.

Nie wiem dlaczego nie powiedziałem, że to pomyłka. Ale pewnie nieprzypadkowo pisano o mnie, że jestem genialnym aktorem. Że wcielam się całkowicie w odgrywaną postać.

Poszedłem do sali numer cztery. Umyłem się i przebrałem. W stroju obowiązującym podczas operacji nikt mnie nie rozpoznał.

Przypadek, z którym miałem do czynienia, był dość prosty: wyrostek robaczkowy. Wiedziałem, co trzeba zrobić.

Gdy po skończonej operacji wychodziłem ze szpitala, zatrzymało mnie dwóch policjantów.

- Jest pan aresztowany!

Oskarżono mnie o nielegalne praktykowanie zawodu lekarza. Prokurator żądał pięciu lat więzienia. Na szczęście dostałem tylko rok.

Nie zagrałem zatem chirurga. Tę rolę powierzono... Georgowi. Oczywiście zagrał znakomicie, bo przecież sam jest chirurgiem.

Po wyjściu na wolność rozpocząłem zdjęcia do kolejnego filmu. Wystąpiłem w nim jako więzień.

Opowiadanie grozy

Pan Hubert pisywał dotychczas opowiadania o miłości i w tej dziedzinie miał niemałe sukcesy. Redaktorom przeróżnych czasopism podobały się jego utwory, więc musiały się spodobać również czytelnikom.

Aż raz zapragnął zdobyć rozgłos także jako autor opowiadań grozy. Przez kilka dni obmyślał szczegółowo jedną historyjkę. Wreszcie, pewnego wieczoru poczuł, że może już ją zacząć pisać.

Najpierw napisał o deszczu, który nocą oblewał rzeźsiście wielkie miasto. Potem wprowadził główną bohaterkę. Była to dziewczyna idąca do swego domu opustoszałymi ulicami. Wracła od swojej krewnej, którą pielęgnowała w chorobie.

Hubert spojrzął w okno i zauważył, że zapadł już zmierzch. O tej porze nie jest bezpiecznie.

Jego bohaterka niespodziewanie ujrzała dwóch drabów, wypychających do samochodu opierającego się im mężczyznę.

Stanęła przerażona. Jeden z drabów dostrzegł ją. Ona nie czekała na to, co postanowi. Odwróciła się i pobiegła przed siebie.

Przerwał pisanie i podszedł do okna. Jego ulica była teraz też całkiem wyludniona. Też mogliby na niej kogoś uprowadzać albo mordować. A jeśliby ktoś był tego świadkiem... Zimny dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

Dalej pisał o jej ucieczce przez podwórka i zakamarki. I po schodach na ostatnie piętro starej kamienicy, gdzie miała swoje lokum.

Właśnie chciał pisać o tym jak bandyta chciał wejść do niej przez dach, gdy usłyszał, że ktoś zakrada się do jego mieszkania. Pobiegł do przedpokoju, biorąc po drodze kryształowy puchar, by rozbić go na głowie włamywacza. Ale okazało się, że to tylko wracający do domu sąsiad, otwiera kluczem drzwi.

Po chwili znów pracował. Dziewczyna już wiedziała o grożącym jej niebezpieczeństwie. Słyszała ciche kroki na dachu. Ktoś poza tym czyhał na klatce schodowej. Było to tak straszne, że nie mógł o tym pisać.

Jakiś samochód gwałtownie przejechał obok jego domu. Ciekawe kogo nim wywieźli i co zamierzają zrobić.

Do rana nie udało mu się uspokoić. Chodził po mieszkaniu, wciąż oglądając się za siebie, skąd mógł nastąpić atak. W końcu jednak zasnął w fotelu.

Gdy się obudził, postanowił nigdy więcej nie pisać opowiadań grozy. Podczas śniadania przyszedł mu do głowy pomysł na nową historię miłosną.

Zakupy

Grażyna postawiła torbę z zakupami na stole w kuchni. Zaraz przyszedł syn i zaczął ją wykopywać, spodziewając się znaleźć coś interesującego.

- Czy musimy jeść zgniłe jabłka? - powiedział ironicznie i odłożył na bok jedno wyraźnie nadpsute.

Wzruszyła ramionami. Spośród jabłek, które kupiła, dwa były trochę nadgniłe. Ale nikt nie chce takich kupować, zostają potem sprzedawcom, którzy przez to ponoszą straty. Więc ona nabyła chociaż dwa. Niejadalne części można przecież wykroić.

Do kuchni weszła córka i też zainteresowała się zakupami.

- Mamo, jakie to tłuste! - wykrzyknęła, odwinąwszy papier z mięsa.

To prawda, kupiła tłuste mięso. Lecz do tego sklepu przy bocznej uliczce rzadko ktoś zachodzi, a właściciel ma chorą żonę i trójkę dzieci. Musiała cokolwiek tam kupić, by go wesprzeć. Dziś jednak miał raczej kiepski towar.

- Popatrz, oto ozdoba do twego nowego kapelusza - pokazał siostrze zielony wiecheć.

To była nać pietruszki, już niestety zwędłej. Sprzedawała ją staruszka na rogu ulicy, w ten sposób dorabiała do skromniutkiej emerytury.

Rodzeństwo śmiało się, wymyślając do czego nadaje się ta pietruszka. Niewątpliwie do jedzenia się nie nadawała.

- Dajcie matce spokój! - do kuchni wszedł ojciec. - Wynocha!

Kiedy dzieci wyszły, objął Grażynę i mocno przytulił do serca.

Afryka Równikowa

W spadku po matce chrzestnej Andrzej otrzymał drogocenny pierścień. Postanowił go niezwłocznie sprzedać. Potrzebował bowiem pieniędzy na kosztowną wyprawę do Afryki Równikowej, o której marzył od wielu lat.

Zatem skierował swe kroki na ulicę Szewską, gdzie, wbrew nazwie, mieściły się sklepy jubilerskie. We wszystkich przyjmowano biżuterię w komis. Wszedł do sklepu, nad którym widniał napis: „Bednarski i Córka”.

Za ladą stał tylko Bednarski. Lecz ujrawszy pierścień Andrzeja, natychmiast przywołał córkę.

- Anno, spójrz, jaki piękny brylant!

Młoda Bednarska założyła na oko lupę i zaczęła oglądać klejnot, robiąc przy tym miny wyrażające zdumienie i zachwyt. Andrzej zaś przez to nie mógł wyrobić sobie opinii o jej urodzie. Dopiero gdy go żegnała, nie miał wątpliwości, że jest bardzo ładna.

Kilka dni później znów poszedł na Szewską. Drogocenny pierścień był w oknie wystawowym, a więc nie udało się go jeszcze spieniężyć.

- Musi pan się uzbroić w cierpliwość - powiedziała Anna. - Brylant jest drogi i nieprędko znajdzie nabywcę.

Potem rozmawiali o brylantach, szmaragdach, szafirach. Panna doprawdy wiedziała o nich dużo i chętnie opowiadała. Zwłaszcza że on chętnie słuchał.

Następnym razem on zaś popisывał się swą wiedzą na temat Afryki Równikowej, o której sporo czytał.

Odwiedzał sklep jubilerski niemal codziennie, serdecznie przyjmowany przez gospodarzy. Ale pierścienia nadal nikt nie chciał kupić.

Pewnej nocy obudził się wielce zaniepokojony. Poprzedniego dnia nie był w sklepie, a przecież pierścień mógł zostać sprzedany. Wtedy już nieodwołalnie musiałby jechać do Afryki. Chociaż teraz jakoś nie miał na to ochoty.

Zaraz rano pognął na Szewską. Nieco uspokoił się, gdy ujrzał swój klejnot na wystawie. Jednak zaraz pomyślał, że w każdej chwili może ktoś wejść do sklepu i go nabyć.

Tego dnia Bednarski coś gdzieś załatwiał, to też później niż zwykle zjechał na Szewską. Przecho-
dząc obok swego sklepu, zauważył brak pierścienia
z brylantem. Ucieszył się, bo miał dostać pięć procent
od ceny sprzedaży. Kiedy wszedł do środka, Anna
i Andrzej stali za ladą. Ona miała na palcu pierścień.

Życie

Filozofia pani Eweliny była bardzo prosta: wszystko, co służy życiu jest dobre, wszystko, co nie służy życiu jest złe. Nigdy nie próbowała tego jakoś rozwinąć. Może nawet nie umiała.

Pewnego razu pani Ewelinie zginęła kotka. Przeszukała więc całe mieszkanie, wszystkie zakamarki, ale bez skutku. Prawdopodobnie zwierzątko wymknęło się przez balkon na ulicę.

Spotkawszy znajomego policjanta, sierżanta Izzydora, Ewelina powiadomiła go o zaginięciu.

- Niech się pani nie martwi - powiedział policjant, a pomyślał o znakomitych sernikach, jakie ona wypiekała. - Przeprowadzę śledztwo i odnajdę zgubę.

- Nigdzie jej nie ma! - stwierdził kończąc po dwóch dniach śledztwo.

Pani Ewelina posmutniała, kotkę bardzo wszak lubiła. Musiała jednak pogodzić się ze stratą.

Minęło wiele tygodni - dziewięć czy dziesięć. Któregoś ranka kobieta usłyszała znajome miauczenie dochodzące z klatki schodowej. Otworzyła zatem drzwi.

Na progu stała kocica. Przed nią natomiast leżało maleńkie kociątko. Wzięła je delikatnie zębami za karczek i weszła do środka. Usadowała je na swoim posłaniu. I niespodziewanie wybiegła z mieszkania.

- Wracaj, wracaj! - zawołała Ewelina.

Wróciła po chwili, niosąc drugie dziecko. A potem trzecie, czwarte i piąte.

Pani Ewelina chciała, by wszyscy mogli je podziwiać i w tym celu urządziła przyjęcie. Zaprosiła też sierżanta Izzydora, który zjadł pięć kawałków sernika, choć nic mu się nie należało.

- I co teraz z nimi zrobisz? - pytały ją przyjaciółki.

- Wszystko, co służy życiu jest dobre - odpowiedziała.

Poza chórem

Feliks chciał być członkiem chóru. Dyrygent zgodził się go przesłuchać.

- Niech pan coś zaśpiewa - powiedział.

Feliks coś zaśpiewał.

- Może jeszcze coś.

Zaśpiewał jeszcze coś.

- Wspaniały baryton - pochwalił. - Ale teraz mam barytonów dosyć. Jeśli któryś odejdzie, to wezmę pana.

Zatem nie został chórzystą, nie był jednak nieszczęśliwy. Wciąż śpiewał. Śpiewał w domu, a zwłaszcza w odludnych miejscach, do których odbywał wycieczki. Jego głos rozbrzmiewał na nadrzecznych łąkach, w gęstych borach i na opuszczonych stacyjkach kolejowych.

Lecz nawet w odludnych miejscach niekiedy bywają ludzie. Ci, których spotykał Feliks, częstokroć zachwycali się jego śpiewem.

- Jakież to zaskakujące - mawiali - na takim pustkowiu wielka sztuka.

Pewnego razu Feliks spotkał na ulicy dyrygenta, który na jego widok bardzo się ucieszył.

- Mam dla pana dobrą wiadomość. Odszedł z chóru jeden baryton, może go pan zastąpić.

Feliks nie miał już ochoty śpiewać w chórze, uprzejmie więc odmówił.

Dziś ma on grono szczerych wielbicieli. Wiedzą oni, na której polanie, na której drodze będzie akurat przebywał. Z rozmysłem tamtędy chadzają, by posłuchać jego pieśni.

Melodramat

Płacze ona i płacze on. Nic dziwnego: film jest bardzo, bardzo wzruszający.

Ona i on - ci w filmie - kochali się szalenie. Ale kiedyś ktoś powiedział jemu, że ona nie jest wierna. Wyjechał więc daleko. Potem zrozumiał swój błąd i wrócił. Zastał ją umierającą z rozpacz po jego stracie.

Zaś oni - oglądający film - czegoś takiego nigdy nie przeżywali. Zawsze razem, zawsze zgodni - już czterdzieści dziewięć lat.

Goście z kosmosu

- Dobry wieczór, przybyliśmy z kosmosu. - Przy płocie stali dwaj mężczyźni, wyglądający jednak całkiem zwyczajnie.

Benon przestał podlewać gladiole i postawił konewkę na ziemi. Nie uwierzył im, ale nie potrafił rozpoznać, kim rzeczywiście są. Tylko się uśmiechnął.

- Czemu nie prosisz gości do domu - w oknie kuchennym ukazała się Krystyna, żona Benona.

Po chwili wszyscy zasiedli przy stole. Gospodarz rozlał do kieliszków nalewkę. Gospodyni wypila odrobinę i poszła przygotowywać kolację.

- A więc jesteście z kosmosu - ni to zapytał, ni to stwierdził Benon.

- Tak, z takiej jednej planety, daleko stąd.

- Beniu, chodź tu na moment - Krystyna przysłała przywołać męża. - Musisz mi pomóc.

Wstał i poszedł do kuchni.

- Kim oni są? - zapytała, ścisząc głos.

- Przybyli z jakiejś planety.

- Tobie wystarczy kieliszek nalewki, abyś był w sztok pijany - obruszyła się. - Lepiej zanieś to - wręczyła mu koszyczek z chlebem.

Niedługo na stole pojawiły się też wędliny i sery oraz herbata. Krystyna przeproszała za tak skromną kolację. Goście zaś twierdzili, że wszystko jest bardzo dobre.

- Panowie z daleka? - Benon próbował wrócić do przerwanej wcześniej rozmowy.

- To prawda - powiedział jeden z nich. - Dlatego musimy już iść.

Dopili szybko herbatę, podnieśli się i ruszyli ku wyjściu, jednocześnie się żegnając.

Gdy małżonkowie leżeli w łóżku, nie przedstawiali myśleć o dziwnych gościach.

- Mogłam jeszcze podać grzybki marynowane - powiedziała Krystyna i zasnęła.

Szedł rząd

Był maj, a może nawet początek czerwca. Aleją lipową szedł rząd. Na przedzie oczywiście sam premier.

Niespodziewanie przystanął. Coś na ziemi zwróciło jego uwagę. Pochylił się, przykucnął.

Zaraz przykucnął przy nim minister spraw wewnętrznych, który zawsze chciał o wszystkim wiedzieć pierwszy.

A na ziemi leżało pisklę, kwiląc przerażone. Niechybnie wypadło z gniazda.

- Gdzie minister ochrony naturalnego środowiska? - zapytał premier.

- Jachu! - zawołał ten od spraw wewnętrznych - chodź tu!

- To pliszka. *Motacilla alba*. Trzeba ją wsadzić do gniazda - powiedział wezwany dygnitarz.

Wszyscy spojrzeli na ministra sprawiedliwości, który był najwyższy i wydawało się, że to on powinien zrobić.

- Ja mogę wsadzić, ale do mamra - burknął groźnie.

- Ja to zrobię - powiedział minister spraw wewnętrznych - tylko muszę mieć drabinę.

Teraz wszyscy spojrzeli na Gochę, czyli ministra finansów. Ta zaś zrobiła minę mówiącą, że na drabinę także nie da ani grosza.

- Mogłbym uratować ptaszka - stwierdził minister spraw zagranicznych - lecz, jak wiecie, jestem obecnie przed negocjacjami z Rosją. Jeżeli wyjdzie na jaw - w tym momencie rozglądnął się podejrzliwie - że wszedłem na drzewo, mogę być oskarżony o imperialistyczne zapędy.

Minister obrony smutno kiwał głową. Był inwalidą wojennym chodzącym o kulach, i nic nie mógł pomóc. Ministrowie rolnictwa i przemysłu gdzieś się zawieruszyli. A minister zdrowia, znany hipochondryk, leżał na trawie, sądząc, że dostał zawału.

Nagle minister kultury zdjął marynarkę i podał szefowej resortu finansów. Delikatnie wziął ptaszka i włożył do kieszonki przy koszuli. Potem podszedł do drzewa, podskoczył ku najbliższej gałęzi i chwycił się jej obiema rękami. A gdy zniknął w koronie, jego koledzy przypomnieli sobie, że w młodości był akrobatą.

- Pisklę jest już w gniazdku - kilka minut później zameldował premierowi.

W takim razie rząd mógł iść dalej.

Ostatnia prośba

Po występie, iluzjonista Reno zastał w swej garderobie nieznanego mężczyznę.

- Mam propozycję - powiedział. - Ale zanim ją przedłożę, muszę mieć całkowitą pewność, że umie pan dotrzymać tajemnicy.

- Na tym właśnie polega mój zawód.

- Tajemnicą jest, że nasz nowo wybrany prezydent ma pewną przypadłość. Otóż źle na niego działa alkohol. Wystarczy odrobina, a wpada w euforię i wygaduje głupstwa, w końcu nagle zasypia. Niestety, podczas oficjalnych przyjęć, prezydent nieraz musi wzniesić toast i wypić wtedy choć kieliszek szampana...

- To się da zrobić. Zgadzam się - przerwał mu Reno, domyśliwszy się, czego od niego się oczekuje.

Został więc oficjalnie sekretarzem głowy państwa. I gdy podawano jego szefowi jakiegokolwiek naczynie z jakimkolwiek alkoholem, niepostrzeżenie zamieniał jego zawartość na wodę, sok lub herbatkę ziołową. Na ogół nie było to trudne. Tylko raz czy dwa, niby przez nieuwagę, wytrącił mu z rąk kieliszek, nie mogąc dokonać zamiany.

Szczęśliwie minęła pierwsza kadencja, po której prezydenta wybrano na następną. Reno wciąż mu służył wiernie. Kiedy druga kadencja dobiegała końca, przyszli do prezydenta ludzie z jego stronnictwa, by zapytać o kandydata na jego następcę.

- Proponuję w najbliższych wyborach wysunąć kandydaturę pana Reno - oznajmił prezydent. - Jest on inteligentny, pomysłowy i bardzo zręczny.

Większość wyborców uznała również, że tylko on powinien objąć to zaszczytne stanowisko, toteż został kolejnym prezydentem.

Wreszcie nastał dzień, w którym jego poprzednik zabierał swoje rzeczy z gabinetu, a on wносił swoje.

- Mam jeszcze do pana ostatnią prośbę - ustępujący prezydent uśmiechnął się wstydliwie.

- W ciągu drugiej kadencji zostałem dziadkiem. Teraz będę miał czas, aby bawić się z wnukami. Niech mnie pan nauczy kilku sztuczek.

- Bardzo chętnie. Najpierw przeciwiczymy, jak zniknąć ze skrzyni zamkniętej na klucz.

Na balu

Księżę d*** wydał bal. Jedni tańczyli, drudzy prowadzili wytworne rozmowy. Piękny bal.

Gdy księżę stał z kilkoma generałami, niespodziewanie zbliżył się do niego kamerdyner. Arystokrata odszedł z nim na bok.

- Co się stało? - zapytał.

- Jakiś osobnik koniecznie chce z księciem rozmawiać.

- Czy to pilne?

- Mówi, że ma złe wieści - służący rozglądnął się wokół. - I że będzie trzeba przerwać bal.

- Chodźmy - księżę wyraźnie zaniepokoił się.

Skierowali się ku wyjściu z sali balowej. Idąc, mijali beztrudno bawiących się gości.

Wtem księżę stanął naprzeciw baronówny von***.

- Zaraz będzie nasz taniec - przypomniała z uśmiechem.

- Tak, wiem - strapił się bardzo. - Ale ja muszę się z kimś spotkać.

Kłaniając się, poszedł za kamerdynerem.

Wtedy zastąpił mu drogę jeden z kuzynów.

- Stara księżna cię wzywa.

Powiódł wzrokiem w stronę miejsca, gdzie zwykle siedziała jego babka. Była tam i patrzyła na niego. Nie mógł okazać jej lekceważenia.

- Dlaczego jesteś taki zaszępiiony? - spytała z troską.

- To tylko znużenie.

- Czy ktoś chce się z tobą spotkać?

- Skąd wiesz? - zapytał zdziwiony.

- Na każdym balu zjawia się ktoś z jakimiś niedobrymi nowinami i usiłuje doprowadzić do jego natychmiastowego zakończenia.

- Naprawdę?

- Widzę obok kominka baronównę. Chyba cię wypatruje. Nie pozwól jej czekać.

Księżę ucałował dłoń babki i poszedł zatańczyć z baronówną.

Jak zostać wielkim bogaczem

Na tegorocznej liście stu najbogatszych ludzi świata miesięcznika „Pecunia”, Bronisław był na siedemdziesiątym siódmym miejscu. Czy ktoś się tego spodziewał? Chyba nikt. Niespełna rok wcześniej nie posiadał żadnego majątku, nie licząc roweru i telefonu komórkowego. A teraz dwa wieżowce na Manhattanie, plantacje kawy w Brazylii i herbaty na Cejlonie, cyrk w Rosji... długo można by wymieniać.

- Jak pan doszedł do takiego bogactwa? - nieraz pytali go dziennikarze.

Na to Bronisław odpowiadał uśmiechem, nieco się rumieniąc.

W końcu jednak zdecydował się ujawnić prawdę.

- Raz kupiłem w jakimś kiosku broszurę pod tytułem „Jak zostać wielkim bogaczem”. Przeczytałem ją. Zwłaszcza instrukcję multiplikacji kapitału. A potem z dnia na dzień byłem coraz bogatszy.

- Czy to żart!? Czy to kpina?! - odpowiedź Bronisława nie zadowalała ciekawskich.

Spodziewano się raczej opowieści o nadzwyczajnych operacjach giełdowych. Bądź o testamencie ciotki multimilionerki.

Niektórzy jednak zaczęli poszukiwać owej broszury. Szukali w kioskach, w księgarniach, u bukinistów. Oczywiście nie znaleźli. Takie broszury wydaje się bowiem tylko w jednym egzemplarzu.

Imię

Genowefa - niemodne imię. A jednak nie całkiem zapomniane.

W całej dzielnicy pani Genowefa słynęła ze swych wypieków. Zwłaszcza pewien rodzaj kruchych ciastek udawał się jej znakomicie.

- Jak się robi te pyszności? - pytał każdy, kto je spróbował.

A ona chętnie i szczegółowo to objaśniała.

- I nie zapomnij - dodawała na końcu - na środku każdego ciastka zrobić kleks z marmolady morelowej.

Szybko zaczęto je nazywać ciasteczkami pani Genowefy. Tak zresztą nazywa się je do dzi-

siaj. Choć nie ma jej już na tym świecie, a kleksy robi się z marmolady śliwkowej albo nawet truskawkowo-agrestowej.

Równowaga

- A teraz wystąpi Adamo! - zapowiedział dyrektor cyrku, będący również konferansjerem.

Młody mężczyzna wbiegł na arenę i uklonił się publiczności. Za nim weszła jego asystentka i stanęła przy skrzyni z przedmiotami niezbędnymi do występu.

Pierwsza sztuczka była łatwa. Dziewczyna wyciągała ze skrzyni szklane kielichy i rzucała w jego stronę, on zaś je łapał i ustawiał w rzędzie na wyciągniętym ramieniu.

Choć było to proste, wymagało koncentracji. Adamo koncentrował się dziś z wielką trudnością. Rano, nim zaczęła się próba, pokłonił się z asystentką. Do takich klótni dochodziło co najmniej raz na tydzień. Tym razem jednak ona nazwała go nie tylko idiotą i beztalenciem, lecz także złodziejem. To ostatnie wprawiło go w przerażenie. Bo przecież już od dłuższego czasu, wraz z siłaczem Wasylem, dokonywał kradzieży w domach towarowych. Czyżby ona o tym wiedziała? Czy wiedzą też inni?

Z kolei musiał zatańczyć, trzymając w obu rękach nad głową dwie tace z filiżankami napelnionymi kawą. Gdy obracał się rytmicznie, poczuł płyn ściekający po lewej ręce.

Lecz nie można dobrze wykonać numeru, mając tyle problemów. Po południu telefonowała żona i zapowiedziała swój przyjazd wieczorem. Czego ona chce? Może ktoś jej doniósł o jego romansie z woltyżerką?

Występ na szczęście się kończył. Jeszcze tylko jeden numer, za to najtrudniejszy. Adamo musiał utrzymać na swoim czole kielich, na którym stały cztery półeczki ze szklaneczkami - jedna na drugiej, a na szczycie kielich po brzegi wypełniony szampanem.

Adamo stracił równowagę. Wszystko spadło na ziemię z trzaskiem. Orkiestra, chcąc odwrócić uwagę widzów od tego, co się stało, zagrała jakieś walczyka.

Okryty hańbą, szybko wybiegł z namiotu. Na zewnątrz stał dyrektor cyrku.

Western

W połowie seansu z sali kinowej wyszedł jeden chłopiec. Kasjerka spojrzała na niego zaciekawiona. On też na nią spojrzał.

- Nie chcę oglądać tego filmu - powiedział gniewnym głosem.

- Dlaczego?

- Szeryf uratował miasteczko przed bandytami. A później właściciel rancza podrzucił mu dowody, że on zabił sędziego. I teraz szeryf siedzi w więzieniu, a ludzie chcą go powiesić.

- To rzeczywiście okropne - stwierdziła kasjerka.

- Idę do domu - chłopiec odwrócił się.

- Poczekaj, poczekaj! Wszystko może się odmienić na dobre. Nie trać nadziei.

Znowu zwrócił na nią swój wzrok. Z sali kinowej dobiegały właśnie odgłosy strzelaniny. Pewnie działo się coś nadzwyczajnego. Nie mógł tego przeoczyć.

Po seansie wyszedł z sali ostatni.

- Chyba nie żałujesz, że nie poszedłeś do domu - kasjerka zagadnęła przyjaźnie.

- Szeryf osobiście zabił szefa bandy. Ale nie wiadomo, co będzie dalej.

Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

- Na końcu filmu on zapytał pannę, z którą kilka razy rozmawiał, czy pójdzie z nim na festyn. A ona nawet nie odpowiedziała.

- Nie odpowiedziała?

- Tylko się uśmiechnęła.

- A to znaczy, że z nim pójdzie.

- A potem?

- Potem się pobiorą. Urodzą im się dzieci, które będą rosły i przysparzały kłopotów. Ale oni będą się cieszyli, że one stają się dorosłe. A jeszcze bardziej, że mają własne dzieci.

- I tak się to skończy?

- Wcale się nie skończy. Wcale się nie skończy! - odpowiedziała radośnie.

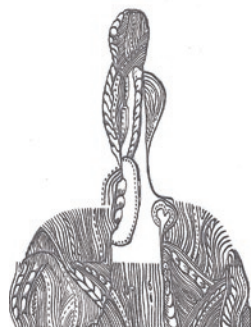
Chłopiec pokiwał głową. Wszystko zrozumiał.

Drożdżówki

Jedzcie drożdżówki! Drożdżówki korzystnie wpływają na zdrowie. Nie wierzycie? Pani Emilia codziennie kupowała w naszej cukierni jedną albo dwie i dożyła 96 lat. Żyłaby jeszcze dłużej, ale wyjechała na kilka dni i wtedy nie jadła drożdżówek i zmarła. Czyli trzeba je jeść regularnie.

Byleby nie robić awantur, jak ten łajdak Fukalski. Kupił drożdżówki z serem, po czym zaniósł do telewizji, bo mu się wydawało, że są nadgryzione przez myszy. A ileż takie stworzenie może ujeść? Telewizja te drożdżówki pokazała, ale mi to nie zaszkodziło. Straciłem tylko jednego klienta: Fukalskiego. Fukalskiego potem przejechał tramwaj, bo był pijany. Gdyby jadł drożdżówki, pewnie do tego by nie doszło. One przecież neutralizują alkohol.

Na Festiwal Drożdżówek przyjechali cukiernicy z całego kraju, nie mogło zabraknąć tam mnie. Każda firma ustawiła na rynku swój stragan, ludzie podchodzili i próbowali, a potem w tajnym głosowaniu mieli wybrać najlepszą drożdżówkę. Po południu dyrektor festiwalu zebrał wszystkich cukierników w swoim gabinecie i oznajmił, że właśnie moje wypieki otrzymały najwięcej głosów. Czy możecie sobie wyobrazić, jak bardzo się ucieszyłem? Później niecierpliwie czekałem na wieczorną Galę Drożdżówkową, aby odebrać na niej puchar. Jeśli ktoś z was tam był, to wie, że otrzymał go ktoś inny. Dyrektor mi potem powiedział, że tak będzie lepiej. Dla mnie nie było lepiej. Serce nie wytrzymało. I teraz leżę w szpitalu z zawałem. Na szczęście przynoszą mi co dzień świeże drożdżówki, więc szybko wracam do zdrowia.



rys. Robert Znajomski



rys. Robert Znajomski

Kot

Pana Romualda strasznie bolały nogi, zwłaszcza kolana, poszedł więc do lekarza.

- To reumatyzm - powiedział lekarz - zapiszę panu kota.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

- Zapiszę panu kota! - zaczął mówić głośniej. - Będzie go pan jak najczęściej kładł na kolana, a nawet z nim spał w jednym łóżku.

- Czy nie ma na to jakichś leków?

- Są - wykrzywił wargi - ale nieskuteczne.

A kota kupi pan w aptece przy rynku.

Pan Romuald nigdy nie marzył o posiadaniu kota, ale też bardzo chciał pozbyć się bólu w nogach, skierował więc swoje kroki w stronę apteki.

Aptekarka spojrzała na receptę.

- Chce pan kotkę czy kocurka?

- Wszystko jedno.

Po chwili opuścił aptekę z kotką w torbie.

Z kotką bardzo szybko się zaprzyjaźnił.

Giza - tak ją nazwał - chętnie spoczywała na jego kolanach, nie odstępowała go też podczas snu. Dlatego już po miesiącu poczuł się lepiej, a po pół roku był całkiem zdrowy.

Uznawszy, że powinien opowiedzieć o tym doktorowi, odwiedził go pewnego dnia.

- Bardzo się cieszę, że bóle minęły - powiedział doktor. - Teraz już kot nie jest panu potrzebny. Może go pan odnieść do apteki.

Gdy wyszedł od niego, był mocno zdenerwowany: Jak on mógł pomyśleć, że ja zechcę pozbyć się Gizy. To byłoby..., to byłoby straszne. I lza potoczyła się po jego policzku.

Tajemnicze siły

Joanna od wielu lat była pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Potrafiła sprzedać każdą działkę, dom, mieszkanie. Jednak z tą zdezwastowaną willą na przedmieściu miała spore kłopoty. Jakoś nikt nie chciał jej kupić. Aż wreszcie pewne młode małżeństwo nie tylko obeszło ją dookoła, ale kazało sobie pokazać wnętrza.

Chodząc z nimi po pokojach, wyczuła, że ich zainteresowanie domostwem wyraźnie słabnie. Lecz bezbłędnie też odgadła, iż cechuje ich snobizm połączony z naiwnością. I w tym upatrywała szansę na sprzedanie nieruchomości.

- Jestem zobowiązana uprzedzić was o jednej niedogodności związanej z tym domem - powiedziaławszy to, zrobiła retoryczną pauzę. - Od czasu do czasu mają tutaj miejsce dość niezwykle zjawiska akustyczne. Słychać kroki, szepty. Poprzedni właściciele się do tego przyzwyczaili. Nie przeszkodziło im to przeżyć tu kilkudziesięciu szczęśliwych lat.

Klienci spojrzeli na siebie, lekko się uśmiechając. Joanna wiedziała, że kupią tę willę.

Formalności załatwiono bardzo szybko. Małżonkowie chcieli jak najszybciej się wprowadzić. A musieli przedtem zrobić remont.

Mniej więcej pół roku później przybył do niej nowy właściciel willi na przedmieściu.

- Proszę pani, w tym domu miały być tajemnicze odgłosy. Jednak ani my, ani nasi liczni znajomi, którzy u nas nocowali, niczego nie słyszeli. Jedyne bulgotanie w ciągle zapychających się rurach kanalizacyjnych.

- Prawdopodobnie siły, które dawniej działały w willi, na razie się wam przypatrują. A kiedy się przekonają, że im nic nie grozi, nawiążą kontakt.

Mężczyzna zdawał się przekonany. Podziękował za wyjaśnienia i wyszedł.

Joanna była pewna, że żadne tajemnicze siły nie nawiążą kontaktu ze snobistycznym małżeństwem. Ale nie lubiła również, gdy klienci mieli jakiegokolwiek powody do niezadowolenia.

Jakiś czas potem przywołała swego syna, który niedawno zaczął pracować razem z nią. Opowiedziała mu o snobach, którym marzył się nawiedzony dom.

- Gdybyś kiedyś w nocy zapukał im w okno albo trochę pohłasował na werandzie, byliby uszczęśliwieni.

- Chętnie to zrobię - ucieszył się szczerze, gdyż był jeszcze w wieku, w którym płata się figle.

Nazajutrz obudził ją dzwonek u drzwi. Na progu stali dwaj policjanci.

- Mamy dość smutne wieści. Pani syn wtargnął w nocy na teren prywatnej posesji i został postrzelony przez właściciela.

Odręcznie

Mniej więcej dwa lata temu, zgodnie z nakazem władz, przestałem wypisywać recepty długopisem. Zacząłem używać komputera i drukarki.

- Co to jest? - zapytał pan Piotr, gdy mu zapisałem leki w ten sposób.

- Teraz tak muszę wypisywać recepty.

- To skandal! - zawołał. - Dotychczas lekarze pisali je sami, bazgrząc okropnie. Zaś aptekarze musieli umieć to odczytać... Panie doktorze, ja tego tolerować nie będę.

Roześmiałem się. A potem wzięłem formularz recepty i wypełniłem ją swoimi kulfonami.

Odtąd tak postępowałem za każdym razem, gdy przyszedł do mnie pan Piotr.

Po którejś jego wizycie, zatelefonowano do mnie z pobliskiej apteki.

- Nie możemy sprzedać lekarstw, które pan zapisał. Recepta jest nieprawidłowa. Zresztą nie po raz pierwszy.

- Zaraz przyjdę - powiedziałem i chociaż miałem na leżance pacjentkę, pobiegłem do apteki.

Pan Piotr stał z miną wyrażającą niezłomność. Aptekarka natomiast demonstrowała najwyższy stopień obrzydzenia.

- Pani magister - przemówiłem łagodnie - ten pacjent jest bardzo przywiązany do recept wypisywanych odręcznie.

- Ale mi nie wolno takich przyjmować! Nie chcę stracić licencji na prowadzenie apteki!

Zrozumiałem, że nic nie wskóram.

- Panie Piotrze - powiedziałem współczująco - sam pan widzi, taki teraz świat.

Przez chwilę patrzył na mnie uważnie, po czym uklonił się i wyszedł.

Zaproszenie

Zaproszenie było sformułowane dość niezrozumiale. Marcin przeczytał je kilkakrotnie i nie mógł dociec, co to jest „niedoskonałość zawstydzona” albo „przebacząca ucieczka w przyszłość”. Ale pojął najważniejsze: XIII Liceum Ogólnokształcące, do którego uczęszczał dwadzieścia dwa lata temu, zaprasza go na jakąś uroczystość. Najprawdopodobniej zjazd absolwentów. Postanowił pójść, aby spotkać się ze starymi kumplami.

Okazało się jednak, że zaproszono tylko jego. Prócz niego byli profesorowie, którzy go uczyli, w większości już na emeryturze.

- Drogi przyjacielu - zaczął przemowę dyrektor - zaprosiliśmy cię, bo uświadomiliśmy sobie, że nie zawsze byliśmy wobec ciebie sprawiedliwi. Nie umieliśmy docenić młodzieńczej żywiołowości i oryginalnego umysłu. Dziś jest nam za to wstyd. Prosimy więc o wybaczenie.

- Muszę przyznać że skrucą - w następnej kolejności odezwała się matematyczka - że niezbyt dokładnie sprawdziłam pański sprawdzian z trygonometrii. To drugie zadanie miało jednak dobry wynik.

- Proszę wybaczyć moją złośliwość - kajał się potem germanista. - Kazałem panu pisać na tablicy ośmieszające zdania: „Ich bin Esel”, „Ich bin und ich werde dumm”. Nie rozumiałem bowiem, że przedrzeźnianie mnie, to wyraz niezwykle błyskotliwego poczucia humoru szanownego pana.

Podobnie wypowiadali się pozostali nauczyciele. Marcin zaś słuchał tego z rosnącym zażenowaniem. O większości z wymienionych przez nich spraw wprawdzie wciąż pamiętał, ale w obecnym okresie życia zupełnie one go nie obchodziły. A poza tym nie mógł się nadziwić, że oni go przepraszają.

- Drodzy państwo - powiedział w pewnym momencie, przerywając wyjątkowo długie przemówienie łacinniczki - nie żywię do nikogo urazy. Sam zresztą powinienem przeprosić za moje nieuctwo i złe zachowanie. Proszę więc mi je wybaczyć. Proszę mi też wybaczyć, że już pożegniam państwa. Mam inne obowiązki.

Marcin pospiesznie opuścił aulę, w której odbywało się to spotkanie. Na korytarzu panował

rozgardiasz, bo trwała akurat przerwa. Musiał zatem przepychać się między grupami rozbawionych uczniów.

Dochodząc do schodów, spostrzegł nauczyciela fizyki, który, gdy on chodził do liceum, właśnie rozpoczął w nim pracę. Nauczyciel też go zauważył i najwyraźniej rozpoznał.

- Czy pan wie, po co mnie tu zaproszono? - zapytał.

- Tak, wiem - odpowiedział cicho i rozglądnął się na boki.

- Powie mi pan?

- Nie teraz i nie tutaj.

Ponieważ profesor miał jeszcze jedną lekcję, umówili się, że za godzinę spotkają się w pobliskim parku.

Marcin zdążył kilka razy obejść staw parkowy, zanim doczekał się przyścia nauczyciela.

- Proszę pana - zaczął wyjaśnienia - choć trudno w to uwierzyć, najważniejszą osobą w naszej szkole jest obecnie pani Grażyna. Choć pracuje jako zwykła woźna, posiada jednak zdolność jasnowidzenia.

- A co to ma wspólnego ze mną? - przerwał Marcin.

- Grażyna przepowiedziała, że pan będzie prezydentem.

Marcin roześmiał się: - To nonsens. Ja w ogóle nie zajmuję się polityką. I nie zamierzam.

- W każdym razie pan dyrektor postanowił pana udobruchać, aby się pan później nie mścił.

- Nie mścił?

- Według Grażyny, rozpocznie pan rządę od zemsty na wszystkich, którzy kiedykolwiek mu się narazili.

- Wyście całkiem zgłupieli! - tymi słowami pożegnał swego rozmówcę.

Wieczorem wciąż jeszcze o tym wszystkim rozmyślał. Zastanawiał się, dlaczego profesor fizyki również nie przyszedł go przeprosić. Nieraz postawił mu przecież ocenę niedostateczną.

Emanuela

Cieszę się bardzo, że Emanuela znalazła wreszcie swoje powołanie. Choć niektórzy się obawiali, że nigdy to nie nastąpi. Zapytacie z pewnością: dlaczego? Na razie lepiej o tym nie mówić, a później się dowiecie.

Teraz Emanuela wystaje u zbiegu ulicy Dworcowej i Hrabowskiej. Tą pierwszą idzie się do starej dzielnicy willowej, Hrabowską natomiast do dworca kolejowego. Wprawdzie byłoby lepiej, gdyby było na odwrót, niestety na razie musi być tak jak jest. Więc przybysze chcący wyjechać z naszego miasta pociągiem, skręcają w Dworcową, którą jednak na dworzec nie dojdą. Ale teraz stoi tam przecież Emanuela.

- Uwaga, na dworzec tylko Hrabowską - mówi, wskazując urękawiczoną dłoń właściwy kierunek.

Czasami podchodzą do niej dawni znajomi.

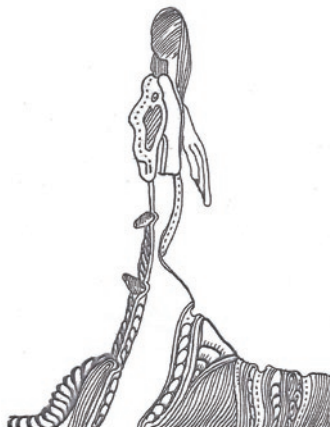
- Jeszcze ci się to nie znudziło? - pytają z odrazą.

- Nie.

- Jak ci się znudzi, to możesz do nas wrócić.

Lecz ona nie wraca. I mam nadzieję, że nigdy już nie wróci.

Mam do was prośbę. Jeśli będziecie kiedykolwiek wyjeżdżali z naszego miasta, pozwólcie by Emanuela wskazała wam dobry kierunek.



rys. Robert Znajomski

Aniela Należyta

Cała klasa dostała zaproszenia. Niektórzy przyszli z dziećmi. Sokolnicki przysięgał, że wtedy to nie on podłożył tę niesamowitą kredę. A dlaczego była taka, jaka była - dotąd nie wiadomo. Ale oczywiście wszystko trzeba opowiedzieć po kolei.

Anielka umiała pięknie rysować, malować, rzeźbić w glinie. Krótco mówiąc - miała talent plastyczny. Natomiast nie potrafiła prawie wcale liczyć. Nauczyciel matematyki był zaś wredny i szczególnie jej nie lubił.

Razu pewnego klasa czekała na niego, siedząc w ławkach. Każdy robił, co chciał. Aniela rysowała na tablicy jakieś fantastyczne stwory - groźne, lecz sympatyczne.

- Dobrze, że już jesteś przy tablicy, zaraz rozwiążesz równanie - usłyszała za sobą głos niezłomnego pedagoga. - Ale najpierw zmaż te bazygroły.

Uczennica wzięła szmatkę i zaczęła czyścić tablicę. Jednakże rysunku usunąć nie mogła, owszem, stał się jakby wyraźniejszy.

- Weź gąbkę. Jest wilgotna - poradził nauczyciel.

Za pomocą gąbki też nie udało się niczego zmazać.

- Nic nie umiesz! - zniecierpliwiał się. Potem sam spróbował zetrzeć rysunek Aniela i przekonał się, że to zupełnie niemożliwe.

- Czym to narysowałaś?

- Kredą - dziewczynka podała mu tę, którą się posłużyła.

- Jakaś dziwna - stwierdził, obejrawszy ją.

- Sokolnicki, czy to nie ty ją podrzuciłeś? - zapytał ucznia, który lubił płać najrozmaitsze figle.

- Nie, to nie ja, proszę pana - odpowiedział przestraszony.

- A więc to ty! - wymierzył palec w stronę Aniela. - Ponieważ nie wykonałaś zadania, otrzymujesz ocenę niedostateczną. A że zniszczyłaś tablicę, twoi rodzice kupią nową.

Nazajutrz oboje przywieźli do szkoły nową tablicę. Starą zaś kazano im zabrać ze sobą.

I ta właśnie tablica, z nienaruszonym rysunkiem, po trzydziestu trzech latach zawisała na wystawie dzieł Aniela Należytej, słynnej dziś na całym świecie malarki. Cała klasa ustawiła się na jej tle, a czterdziestu czterech dziennikarzy robiło im zdjęcia.



Grzegorz Pelczyński - ukończył etnologię (1986) i teologię (1990) w Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Zainteresowania naukowe: kwestie etniczne, antropologia filmu jako dyscyplina naukowa, religioznawstwo, literatura piękna jako źródło etnograficzne. Prowadził badania w Polsce, na

Ukrainie, w Armenii, Rosji, Kazachstanie i Austrii. W latach 1987-2013 pracownik Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM. Od 2013 profesor w Katedrze Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Szczecińskiego. Przewodniczący Komisji Etnograficznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Założyciel i redaktor naczelnny czasopisma internetowego „Our Europe. Ethno-

graphy - Ethnology - Anthropology of Culture”. Wydał m.in.: „Najmniejsza mniejszość. Rzecz o Karaimach polskich” (1995), „Ormianie polscy w wieku XX. Problem odrębności etnicznej” (1997), „Dziś siąta muza w stroju ludowym. Wizerunki kultury chłopskiej w kinie PRL” (2002), „Karaimi polscy” (2004), „Restauracja Kresowa” (2011), „Ewangelikalizm w Rosji (XIX-XX wiek)” (2012, wyd. 2. 2013), „Mniejsze mniejszości i inne szkice” (2017); współredagował: „Antropologia wobec fotografii i filmu” (2004), „Obrazy kultur” (2006), „Polacy wobec wielości kultur” (2011), „Kościół Ewangelicko-Metodystyczny na Mazurach (1945-2015)” (2016), „Polscy odkrywcy, badacze i eksploratorzy Syberii oraz Azji Środkowej” (2018).

Autor książek dla dzieci: „Opowieści dla Kubusia, opowieści dla Jakuba” (2012), „Ulubiona bajka” (2014) i tomów opowiadań „Cukierki i fajerwerki” (2015), „Lekcja historii” (2018).



Urszula Bydlińska ur. w Siedliszczu w latach 70. XX wieku. Absolwentka UMCS w Lublinie, kierunek Historia. Zajmuje się malarstwem olejnym, samouk, podejmuje próbę wskrzeszenia starych dworców, cerkwi, przenosi na płótno pejzaże, uwiecznia zaobserwowaną scenę, tworzy także kopie prac znanych artystów. Podejmuje tematykę nie tylko cielesną, żywą, ale także duchową, w głównej mierze sakralną, niematerialną. Mieszka i pracuje w gm. Siedliszcze.





mal. Urszula Bydlińska